

*Kuszenie
Tovilli*

BARBARA CAROLINA

Nareszcie bezpieczna

Płomienna miłość

Lwica i lilia

Słońce wszędzie jutro

Srebrna klinga

Duch w Monte Carlo

W szponach miłości

Ubogi krewny

Znak miłości

Zew serca

Powiedz tak, Samanto

R
Centrum

BARBARA
CARLINO

*Kuszenie
Tovilli*

*Przełożyła:
Katarzyna Matschi*


Centrum

Tytuł oryginału:
THE TEMPTATION OF TORILLA

Ilustracja na okładce:
SHARON SPIAK

Redaktor:
HANNA KOŹMIŃSKA

Redaktor techniczny:
GRZEGORZ MAŁECKI

Copyright © 1978 by Barbara Cartland
For the Polish edition
Copyright © 1993 by Wydawnictwo AMBER

ISBN 83-7082-072-7

REPRO-CENTRUM Sp. z o.o.
Poznań 1993. Wydanie I
Fotoskład: Z. P. *Akapit*, Poznań

OD AUTORKI

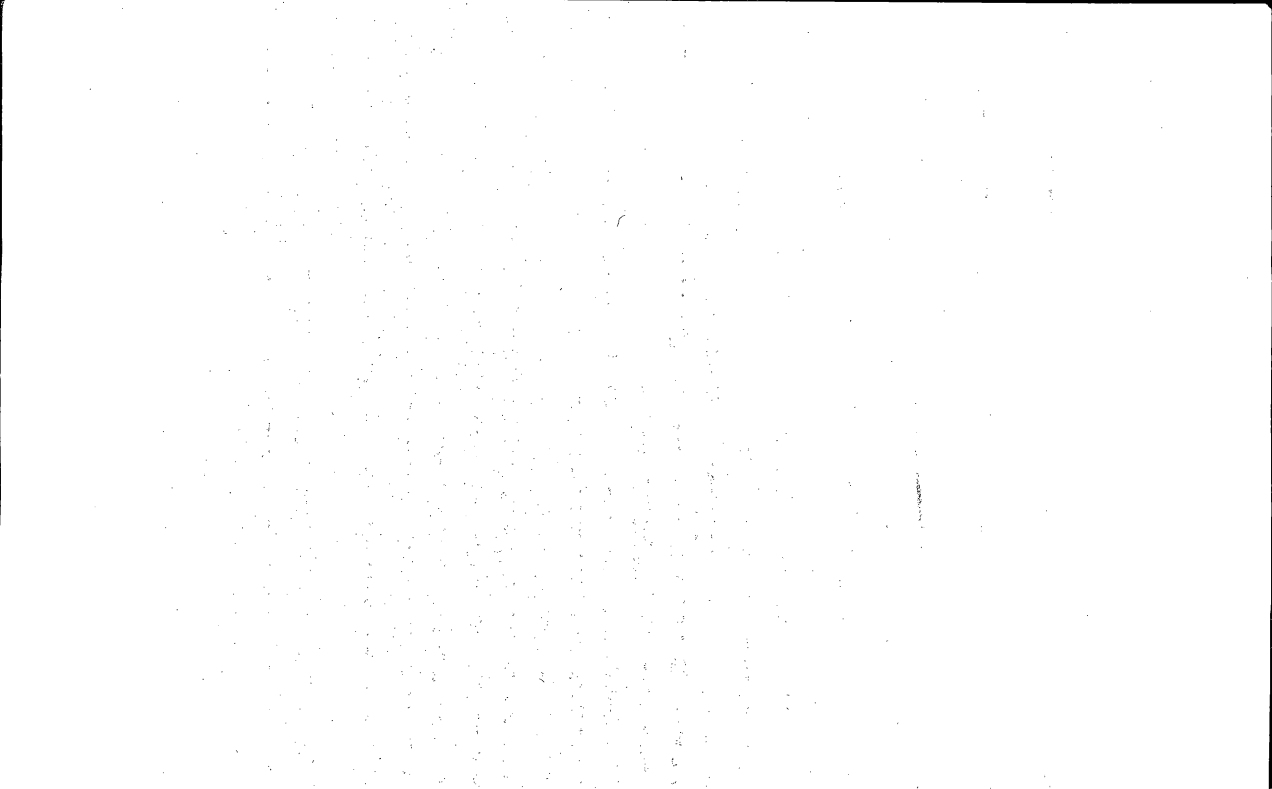
Dopiero w roku 1842 pierwszy raport Komisji do Spraw Zatrudniania Dzieci obudził sumienie kraju. Przedstawiony w tej powieści opis warunków panujących w kopalniach węgla pochodzi w całości z tego raportu.

Urządzenia zabezpieczające wprowadzano powoli: pompę powietrzną Johna Buddles'a w roku 1807, lampę Davy'ego w roku 1816. Zawór powietrzny i wentylator Johna Martina weszły w użycie dopiero w roku 1835.

To że chłopcy i dziewczęta pracowali razem, uderzyło wiktoriańskie społeczeństwo bardziej niż niebezpieczeństwo eksplozji. Obnażone do pasa, z nogami skutymi łańcuchem, przyszłe matki narodu angielskiego pełzały na czworakach podziemnymi tunelami, ciągnąc ogromne ciężary.

Kobiety w wieku trzydziestu lat były starymi, zdeformowanymi kalekami. Takiej pracy często towarzyszyła rozpusta i straszliwe okrucieństwo.

Gdy w miesiąc po ogłoszeniu raportu, lord Ashley wprowadził ustawę o zakazie pracy pod ziemią dla kobiet, dziewcząt i chłopców poniżej trzynastu lat, został uznany za bohatera narodowego.



ROZDZIAŁ 1

Rok 1816

Markiza Havingham podniosła kieliszek madery i powiedziała:

— Doktorzy zabronili mi pić alkohol, ale muszę uczcić twój przyjazd, kochanie.

— Czy w ogóle ci pomogli, mamó?

W głosie syna brzmiała nuta niepokoju, która nie uszła uwagi matki.

Była przyzwyczajona do leniwego, omdlewającego tonu, modnego wśród elegantów i dandysów otaczających księcia regenta. Nie podobał się jej — chociaż była o wiele za mądra, aby to powiedzieć — ich sposób przeciągania słów i lekceważącego spoglądania na świat spod opuszczonych powiek.

— Myślę, że woda, chociaż jest okropna, pomogła zmniejszyć ból — odparła — ale uważam, że Harrogate jest bardzo nieciekawe i szczerze mówiąc, tęsknię do powrotu do domu.

— W takim razie przynoszę ci bardzo dobry pretekst do wyjazdu — rzekł markiz.

Gdy matka popatrzyła na niego pytająco, wstał z krzesła, na którym siedział, i stanął tyłem do kominka.

Apartament w najlepszym i najdroższym hotelu w Harrogate, w którym schroniła się markiza, był całkiem przyjemny, jednak markiz zauważył, że matka wniosła do cokolwiek skromnego umeblowania pokoju wiele charakterystycznych tylko dla niej cech. Był tam zarówno jego olejny portret, jak i miniatura ustawiona na jednym ze stolików oraz wiele wazonów z cieplarnianymi kwiatami, bez których nie potrafił sobie wyobrazić swojej matki.

Miękkie poduszki ozdabiały ponure adamaszkowe krzesła, ale najważniejsze ze wszystkiego były dwa małe spaniele, które żywiłowo powitały go po przyjeździe.

— Jest tu całkiem przytulnie — powiedział, jakby nagle uderzyło go, że nawet hotel może mieć swoje dobre strony.

— Całkiem — odparła krótko markiza. — Teraz powiedz mi, Gallenie, to co zamierzałeś powiedzieć; jestem bowiem pewna, najdroższy, że nie odbyłeś tej długiej podróży tylko po to, by zobaczyć, czy mi jest wygodnie.

Jej oczy spoczywały z uwielbieniem na synu. Nie ma nikogo, myślała, kto mógłby wyglądać tak przystojnie i jednocześnie, mimo niezwykle wykwintnego stroju, tak męsko.

Ubranie doskonale leżało na jego szerokich ramionach i podkreślało wąskie biodra, jednak atletyczna

budowa markiza doprowadzała jego krawców do rozpacz.

Mocne, napinające się pod najprzedniejszą prążkowaną wełną ubrań mięśnie nie były w modzie, ale markiz znany był jako wyjątkowo dobry pięściarz w „salach dżentelmena Jacksona” przy ulicy Bond, a i w walce na rapiery trudno mu było znaleźć godnego siebie przeciwnika.

Oprócz tego był wyróżniającym się wśród rówieśników elegantem, a młodszy pięknie zazdrościli mu jego znajomości koni i dążyli bezskutecznie do naśladowania sposobu, w jaki wiązał fular.

Nawet jeżeli świat czy raczej towarzystwo uważało markiza za obojętnego, cynicznego i autokratycznego, jego matka wiedziała, że gdy o nią chodziło, potrafił być delikatny, dobry i niekiedy zaskakująco uczuciowy. Wiedziała więc, że mówi prawdę, gdy rzekł:

— Gdybym myślał, że naprawdę pragniesz mego towarzystwa, mam, przyjechałbym do Harrogate czy gdziekolwiek indziej, żeby ci sprawić przyjemność.

— Wiesz, że nie narzucałabym ci się do tego stopnia — odparła czule markiza. — Ale powiedz mi, po co przyjechałeś.

Po chwili milczenia markiz odezwał się, przeciągając słowa:

— Zdecydowałem się ożenić.

— Gallenie!

Był to okrzyk zdumienia, po którym markiza odstawiła kieliszek z maderą, aby jej nie rozlać. Splotła dłonie i podnosząc oczy ku synowi zapytała:

— Naprawdę? Po wszystkich tych latach spotkałeś kobietę, którą rzeczywiście pragniesz pojąć za żonę?

— Zdecydowałem się ożenić, mamó, ponieważ, jak ci dobrze wiadomo, muszę mieć spadkobiercę — odparł markiz. — Potrzebuję także żony, która będzie dobrze urodzona i nie będzie mnie zanudzać.

— Kogo wybrałeś?

— Oświadczyłem się lady Beryl Fern. Ponieważ jednak nie chciałem, abyś bez uprzedzenia przeczytała o naszych zaręczynach w gazecie, kazałem zarówno Beryl, jak i jej ojcu, aby nawet słówkiem nie wspomnieli o naszych zamiarach, dopóki ty nie zostaniesz powiadomiona.

— Lady Beryl Fern — powiedziała powoli markiza. — Ależ oczywiście, słyszałam o niej.

— Jest niewątpliwie najpiękniejszą dziewczyną w Anglii — wyjaśnił markiz. — Przyjęto ją z ogromnym aplauzem, kiedy pierwszy raz pojawiła się w towarzystwie, i sam książę ochrzcił ją mianem „Niezrównanej”, nim dostrzegli ją znawcy z Klubu Świętego Jakuba.

W głosie markiza brzmiała niewątpliwie żartobliwa nuta i matka spojrzała na niego ostro, zanim zapytała:

— Jaka ona jest, Gallenie?

Znowu upłynęła mała chwila, nim markiz odpowiedział:

— Lubi rozrywkę, tak jak ja, i jest duszą każdego przyjęcia, na którym się znajdzie. Z pewnością ozdobi salony Havingham House oraz zamku i nie pogardzi twoimi klejnotami, które tak rzadko nosisz.

— Nie o to cię pytałam, najdroższy — powiedziała cicho markiza.

Z charakterystycznym tylko dla niego wdziękiem markiz przeszedł od dywanu przed kominkiem do okna i stanął odwrócony plecami do matki, patrząc na drzewa, które tu, na dalekiej północy, ukazywały dopiero pierwsze, wiosenne, zielone pączki.

— Co jeszcze chcesz wiedzieć, mamó? — zapytał po chwili.

— Wiesz doskonale, co chcę usłyszeć — odparła jego matka. — Czy jesteś zakochany?

Zapadła cisza, zanim markiz odezwał się:

— Mam trzydzieści trzy lata, mamó, i wyrosłem już z chłopięcych cierpień miłosnych.

— A więc żenisz się tylko po to, aby począć potomka.

Jej słowa były ledwo słyszalne, ale jednak zostały wypowiedziane.

— Nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy powód, aby się ożenić — powiedział niemal wyzywająco markiz.

— Ale ja chciałabym, żebyś się zakochał.

— Jak już powiedziałem, jestem za stary na takie głupstwa.

— To nie są głupstwa, Gallenie. Twój ojciec i ja byliśmy razem bardzo szczęśliwi. Modliłam się, abys i ty zaznał szczęścia, jakie my znajdowaliśmy w sobie przez wiele lat, zanim mi go zabrano.

— Teraz nie ma takich dziewcząt jak ty, mamó. Markiza westchnęła.

— Twój ojciec powiedział mi, że gdy zobaczył mnie po raz pierwszy na przyjęciu wydanym w ogrodzie naczelnego szeryfa, gdzie wcale się tego nie spodziewał, wydawało mu się, że byłam otoczona białą łuną.

— Tato też mi o tym opowiadał — przerwał markiz.

— Nie zauważyłam go, dopóki nie został przedstawiony — kontynuowała łagodnym głosem jego matka, zapatrzona teraz w przeszłość — ale gdy dotknął mojej dłoni, stało się coś bardzo dziwnego.

Wydawało się, że głos jej drży, gdy powiedziała:

— Zakochałam się w tym momencie! Wiedziałam, że to mężczyzna z moich marzeń, mężczyzna, który, jak zawsze wierzyłam, istnieje gdzieś na świecie, i obym tylko potrafiła go znaleźć.

— Miałaś ogromne szczęście, mamo.

— To nie było szczęście — zaprzeczyła markiza — to było przeznaczenie. Mimo że rodzice twojego ojca próbowali doprowadzić do jego związku z córką księcia Newcastle, my wiedzieliśmy, że ważne jest tylko to, abyśmy byli ze sobą przez resztę życia.

Markiz poruszył się nieco niecierpliwie. Słyszał już to wszystko dawniej i zawsze czuł się zmieszany, gdy matka mówiła o jego ojcu.

Kochali się tak głęboko, tak bez reszty, że wydawało mu się, gdy wspominał swoje dzieciństwo, iż wszystko było owiane aurą ich szczęścia. Ich jedynym zmartwieniem było to, że poza nim nie mieli więcej dzieci. Ponieważ kochał swoją matkę, próbował opiekować się nią i ochraniać po śmierci ojca.

Nie musiała mu mówić, co oznaczało być zakochanym tak, jak oni: widział to na własne oczy. Ale był przekonany, że jemu nigdy się to nie przydarzy. Głośno powiedział:

— Czasy się zmieniły, mamó, i miłość, o ile nie dotyczy księcia regenta, przestała być modna.

— Miłość! Nie możesz jednocześnie mówić o księciu regencie i o miłości — powiedziała pogardliwie markiza. — Spójrz, jak potraktował tę biedną panią Fitzherbert; a ja zawsze byłam przekonana, że naprawdę byli małżeństwem. A jeśli chodzi o tę głupią, kokieteryjną lady Hereford, to nie mogę znieść tej kobiety!

Markiz roześmiał się.

— On stanowi przykład dla nas wszystkich, mamó, więc nie możesz się spodziewać, że znajdę w Carlton House idylliczną miłość.

— I zdecydowałaś się z zimną krwią poślubić lady Beryl.

— Będziemy dobrze do siebie pasować, mamó — odparł markiz. — Mówimy tym samym językiem, mamy tych samych przyjaciół i jeżeli w jakiś czas po ślubie pójdziemy każde swoją drogą, dokona się to z rozumą. Nie będzie skandalu i wszelkie kwestie między nami załatwi się polubownie.

Markiza nic nie mówiła. Jej oczy wyrażały takie nieszczęście, że syn podszedł do niej i ujął jej rękę.

— Nie martw się o mnie, mamó — powiedział. — To wszystko, czego pragnę, i nie ma powodu, dla którego Beryl i ja nie mielibyśmy mieć pół tuzina

krzepkich wnuków, co, jak wiem, sprawiłoby ci przyjemność.

Pokryta błękitnymi żyłkami, szczupła dłoń markizy z kilkoma kostkami zniekształconymi przez artretyzm spoczywała w ciepłej ręce syna.

— Twój ojciec i ja zawsze pragnęliśmy, żebyś miał wszystko, co najlepsze, a to małżeństwo, musisz uczciwie przyznać, jest tylko namiastką.

— Wciąż oceniasz moje życie według swojego, mamó. Jestem zadowolony; nie można chcieć niczego więcej.

— Ja mogę i chcę — odparła matka.

Jej palce zacisnęły się na jego ręce.

— Nie myślisz wciąż... o tej dziewczynie... która tak... źle cię potraktowała?

Mówiła z wahaniem, jakby obawiała się, że może go urazić, ale markiz roześmiał się, zupełnie niewzruszony.

— Doprawdy nie, mamó. Nie przywykłem obnosić się z tego rodzaju ranami. Byłem wtedy zaledwie gołowąsem, a pierwsza przygoda miłosna zawsze wywołuje nadmierne emocje.

Uwolnił dłoń matki i wrócił do kominka, by popatrzeć na skaczące po bierwionach płomienie. Nie widział więc wyrazu twarzy matki ani nie zdawał sobie sprawy, że mu nie uwierzyła i że jej oczy wypełniły się nagle łzami.

Wszystko wydarzyło się, jak powiedział markiz, dawno temu. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Dziewczyna, w której się zakochał, była bardzo piękna

i bardzo zepsuta. Nie potrafiła zrozumieć jego idealistycznego uwielbienia.

Matka wiedziała, że ofiarował jej swoje serce i duszę, które ona odrzuciła, wychodząc za księcia, gdyż miał wyższy tytuł i w owym czasie znacznie więcej pieniędzy.

Markiza wiedziała, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy swojego syna, gdy wrócił do domu. Nie rozmawiał o tym, co się zdarzyło, bo byłoby to dla niego zbyt bolesne. Chciał się gdzieś ukryć, aby świat nie dowiedział się, jak głęboko został zraniony.

Od tego czasu, myślała, zmienił się ze szczęśliwego, roześmianego, beztroskiego chłopca w mężczyznę, który z każdym rokiem stawał się coraz bardziej cyniczny i coraz częściej się nudził. Tylko wtedy, gdy był ze swoim regimentem, okazywał entuzjazm, który sprawiał, że cieszyła się jego szczęściem, chociaż prześladował ją niepokój, że syn może paść ofiarą potęgi armii napoleońskich.

Trudno wyrazić jej ulgę, gdy po śmierci ojca markiz wykupił się z regimentu i wrócił do domu, aby zaopiekować się matką i zająć administracją swoich dóbr. Wiedziała dobrze, że chłopiec, którego uwielbiała przez dwadzieścia jeden lat, odszedł na zawsze.

Były w jego życiu kobiety, tuziny kobiet. Niektóre z nich poznała, inne żyły w świecie, do którego nigdy nie mogła wejść. Ale intuicja matki mówiła jej, że one nic dla niego nie znaczyły i nawet jeśli ich złamane serca cierpiały, jego nigdy nie było zaangażowane.

Odtąd znenawidziła dziewczynę, która go zraniła. Teraz myślała, że nienawidzi jej jeszcze bardziej, bo to z jej winy Gallen, jej ukochany syn, zawierał małżeństwo z wyrachowania, a nie z miłości. Była jednak na tyle mądra, by nie mówić tego.

— Kiedy zamierzasz się ożenić?

— Przed końcem sezonu — odparł markiz. — Księżę z pewnością zaproponuje, aby wesele odbyło się w Carlton House, gdyż wszyscy, którzy będą się spodziewali zaproszenia, nie zmieściliby się w domu hrabiego Fernleigh przy ulicy Curzona.

— Opowiedz mi o hrabim — powiedziała z wysiłkiem markiza. — Pamiętam go jako bardzo przystojnego mężczyznę, co oczywiście wyjaśnia urodę jego córki.

— Jest bardzo miły — odpowiedział ostrożnie markiz. — Woli wieś od Londynu, ale jego żona jest całkowicie pochłonięta balami, przyjęciami, zebraniem i zabawami.

Wykrzywił usta, dodając:

— Zdecydowanie postanowiła, aby o jej córce mówiło całe miasto i niewątpliwie to się jej udało.

Markiza pamiętała hrabinę Fernleigh i przypominała sobie, że była to kobieta, z którą nic jej nie łączyło.

— Odwiedzę oczywiście hrabinę, wracając na południe — powiedziała — ale myślałam, że pojedę do domu, a nie do Londynu.

Dower House był bardzo ładnym domem, położonym na terenach dużej posiadłości markiza w Hun-

tingdonshire. Markiz wiedział, że jego matka, cierpiąca teraz z powodu artretyzmu, nie lubiła przebywać w Londynie i była o wiele szczęśliwsza na wsi, ze swoimi psami i ogrodem.

— Nie ma potrzeby, abys przyjeżdżała do Londynu przed ślubem — rzekł. — Zaproszę hrabiego i oczywiście Beryl do zamku, gdy będziesz gotowa zobaczyć się z nimi.

Uśmiechnął się, dodając:

— Chyba znajdzie się na to czas przed ślubem, chociaż Beryl niewątpliwie będzie stale zajęta kompletowaniem wyprawy.

— A ty, najdroższy?

— Księżę lubi, abym był zawsze na jego usługi. Doszliśmy do mniej więcej polubownego układu, że towarzyszę mu na wyścigach i w innych rozrywkach w ciągu dnia, ale jestem zwolniony z udziału w zatłoczonych i dusznych przyjęciach, na których bawi się wieczorami Jego Wysokość.

— A co ty wtedy robisz?

— Mamo, to jest bardzo niedyskretne pytanie — odparł z błyskiem w oku markiz.

Jego matka roześmiała się lekko.

— Nie pytam, co robiłeś w przeszłości. Doskonale wiem, że masz reputację pożeracza serc niewieścich. Ale co będziesz robił teraz? Jestem pewna, że lady Beryl będzie pragnęła, abys towarzyszył jej na tych, jak je nazywasz, „zatłoczonych i dusznych” spotkaniach towarzyskich.

— Cena narzeczeństwa! — odparł niefrasobliwie mar-

kiz. — Ale zapewniam cię, mamó, że stół bilardowy jest dla mnie bardziej pociągający niż wypolerowane podłogi sal balowych. Nie mam też wcale zamiaru zarywać nocy, kiedy tylko Beryl i księżę zażądają tego.

Markiza uśmiechnęła się.

— Wnoszę stąd, że masz nowe konie, które ujeżdżasz i chcesz jeździć bardzo wczesnym rankiem.

— Tuzin wspaniałych koni czystej krwi. Czekam, żeby ci je pokazać.

— A ja czekam, żeby je zobaczyć.

Jedną z wielkich korzyści, jakie przyniósł pokój z Francją tym, którzy kochali dobre konie, było przywrócenie możliwości sprowadzania ich do Anglii. Markiz posłał do Syrii po arabskie klacze, które przybyły dopiero w zeszłym miesiącu.

Matka pomyślała, że gdy mówił o swoich koniach, w jego głosie brzmiała nuta inna od tej, z jaką mówił o swojej przyszłej żonie.

W lutym, zanim przyjechała do Harrogate, do zamku przywieziono kilka węgierskich koni i z przyjemnością odnalazła w zachowaniu syna cień tego dziecka, które niecierpliwie biegło, aby poprowadzić ją za rękę do stajni, gdy dostało nowego kucyka.

— Czy lady Beryl dobrze jeździ konno? — zapytała.

— Bardzo dobrze wygląda na koniu — odparł markiz — i oczywiście będzie polować z moją sforą. To mi przypomina, że muszę odnowić domek myśliwski w Leicestershire.

Uśmiechnął się trochę kpiąco i dodał:

— Kawalerskie przyjęcia, jakie tam urządziłem, nie poprawiły stanu umeblowania i podejrzewam, że żadnej kobiecie nie podobałoby się to męskie gospodarstwo.

— Twój ojciec i ja przeżyliśmy tam wiele szczęśliwych chwil — powiedziała tęsknie markiza.

— Tak jak wszędzie — odparł markiz. — Ale teraz już przestań, mamó, porównywać mnie z ojcem, a siebie z Beryl.

Podszedł, by ponownie ująć jej dłonie, i powiedział:

— Nie muszę ci mówić, że nigdy nie będzie drugiej tak słodkiej i pięknej kobiety, jak ty! Nie ma więc co narzekać, że muszę zaakceptować namiastkę.

— Chcę tylko twojego szczęścia, kochanie — wyszeptała markiza.

— Powiedziałem ci już, że jestem zadowolony — odparł markiz.

Matka pomyślała, że gdy to mówił, w jego głosie brzmiała wyraźna nuta cynizmu.

Kilka mil od modnego kurortu i źródła Harrogate, kosztownych hoteli i arystokratycznych gości, ale jeszcze w Yorkshire, znajdowało się Barrowfield. Była to położona niedaleko Leeds wioska ubogich, walcących się, posępnych domów, które zawsze wydawały się pokryte delikatną warstwą pyłu węglowego.

Za wioską, na wznoszącym się nad nią wzgórzu, stał brzydki kościół z szarego kamienia, a obok niego — równie brzydka i zbyt duża plebania.

W kuchni z niewygodnym, niemodnym piecem i zapadniętą podłogą siwowłosa służąca o porządnym wyglądzie bony do dzieci usiłowała nauczyć szczupłą, obojętnie patrzącą dziewczynę, jak polewa się tłuszczem pieczeń baranią.

— Spróbuj zrozumieć, co mówię, Ellen — odezwała się ostro starsza kobieta. — Powiedziałam ci już sześć razy, abyś polewała mięso sosem, ale wydaje mi się, że ty mnie nie rozumiesz.

— Przecie robie, co mi pani godo — odparła dziewczyna wyraźnym akcentem z Yorkshire.

— To zależy! — parsknęła starsza kobieta.

Odwróciła głowę, gdy drzwi do kuchni otworzyły się i młody głos zawołał:

— Abby! Abby!

Abigail, bo tak brzmiało jej pełne imię, odwróciła się od pieca i spojrzała na wchodzącą do kuchni dziewczynę.

Ze względu na jasne włosy i niebieskie oczy mogłaby zostać uznana za typową Angielkę, gdyby nie zadziwiający urok jej twarzy. Jej oczy wydawały się niemal zbyt duże w owalu twarzy i chociaż były niebieskie, był to raczej głęboki błękit południowego morza niż wiosennego nieba.

Ludzie, którzy przyglądali się Torilli z bliska, dostrzegali słodczy jej miękko zarysowanych ust i łagodny uśmiech, przywodzący na myśl słoneczne światło nieśmiało przenikające przez liście drzew.

— O co chodzi, panienko? — zapytała Abby.

— List, Abby! List od lady Beryl i... Czy uwierzysz? Zareczyła się i wychodzi za mąż!

— Był już na to czas — powiedziała Abby z poufałością starej służącej. — Jaśnie pani musi się już zbliżyć do dwudziestu jeden lat i po sukcesie towarzyskim, jaki odniosła w Londynie, dawno temu już spodziewałam się, że wyjdzie za męża.

— A więc teraz się zaręczyła — powiedziała Torilla. — Czy wyobrażasz sobie, Abby, że błaga mnie, abym przyjechała i zatrzymała się u niej?!

Zajrzała do listu i przeczytała na głos:

Musisz być moją druhną, Torillo. Chcę mieć tylko jedną druhnę, aby nie stwarzać sobie niepotrzebnej konkurencji.

Torilla roześmiała się.

— Tak jakby można było mówić o konkurencji dla Beryl!

Abby nie odezwała się, więc dziewczyna czytała dalej:

Musisz przyjechać do mnie natychmiast, gdy dostaniesz ten list. Nie zwlekaj. Chciałabym, byśmy razem omówiły stroje, plan mojego ślubu i wiele innych spraw. Czekają nas oczywiście liczne przyjęcia, na których wszyscy będą chcieli poznać mojego narzeczonego.

— A kto jest przyszłym mężem jaśnie pani Beryl? — zapytała Abby.

Torilla zajrzała ponownie do listu i przewróciła strony.

— Nie uwierzysz, Abby — odparła — ale nie podaje jego nazwiska!

Roześmiała się lekko.

— Czyż to nie cała Beryl? Zawsze zapomina o czymś ważnym. Widzę, że będę miała pełne ręce roboty, zajmując się nią. To znaczy, jeżeli tato... pozwoli mi... pojechać.

Jej głos zamarł przy ostatnich słowach, a w dużych oczach pojawił się wyraz powątpiewania.

— Oczywiście, że musi panienska pojechać — powiedziała zdecydowanie Abby — chociaż niebiosa wiedzą, w co panienska się ubierze?

— O to nie potrzebujemy się martwić — odparła Torilla. — Pasują na mnie ubrania Beryl, a ona zawsze była bardzo hojna i pozwalała mi nosić wszystko, o cokolwiek ją poprosiłam, nawet stroje do jazdy konnej.

Na jej twarzy pojawił się nagle tęskny wyraz.

— Och, Abby, czy myślisz, że będzie mi wolno dosiąść koni wuja Hektora? Tak cudownie byłoby znowu dosiąść dobrego konia.

— Jestem pewna, że wujek panienki z ogromną przyjemnością da paniencie konia, tak jak wtedy, gdy była panienska dzieckiem.

— Myślę, że to właśnie koni brakuje mi bardziej niż czegokolwiek innego — powiedziała Torilla.

— Mnie brakuje całego mnóstwa rzeczy — zaripostowała Abby — i paniencie tak samo, szczerze mówiąc.

Z tymi słowami Abby zaczęła zdejmować brązowy holenderski fartuch, na czas gotowania założony na nieskazitelnie biały, który nosiła do swojej szarej sukni.

— Od razu zacznę pakować rzeczy panienki — powiedziała.

— Nie, Abby, zaczekaj, zaczekaj! — zawołała Torilla. — Najpierw muszę zapytać tatę. Może nie chce, żebym jechała do... domu.

Wypowiedziała to słowo z wahaniem i dodała niemal przeproszająco:

— Zawsze myślę o Fernford jako o... domu... którym był przez siedemnaście lat, zanim... umarła mama.

— Zgadza się, panienko. To jest dom! — powiedziała zdecydowanie Abby. — Tam właśnie jest miejsce panienki. Nie powinniśmy byli nigdy przyjeżdżać do tego brudnego miejsca. Taka jest prawda!

Torilla uśmiechnęła się. Słyszała Abby mówiącą to nie raz, a tysiąc razy.

— Wiesz, co ono znaczy dla taty — powiedziała miękko.

W tym momencie usłyszała dźwięk zamykanych drzwi frontowych.

— Oto on! — zawołała. — Pospiesz się z lunchem, Abby, bo obie dobrze wiemy, że wyjdzie znowu nic nie zjadłszy. Pójdę porozmawiać z nim.

Zanim skończyła mówić ostatnie słowa, odwróciła się i wybiegła z kuchni przez wąskie, ciemne przejście, wiodące do cokolwiek pretensjonalnego hallu.

W drzwiach stał wielebny Augustus Clifford, pastor Barrowfield.

Był przystojnym mężczyzną, wyglądającym na starszego, niż był w rzeczywistości. Włosy miał niemal zupełnie siwe, a jego nazbyt szczupła twarz, poprze-

cinana głębokimi bruzdami, nadawała mu wygląd człowieka pracującego ponad siły.

Kiedy kładł na krzesło swój kapelusz duchownego, sprawiał wrażenie zmartwionego, ale gdy ujrzał idącą w jego kierunku Torillę, uśmiechnął się.

— Widzisz, że wróciłem, Torillo — powiedział — i to na czas, tak jak mi powiedziałaś!

— I bardzo dobrze zrobiłeś, tato. Lunch jest gotowy. Nie zniósłabym, gdybyś zmarnował ten piękny udziec barani, który dał nam farmer Shipton.

— Tak, oczywiście, nie zapomniałem — powiedział pastor — i jeżeli jest dość duży, może moglibyśmy się podzielić...

— Nie, tato — powiedziała zdecydowanie Torilla. — Nie jest aż tak duży, by się z kimkolwiek dzielić, ale wejdź do jadalni, mam ci coś do powiedzenia.

Pastor posłuchał jej i oboje weszli do małego, ciemnego pokoju usytuowanego, w przeciwieństwie do bawialni, od frontu domu, czyli od północy. Stało tam kilka mebli, które przywieźli ze sobą z południa, ale zasłony były zrobione z taniego materiału, chociaż Abby i Torilla starały się, jak potrafiły, skopiować drapowane lambrekiny, które widziały w Fernleigh Hall.

Młodsza siostra hrabiny Fernleigh, Elżbieta, wyszła za Augustusa Clifforda, gdy był wikarym w kościele św. Jerzego przy Hannover Square w Londynie. Spełniając prośbę swojej żony, hrabia Fernleigh mianował go pastorem małej parafii Fernford w swojej posiadłości w Hertfordshire. Torilla i Beryl wychowywały się razem.

Dla kuzynek był to bardzo szczęśliwy układ i mimo że Beryl była o dwa lata starsza od Torilli, różnica wieku między nimi nie była widoczna. W rzeczywistości Torilla była znacznie zdolniejsza od kuzynki i nie tyle ona starała się dotrzymać kroku starszej dziewczynce, ile Beryl nie nadążała za nią podczas lekcji.

Hrabina Fernleigh wołała spędzać większość czasu w Londynie, wobec czego Beryl częściej przebywała ze swoją ciotką niż z matką. Kochała panią Clifford i gdy ta umarła niespodziewanie pewnej mroźnej zimy, Beryl była pogrążona w żalu niemal tak głębokim, jak Torilla.

Strata matki zupełnie zmieniła życie Torilli. Wielebny Augustus zdecydował, że jedynym wyjściem jest opuszczenie domu, w którym był tak szczęśliwy ze swoją żoną. Nie chciał już pracować w cichej wiosce, gdzie zresztą niewiele miał do zrobienia. Złożył podanie, aby wysłano go do jednego z najbardziej odludnych i dotkniętych nędzą terenów na północy i w dwa miesiące po śmierci żony został skierowany do Barrowfield.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że Torilla z trudem uświadamiała sobie, co się dzieje, aż znalazła się w obcym, nieprzyjaznym miejscu, oddalonym od wszystkiego, co było jej znane, i gdzie w swoim nieszczęściu mogła się zwrócić jedynie do Abby.

Dla wielebnego Augustusa ta zmiana była ulgą w cierpieniu i wyzwaniem, którego pragnął przez całe swoje życie, a z czego nikt nie zdawał sobie sprawy.

Powodowany nieodpartym pragnieniem niesienia pomocy tym, którym gorzej powiodło się w życiu, i przepojony duchem krucjaty, całym sercem oddał się problemom i trudnościom, wynikającym z przerażającej nędzy górniczej wioski. Zachowywał się tak, jakby zupełnie samotnie wypowiedział wojnę siłom zła.

Tylko Torilla i Abby wiedziały, że gdyby temu nie zapobiegały, w swoim zapale walczyłyby o poprawę warunków, jakie zastał w swojej nowej parafii, bez jedzenia i snu.

Skromne oszczędności, jakie posiadał, i niemal każdy pens z jego wynagrodzenia wydawane były na ludzi, dla których pracował. Tylko dlatego, że Abby nalegała, aby natychmiast po wypłacie dawał jej do ręki wystarczającą na prowadzenie domu sumę pieniędzy, pastor nie mógł już ich rozdać, a oni nie musieli głodować.

Siadając przy stole w jadalni, Torilla wiedziała, że prawdziwą trudnością w uzyskaniu zgody ojca na wyjazd na południe będzie koszt podróży.

— Dostałam list od Beryl, tato — powiedziała, gdy pastor nalał sobie szklanekę wody, a w drzwiach ukazała się Abby, niosąca udziec barani.

— Od Beryl? — pastor zapytał tak, jakby nigdy nie słyszał tego imienia.

— Beryl wychodzi za mąż, tato. Prosi mnie, żebym przyjechała i zatrzymała się we dworze, aby pomóc jej w przygotowaniu wyprawy. I poprosiła mnie, żebym została jej druhną.

— Ach, Beryl! — zawołał pastor, biorąc nóż do krojenia mięsa.

— Czy masz coś przeciwko temu, żebym pojechała, tato? — zapytała Torilla.

— Nie, nie. Oczywiście, że nie — odparł pastor. Potem, odciawszy plasterek baraniny i umieściwszy go na swoim talerzu, dodał:

— Ale wątpię, czy możemy sobie na to pozwolić.

— Pojadę dylizanssem — powiedziała Torilla. — Jeśli wybiorę się sama i zostawię Abby, żeby opiekowała się tobą, nie będzie to tak wiele kosztowało.

Z początku, gdy dostała list Beryl, myślała, że będzie mogła zabrać ze sobą Abby, ale teraz wiedziała, że Abby musi zostać z pastorem nie tylko ze względu na wydatek, ale także dlatego, że pastor sam nie zadba o siebie. Abby potrafiła zmusić go do jedzenia i spania jeszcze skuteczniej niż ona sama.

— Uważałem — powiedział pastor, mówiąc jakby do siebie — że wszystkie pieniądze, jakie mamy, powinna dostać pani Coxwold. Spodziewa się dziewiętego dziecka i jestem pewien, że najstarsza dziewczynka ma suchoty.

— Bardzo żałuję Coxwoldów, tato — odparła Torilla — ale wiesz równie dobrze jak ja, że pan Coxwold każdego piątkowego wieczoru wybiera się do gospody i przepija przynajmniej połowę swojej wypłaty.

— Wiem, wiem — powiedział pastor — ale człowiek ma prawo wydać to, co zarobi.

— Nie wtedy, gdy głodują jego dzieci — zareplikowała Torilla.

— Druga córka skończy w tym miesiącu pięć lat i sądzę, że poślą ją do pracy w kopalni.

— Och nie, tato! — zawołała Torilla. — Jest za mała! Pamiętasz, jak chore było małe dziecko Barnsbych, gdy pracowało po kolana w wodzie i nabawiło się zapalenia płuc.

Pastor westchnął.

— Oni muszą jeść, Torillo.

— Tak jak i pan, sir — powiedziała, wracając do pokoju, Abby.

Niosła dwa talerze: na jednym były ziemniaki, a na drugim raczej nieapetycznie wyglądająca kapusta.

— Mam już dosyć — powiedział niepewnie pastor, patrząc na maleńkie kawałeczki mięsa na swoim talerzu.

— Nie zabiorę tej baraniny ze stołu, dopóki pan nie nabierze sobie, jak należy, sir — groziła Abby tkliwym tonem niani, mówiącej do krnąbrnego dziecka.

Pastor wziął sztucce i dołożył sobie na talerz dwa małe plasterki mięsa. Abby stała z warzywami u boku pastora, aż nałożył sobie dwie łyżki ziemniaków, po czym zaczekała, aż Torilla skończy. Wtedy odezwała się:

— Czy mogłaby panienka wyjąć z pieca pudding gotowany na parze? Nie ufam tej dziewczynie. Syrop jest tutaj, a więc potrzebujemy teraz tylko puddingu.

— Tak, oczywiście — powiedziała posłusznie Torilla.

Abby podała jej baraninę i Torilla wyniosła ją do kuchni wiedząc, że Abby porozmawia z ojcem.

— Panienska Torilla powiedziała panu, sir — zaczęła natychmiast po wyjściu Torilli — że jaśnie pani Beryl poprosiła ją o przyjazd na południe na jej ślub?

— Tak, panienska Torilla powiedziała mi o tym — odparł pastor. — Faktem jest, Abby, że nie możemy sobie na to pozwolić. Dylizanse kosztują, a do Hertfordshire jest daleko.

— Ale już najwyższy czas, sir, proszę mi wybaczyć szczerłość, aby panienska Torilla wróciła i zobaczyła dla odmiany jakichś przyzwoitych ludzi.

Pastor spojrział na nią zaskoczony, a Abby ciągnęła, zanim zdążył się odezwać:

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że panienska Torilla jest tu od niemal dwóch lat i nie zamieniła nawet pół tuzina słów z żadną lady czy dżentelmenem? Jej biedna matka przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, w jakie miejsce pan ją przywiózł. Taka jest prawda!

Pastor wyglądał na zaskoczonego.

— Nie pomyślałem o tym, Abby.

— A ja tak, sir! Panienska Torilla ma osiemnaście lat i gdyby żyła pani Clifford — świeć, Panie, nad jej duszą — rozglądałaby się za odpowiednim mężem dla panienski Torilli, wydając dla niej przyjęcia i zapraszając do domu przyjaciół w jej wieku.

Abby zachnęła się i ciągnęła dalej:

— Jakiego rodzaju ludzi możemy tu zaprosić? Obdarte, brudne kreatury, pokryte pyłem węglowym.

Mówiła zjadliwym tonem, ale gdy pastor uniósł rękę, dodała:

— Wiem, sir, że oni mają dusze oczekujące zbawienia, są chrześcijanami i są równi nam w oczach Boga. Ale nie spodziewa się pan chyba, że panienka Torilla wyjdzie za górnika, nieprawdaż, sir?

Pastor wyglądał nieswojo.

— Prawdę mówiąc, Abby, nie myślałem o panience Torilli jako o dorosłej.

— Ale jest dorosła, sir, i doprawdy woła o pomstę grzebanie jej żywcem — bo to się właśnie dzieje — w tym strasznym miejscu.

— Jestem tu potrzebny — powiedział cicho pastor, niemal jakby bronił swojej sprawy na ławie oskarżonych.

— Bardzo być może — odparła Abby — i nie mówię, sir, że nie wykonuje pan zbożnego dzieła ani że nie robi pan tego dobrze. Taki pan sobie obrał zawód, że tak powiem. Ale panienka Torilla nie jest ani proboszczem, ani kaznodzieją. Jest młodą kobietą i do tego bardzo ładną!

Nie było czasu, aby dodać coś jeszcze, gdyż do pokoju wróciła Torilla z małym puddingiem na środku bardzo dużego talerza.

Postawiła go przed ojcem, który przez chwilę był tak głęboko pogrążony w myślach, że wydawał się nie dostrzegać jej obecności.

Torilla popatrzyła na Abby z dużym niepokojem. Gdy pokojówka zmieniła talerze i podała pastorowi łyżeczkę, powiedział:

— Masz rację, Abby. Panienka Torilla musi pojechać na ślub lady Beryl. Jakoś znajdziemy pieniądze.

Gdy wypadł z domu jeszcze nie przełknąwszy ostatniej łyżki puddingu, Torilla zwróciła się do Abby:

— Namówiłaś tatę, żeby się zgodził! Och, Abby, czuję się winna. Widziałas, że był zmartwiony, iż musi tyle na mnie wydać. Chciał dać te pieniądze Coxwoldom.

— Ci Coxwoldowie już dostali więcej, niż im się należy — powiedziała ze złością Abby. — Ta kobieta stale skamle, a biedny pastor wierzy każdemu jej słowu.

— Tak, wiem, Abby, ale on naprawdę tak bardzo cierpi, a to miejsce jest straszne. Nie mogę wytrzymać widoku tych dzieci.

Dodała z lekkim szlochem:

— Może to... samolubne z mojej strony? Jeśli zostanę i tato da pieniądze Coxwoldom, może to dla nich ogromnie wiele znaczyć.

— Choćby stu Coxwoldów tu umierało — powiedziała zdecydowanie Abby — nie uda im się powstrzymać wyjazdu panienki do lady Beryl.

— Może to niedobrze, że zostawiam tatę — wyszeptała Torilla.

— Jeśli panienka odrzuci zaproszenie, to tylko po moim trupie! A teraz proszę usiąść, panienko, i napisać do jaśnie pani, że wyjedzie stąd panienka w przyszły poniedziałek.

— Ależ, Abby, to pojutrze!

— Im wcześniej, tym lepiej — rzuciła oschle Abby — i nie potrzebuje się panienka martwić o ojca. Zatróż się o niego, dobrze panienka o tym wie.

— Liczy się bardziej z tobą niż ze mną — powiedziała Torilla. — Nigdy nie zdołałabym go przekonać, żeby zjadł te dodatkowe kawałki baraniny, a myślę, że bardzo mu smakowały, chociaż tego nie powiedział.

— Ten udziec barani starczy nam do końca tygodnia. Ojciec panienki potrzebuje więcej dobrych, solidnych posiłków. Nie martwiłby się wtedy tak bardzo o biednych i chorych.

Torilla wiedziała, że to prawda. Cierpiał jednak nie tylko jej ojciec. Sama nie mogła znieść widoku małych dzieci, pracujących w kopalni, które chłostano, gdy płakały czy zasypiały. Robiło się jej niedobrze, gdy widziała trzydziestoletnie kobiety, będące już starymi, niedołężnymi kalekami.

Potrafiła zrozumieć, dlaczego w tej brudnej, niszczonej dusze egzystencji, mężczyźni spieszyli każdego piątkowego wieczoru do gospody, aby choć przez godzinę zapomnieć o niebezpieczeństwach, jakie niosła ich praca w ciemności szybu.

Zawsze, gdy wydarzył się wypadek, jej ojciec wracał do domu z pobladłą twarzą i niemal ze łzami w oczach, a ona zabierała ugotowany przez Abby rosół dla chorych kobiet i dzieci, które nigdy nie jadały do syta.

Ale nie mogli dać wiele. Torilla wiedziała, że chodziłaby w tak samo wytartej odzieży, jak niektóre żony górników, gdyby od czasu do czasu Abby nie wymuszała na jej ojcu, żeby dał trochę pieniędzy na kawałek taniego materiału.

Do spakowania było żałośnie mało sukien, ale Abby spędziła następny dzień piorąc, prasując i szyjąc.

Torilli zostało trochę ubrań należących niegdyś do jej matki, ładnych sukien i strojów wieczorowych, których nie miała okazji nosić w brudnym i opuszczonym Barrowfield. Obawiała się, że były niemodne. Ale nie mogła ocenić, czy było tak rzeczywiście, bowiem nie mieli pieniędzy do stracenia na „Dziennik dla Pań” czy inny magazyn ze szkicami pokazującymi, co się nosi w Londynie.

Torilla nie martwiła się jednak o swój wygląd, bo wiedziała, że Beryl będzie dla niej tak hojna, jak zawsze.

Ubrana w nieco przetartą pelerynę, narzuconą na prostą muslinową sukienkę, i słomiany czepek obszyty tanią niebieską wstążką, opuściła plebanię wczesnym poniedziałkowym rankiem, aby złapać dylizans, którym miała pokonać pierwszy etap podróży.

— Faktem jest, że nie powinna panienka podróżować sama! — powiedziała Abby, gdy na skrzyżowaniu czekały na dylizans jadący z Leeds.

— **Cóż, nie możemy udawać, że jestem dzieckiem na ręku — odparła z uśmiechem Torilla. — A nie ma innego sposobu, abyśmy mogły pojechać na jeden bilet.**

— Niech panienka nie rozmawia z nieznanymi — przestrzegła Abby. — To mi przypomina, że chciałam panience o czymś powiedzieć.

— Cóż to takiego? — zapytała z lekką obawą Torilla.

— Przez ostatnie dwa lata, kochanie, prowadziła panienska dziwne, nienaturalne dla młodej dziewczyny życie, otoczona jedynie nieszczęściem, nędzą i brudem. Chcę powiedzieć, żeby nie mówiła panienska o tym zbyt wiele, gdy będzie panienska z jaśnie panią.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ludzie nie chcą słuchać o takich rzeczach, panienko. Chcą rozmawiać o szczęściu, a nie o niedoli.

Abby przerwała na chwilę, po czym mówiła dalej:

— **Czy pamięta panienska, jak jej matka zwykła była mówić do pana: „Rozchmurz się, kochanie, nie możesz brać wszystkich zmartwień i grzechów świata na swoje barki”?**

Torilla uśmiechnęła się lekko.

— Tak, pamiętam, że mama tak mówiła, a ojciec zwykł był pytać: „Czy jestem nudny?”

— Zgadza się — powiedziała Abby — a odkąd droga matka panienki odeszła, taki właśnie zrobił się dla innych ludzi.

— Nie uważam, że jest nudny! — zawołała lojalnie Torilla.

— Nie, kochanie, ale inni mogą tak uważać i dlatego, gdy będzie panienska daleko stąd, niech panienska zapomni o tym, co widziała i co słyszała, i wróci po prostu do uroków życia tak, jak było w dawnym domu panienki.

Powiedziała ostatnie słowa celowo i ujrzała nagły błysk w niebieskich oczach Torilli. Wiedziała, że Torilla myśli o tym, jak szczęśliwi byli wszyscy na

plebanii stojącej w czystej, ładnej wiosce o krytych strzechą domkach, z przylegającymi do nich ogrodami pełnymi kwiatów.

— Obiecujecie panienka? — nalegała Abby.

— Że nie będę nudna? — zapytała Torilla. — Tak, oczywiście, że obiecuję, ale tak bardzo żałuję, Abby, że nie jedziesz ze mną! Jeśli ktokolwiek zasługuje na wakacje, to właśnie ty!

— Będę miała wakacje, myśląc o tym, że panienka odmieni nieco życie i spędzi czas na zabawach — odparła Abby.

Popatrzyła na drogę i w oddali dojrzała dyliżans.

— Jedzie! — zawołała. — Niech się panienka dobrze bawi, kochanie. Proszę się cieszyć każdą chwilą i zapomnieć o wszystkim innym.

— Nigdy nie zapomnę o tobie, kochana Abby.

Zarzuciła starej niani ręce na szyję i ucałowała ją w oba policzki.

— Dziękuję, że obiecałaś zaopiekować się tatą. Tylko dzięki tobie mogę być na ślubie Beryl.

— Proszę powiedzieć jaśnie pani, że życzę jej szczęścia i mam nadzieję, że przyszły mąż jest jej wart.

— Ja też mam taką nadzieję.

Dyliżans, z dachem załadowanym bagażami i z kilkoma pasażerami siedzącymi na górze, zatrzymał się przy nich z turkotem. Konwojent zeskoczył, aby wziąć mały kuferek Torilli o zaokrąglonym wieku i umieścić go na dachu, po czym otworzył drzwi powozu.

3

Torilla zobaczyła, że było tylko jedno wolne miejsce pomiędzy dwiema grubymi osobami, które i tak zajmowały więcej przestrzeni, niż im się należało.

— Do widzenia, Abby — powiedziała i wsiadła do powozu, przepaszając za potrącenie nóg pasażerów.

Usiadła, konwojent wspiął się na swoje miejsce i Torilla pochyliła się, aby pomachać. Abby też jej pomachała. Uśmiechała się, ale w oczach miała łzy, gdy woźnica zaciął konie i dyliżans ruszył w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ 2

Markiz Havingham z fasonem zajechał swoim czterokonnym zaprzęgiem, złożonym z doskonale dobranych kasztanów, na podwórze gospody „Pod Pelikanem”.

Prowadził swój specjalnie zbudowany powóz podróżny, który był lżejszy i tym samym szybszy od wszystkich innych pojazdów na drodze.

— Myślę, że pobiliśmy dzisiaj rekord, Jim — zauważył markiz.

— Świetna robota, milordzie — odparł Jim, wiedząc, że będzie to mógł z dumą opowiedzieć innym stajennym w szynku.

Markiz z konsternacją rozejrzał się po zatłoczonym podwórzu. Stało tam, opartych dyszlami o ziemię, o wiele więcej modnych pojazdów, niż się spodziewał. Po chwili zawołał:

— Oczywiście! Wyścigi Doncaster! Zapomniałem o nich!

— Spodziewam się, że Waszej Lordowskiej Mości będzie wystarczająco wygodnie — powiedział uspokajająco Jim. — Pan Harris tym się zajął.

Markiz nie miał co do tego żadnych wątpliwości, ponieważ wysyłając przodem swojego służącego z bagażem, zawsze był pewien, że dostanie najwygodniejsze pokoje i że wszystko będzie czekało gotowe na jego przyjazd.

Zdawał sobie jednak sprawę, że wyścigi w każdym mieście gromadziły wyższe sfery z bliższej i dalszej okolicy. Oznaczało to, że personel gospody będzie padał z nóg i że nieuchronnie będzie panował zgiełk, czego po długim dniu podróży straszliwie nie znośli.

Ale teraz nie można już było temu zaradzić i wysiadając ze swego powozu niemal żałował, że nie zatrzymał się u przyjaciół tak, jak uczynił to w drodze na północ.

— Komu złożysz wizytę, gdy stąd wyjedziesz? — zapytała go matka, zanim się rozstali.

— Zdecydowałem, że pojedę na południe tak szybko, jak to tylko możliwe — odparł markiz — gdyż, szczerze mówiąc, mam, większość ludzi, u których zatrzymywałem się po drodze, okazała się ogromnie nudna.

Nie dodał, iż jedną z przyczyn owej nudy było to, że właściciele dużych i wygodnych dworów, którzy go wylewnie witali, mieli zwyczaj narzucania mu którejs z swoich córek. Z przyjemnością spędził kilka dni w Woburn Abbey, w Burleigh oraz z księciem Darlingtonem w jego wywierającym ogromne wrażenie wiejskim domu.

Ale manewry pań domu, aby zainteresować go swoimi — zwykle prostymi i małomównymi — cór-

kami, sprawiły, że markiz zatęsknił za wyrafinowanymi, dowcipnymi i uwodzicielskimi kobietami, z którymi spędzał czas w Londynie. Wszystkie były na szczęście mężatkami i, co więcej, znały reguły gry; nie istniała więc możliwość, że zagrozi mu obrączka, która stanowiła, jego zdaniem, takie ograniczenie, jak para kajdanków.

Był już związany przyrzeczeniem z Beryl Fern i obliczone na małżeństwo zabiegi, z którymi spotykał się w minionych latach aż za często, drażniły go tym bardziej. Gdy przyjechał do Harrogate, zdecydował, że nie ma najmniejszego zamiaru jeszcze raz poddać się nudzie tych intryg.

— Ale ty nie znosisz gospód i hoteli, kochanie — zauważyła ze zdumieniem matka.

— Wiem, mamó, ale muszę wytrzymać to przez jedną noc, od czasu do czasu, a Harris zapewnia mi tyle wygody, ile jest w ludzkiej mocy w takich warunkach.

— Byłabym szczęśliwsza, gdybyś zatrzymał się u przyjaciół — nalegała markiza.

— Ale nie zatrzymam się! Więc przestań się martwić, mamó. Jak zwykle pojedę incognito.

Markiz był nie tylko jedną z najznakomitszych postaci elity towarzyskiej, znano go także w całym kraju jako właściciela koni wyścigowych. To sprawiło, że zdecydował się używać jednego ze swoich pomniejszych tytułów, gdy zatrzymywał się w gospodach czy zajazdach.

Wiedział teraz, że Harris zarejestrował go w gospodzie „Pod Pelikanem” jako sir Alexandra Abdy.

Dzięki temu nie będą go nachodzić „pieczeniarze”, którzy zawsze otaczali go na wyścigach, bądź oblegali w Londynie z błaganiami o pomoc czy też — co było trudniejsze — z pretensjami do przyjaźni wyniesionej z czasów wojny.

Wszedł do gospody bocznymi drzwiami, które otwierały się na podwórze i — tak jak się spodziewał — spotkał czekającego Harrisa. Był z nim starszy stajenny, którego także wysłał przodem, by zajął się końmi.

— Dobry wieczór, milordzie — powiedzieli jednocześnie obaj mężczyźni.

— Doskonały bieg, Ben — zwrócił się do stajennego markiz. — Te nowe kasztany warte są każdego pensa, jakiego za nie zapłaciłem.

— Cieszę się, że to słyszę, milordzie.

— Ostro je dziś pogałem — rzekł markiz — więc będziesz musiał im jutro poluzować. Uważaj na tego nowego woźnicę, to pędziwiatr.

— Dobrze, milordzie.

Harris poprowadził markiza wąskim przejściem i następnie w górę starymi dębowymi schodami. Idąc, słyszał hałas płynący z baru i wiedział, że uczestnicy wyścigów już świętują bądź też, po dniu spędzonym na torze, topią w alkoholu swoje smutki.

Gdy Harris wprowadził go do przyjemnej sypialni z okiennymi wykuszami i łóżkiem z czterema kolumnami, które wyglądało na względnie wygodne, markiz powiedział:

— Zapomniałem, że w tym tygodniu odbywają się w Doncaster wyścigi.

— Wasza Lordowska Mość mógł o tym, jak mi się wydaje, zapomnieć — odparł Harris — a ponieważ nie wystawiamy naszych zwierząt wiosną, obawiam się, milordzie, że i mnie umknęło to z pamięci.

Markiz przyzwyczajony był do tego, że starsza służba identyfikowała się z nim i tym, co posiadał, powiedział więc tylko:

— Uważam, że jest tu piekielny tłok, jak można się było zresztą tego spodziewać.

— Z przykrością muszę przyznać panu rację, milordzie, ale zajęliśmy prywatny pokój i przypuszczam, że będzie Waszej Lordowskiej Mości całkiem wygodnie.

Przerwał, zanim dodał z wahaniem:

— Muszę wyznać jednak, że niestety nie udało mi się zająć również sąsiedniej sypialni.

Markiz nie odezwał się i Harris, pomagając mu zdjąć płaszcz, ciągnął dalej:

— To jedynie klitka, milordzie, i przekonałem właściciela gospody, aby nie wynajmował jej jednemu z dżentelmenów, który, jak sądziłem, może być hałaśliwy, lecz pewnej damie, bo raczej nie będzie przeszkadzała Waszej Lordowskiej Mości.

Markiz ponownie się nie odezwał, ale rozdrażniła go myśl, że może ktoś będzie się głośno kręcił po sąsiednim pokoju, nie dając mu spać.

Miał bardzo aktywny umysł i dlatego, gdy kładł się do łóżka, lubił całkowitą ciszę, którą starał się zapewnić sobie za wszelką cenę. Dlatego, na wyraźne polecenie, służba zawsze wynajmowała sąsiadującą z jego

pokojem sypialnię, bądź dwie — po jednej z każdej strony — jeżeli było to konieczne.

Wiedział doskonale, że to z jego własnej winy układ taki nie był tym razem możliwy: stwierdził nawet filozoficznie, że w ogóle miał szczęście, zdobywając zakwaterowanie w tygodniu wyścigów.

Chociaż nie zapytał, był zupełnie pewien, że Harris przebił łapówkę, jaką zapłacił mniej hojny służący jakiegoś nieszczęśnika. Dał także obsłudze tak szczodre napiwki, że jeżeli kogokolwiek zaniedba się czy przeoczy „Pod Pelikanem”, to na pewno nie jego.

Markiz wziął kąpiel przed kominkiem, a potem, ubrawszy się w strój wieczorowy, zszedł na dół do małego, ale wygodnego, prywatnego salonu. Palił się tam ogień, aby było mu ciepło. Podano doskonałą kolację i — tak jak się spodziewał — obsługa spisywała się bez zarzutu.

Po skończonym posiłku usiadł przy ogniu, aby wysączyć kieliszek brandy i uważnie przeczytać gazety, które dostarczył mu Harris. Z satysfakcją zauważył, że konie biegnące na wyścigach nie dorównywały klasie jego koni i nie stanowiłyby wyzwania dla jego stajni. Jediną rzeczą, jakiej w związku ze swoimi końmi markiz nie lubił, było łatwe zwycięstwo.

Powiedział sobie, że miał rację rywalizując w Doncaster tylko w wyścigach St. Leger, organizowanych we wrześniu. W tym roku postawił zresztą na Ascot, ponieważ postanowił wygrać złoty puchar.

Zerknął na inne wiadomości w gazecie i znalazł zwykle narzekania na temat trudności, jakich do-

świadczał kraj w dostosowywaniu się do warunków pokoju. Doniesienia z parlamentu były jak zwykle suche i nudne.

Po całym dniu spędzonym na powietrzu ciepło ognia sprawiło, że poczuł się śpiący. Skończywszy brandy, znacznie wcześniej niż zwykle poszedł na górę, gdzie czekał Harris, aby pomóc mu się rozebrać.

Gdy nocował w publicznych gospodach czy hotelach, jego służący zabierał nie tylko własną pościel markiza, ale i poduszki, którymi zaścielał łóżko.

— Czy Wasza Lordowska Mość życzy sobie zostać obudzonym wcześniej? — zapytał Harris.

Na rękę trzymał gotowe do zapakowania ubranie markiza. Następnego ranka miał opuścić gospodę zaraz, gdy się rozjaśni, aby jechać przodem, tak jak dzisiaj, i przygotować wszystko na przyjazd swojego pana.

— Godzina ósma wystarczy — odparł markiz. — Przygotowałeś moje ubranie dla Jima?

— Wszystko jest w szafie, milordzie — odparł Harris. W jego głosie brzmiała nuta wymówki, że markiz uważał za konieczne sprawdzać go.

To doskonale, pomyślał markiz, że Jim, który był jego stajennym, potrafił także usługiwać mu, gdy było to konieczne.

— Dobrej nocy, milordzie — powiedział z szacunkiem Harris. — Mam nadzieję, że Waszej Lordowskiej Mości nic nie będzie przeszkadzało.

— Też mam taką nadzieję — odparł markiz.

Harris po raz ostatni rzucił okiem, by upewnić się, że wszystko było w porządku i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Markiz zdjął długi jedwabny szlafrok, rzucił go na krzesło i położył się do łóżka. Miał rację myśląc, że łóżko wyglądało na wygodne; materac wypchany był gęsim pierzem. Tonąc w nim pomyślał z satysfakcją, że znacznie lepiej spędzić wieczór samotnie, niż przymusowo słuchać nudnego gospodarza.

Co gorsza, ze względu na wagę jego osoby, gdy przybywał do jakiegoś wiejskiego dworu, okazywało się, że na jego cześć urządzono przyjęcie. To oznaczało, że oczekiwano, iż będzie miły dla wielu ludzi, z którymi nic go nie łączyło, których nigdy przedtem nie widział i w większości wypadków miał nadzieję nigdy więcej już nie zobaczyć.

Lniane prześcieradła były miłe i chłodne. Ogień na kominku rozpraszał złotym blaskiem cienie pokoju. Markiz prawie już spał, gdy usłyszał ciężkie, trochę niepewne kroki, wstępujące po dębowych schodach. W tym półśnie pojawiła się myśl: dlaczego, do diabła, właściciele gospód nie wykładali schodów chodnikami, tak jak inni cywilizowani ludzie.

Potem, tak głośno, że aż się wzdrygnął, rozległo się pukanie do drzwi.

Przez chwilę myślał, że to jego drzwi, gdy jednak pukanie powtórzyło się, zdał sobie sprawę, że chodziło o drzwi sąsiednie.

— Kto... tam?

Pytanie zostało postawione przez kobietę, bardzo cichym głosem. Jednak markiz słyszał ją zupełnie wyraźnie i pomyślał ze złością, że ściana dzieląca dwa pokoje była zbyt cienka.

— Mom tu coś, co paniynka ostawiła w jadalni — powiedział męski głos. Mówił dziwnym akcentem, którego markiz nie potrafił zidentyfikować; pomyślał po prostu, że brzmi niezwykle.

— Ale jestem... pewna, że nic nie... zostawiłam! — zaprzeczała kobieta.

— Mom to tutaj, paniynko.

Markiz usiłował nie myśleć o tym, co się dzieje, ale wyobraził sobie, że kobieta — kimkolwiek była — wstaje z łóżka.

Potem usłyszał obracający się w zamku klucz.

— Nie przychodzi mi do głowy... — zaczęła, po czym głos jej zamarł, zanim wykrzyknęła: — Och... to... pan!

— Tak, to ja — powiedział mężczyzna zupełnie innym akcentem. — Wymknęła się pani, nie powiedziawszy dobranoc.

— Nie miałam... nic do powiedzenia... a pan nie miał prawa, sir... rozmawiać ze mną.

— Ale ja chcę z panią porozmawiać.

— Nie powinien pan być... tu przychodzić... proszę odejść.

Markizowi wydało się, że kobieta usiłuje zamknąć drzwi. Potem wykrzyknęła:

— Nie! Nie! Nie wolno panu wchodzić! Proszę odejść... proszę odejść... natychmiast!

— Chcę z panią porozmawiać.

— P... proszę... mnie zostawić samą... Nie może pan wejść do mojej... sypialni.

— Jestem w środku! Co pani zamierza z tym zrobić?

— Nie ma pan prawa... Będę wołać o pomoc, jeśli pan... nie wyjdzie... natychmiast!

— Wątpię, czy właściciel gospody albo ktokolwiek inny usłyszy panią. Są zajęci na dole.

— Proszę ... odejść! Położyłam się... do łóżka... i nie mam panu... nic do powiedzenia.

— Ale ja mam mnóstwo do powiedzenia pani! Jest pani bardzo śliczna, panno Clifford. Widzi pani, dowiedziałem się pani nazwiska, mimo że pani nie chciała mi go zdradzić.

— P... pan musi... wyjść... to niewłaściwe... pan wie, że to niewłaściwe... siłą wchodzić do m... mojej sypialni... w ten sposób!

— Nie widzę w tym nic niewłaściwego i jeśli przestaniesz pani się zgrywać, możemy się razem zabawić.

— Nie wiem... co ma pan na myśli... Proszę iść... Proszę, proszę mnie zostawić... samą!

— Tego, moja droga, nie mam najmniejszego zamiaru zrobić. No dalej, niech pani będzie rozsądna. Podoba mi się pani. Od dawna nie widziałem nikogo tak ślicznego.

Mężczyzna musiał wykonać jakiś ruch, gdyż rozległ się teraz krzyk, będący niewątpliwie krzykiem strachu.

— Nie... nie!

Zupełnie nagle markiz usiadł na łóżku. Tego nie można tolerować, pomyślał, żeby nie tylko przeszkadzano mi w odpoczynku, ale żeby jakkolwiek kobietę obrażano w tak haniebny sposób.

Z rozmowy, jaka toczyła się po wejściu nieproszonego gościa do pokoju, wywnioskował, że mężczyzna był w rzeczywistości dżentelmenem. Sposób, w jaki mówił, by zwabić kobietę do drzwi, był domniemanym akcentem, jakiego, jak sądził, używałby służący. Teraz jego mowa była wytworna, choć jednocześnie bełkotliwa, co kazało markizowi przypuszczać, że mężczyzna był pijany.

Markiz nie był pruderyjny i jeśli pragnął kobiety, ścigał ją. Ale nie uważałby za uczciwe narzucać swoich względów żadnej kobiecie, która wyraźnie by mu nie sprzyjała. Oczywiście nie zbliżyłby się do kobiety podróżującej samotnie, a więc pozbawionej opieki i bezbronnej.

Rozległ się kolejny krzyk. Tym razem markiz wyskoczył z łóżka i naciągając szlafrok wyszedł na korytarz. Drzwi sąsiedniego pokoju były zamknięte. Otworzył je bez pukania. Gdy wszedł, zobaczył, zgodnie ze swoimi oczekiwaniami, kobietę walczącą rozpaczliwie w objęciach mężczyzny.

Markiz natychmiast rozpoznał w nim stałego bywalca wyścigów, znanego jako sir Joscelyn Threnton. Można go było znaleźć w barze każdego toru wyścigowego, a jego towarzysze należeli do tych, których markiz podejrzewał o omijanie, gdzie się dało, reguł Klubu Dżokejów.

Usiłując pocałować kobietę, sir Joscelyn był tak zaabsorbowany, że nie widział wejścia markiza. Torilla ujrzała go zatem pierwsza.

— Pomocy! Pomocy! — zawołała.

Dwoma susami markiz przemierzył mały pokój i, wzięwszy sir Joscelyna za ramię, obrócił go twarzą do siebie.

— Wynoś się stąd! — powiedział ostro.

Sir Joscelyn zaczął z wściekłością:

— A co to ma, do diabła, wspólnego z...

Potem, jakby zdawszy sobie sprawę, do kogo mówi, zamilkł.

— Wynoś się!

Markiz nie musiał już nic więcej mówić.

Sir Joscelyn otworzył usta, jakby chciał wyjaśnić swoje zachowanie czy podać w wątpliwość prawo markiza do wydawania mu rozkazów, ale potem zreflektował się. Z wyzywającym wyrazem twarzy, ale natychmiast i bez zachowania choćby pozorów godności, wytoczył się z pokoju i na dębowych schodach rozległo się człapanie jego stóp.

Markiz popatrzył na ocaloną przez siebie kobietę i zdał sobie sprawę, że jest bardzo młoda i śliczna. Jej włosy opadały niemal do pasa, a jej oczy — szeroko otwarte i przerażone — wydawały się wypełniać całą twarzyczkę.

Stała zaledwie kilka cali od ściany małego pokoiku i teraz postąpiła krok naprzód, by powiedzieć cichym, wystraszoneym głosem:

— Dziękuję panu... dziękuję panu za... uratowanie mnie... Nie wiedziałam... co... robić.

— Bardzo mi przykro, że przydarzyło się pani coś tak nieprzyjemnego — powiedział markiz. — On nie wróci, ale proszę zamknąć drzwi na klucz i więcej ich nie otwierać.

— T... to było... bardzo... niemądre z mojej strony, że otworzyłam, ale... nigdy nie sądziłam... że są... na świecie... tacy mężczyźni.

Markiz nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Skoro teraz wie pani, że są, niech pani będzie w przyszłości ostrożniejsza.

— Będę — odpowiedziała — i... jeszcze raz panu dziękuję... Jestem... bardzo wdzięczna.

— Proszę iść spać i zapomnieć o tym — powiedział markiz, jakby mówił do dziecka.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi; zanim dotarł do swojego pokoju, usłyszał przekręcany w zamku klucz.

Wróciwszy do łóżka pomyślał, że potrafi zrozumieć sir Joscelyna, któremu spodobała się bardzo ładna dziewczyna, śpiąca w sąsiednim pokoju. Powiedział on, że od dawna nie widział nikogo tak ślicznego, i markiz przyznał mu teraz rację.

Zastanawiał się, kim jest i dlaczego podróżuje sama. Potem przypomniał sobie, że sir Joscelyn nazywał ją panną Clifford.

Nie jest to niezwykle nazwisko, pomyślał markiz, ale jest ona bez wątpienia damą. Ma włosy koloru wiosennego słońca.

Potem roześmiał się, że jest tak poetyczny, i zasnął.

Uplęnęło dużo czasu, zanim serce Torilli, walące jak młotem z przerażenia, zaczęło się uspokajać. Drżała jeszcze, kładąc się do łóżka.

Nigdy się nie spodziewała, aby dżentelmen ośmielił się wdrzeć w taki sposób do jej sypialni. Widziała, że przyglądał się jej w barze, gdzie siedział z kilkoma innymi dżentelmenami. Podczas obiadu robili się coraz głośniejsi i wrzaskliwi. Torilla zdała sobie sprawę, że popijali zbyt swobodnie.

W dalekim kącie, w którym siedziała wraz z innymi pasażerami dylizansu, kilku mężczyzn piło piwo, ale panie skromnie poprosiły o wodę. Ponieważ towarzystwo z dylizansu obsługiwano na końcu, jedzenie stygło i nie dano im do wyboru bardziej wyszukanych dań, które podawano innym biesiadnikom.

Torilla była zbyt zmęczona, aby odczuwać głód, ale zniecierpliwily ją długie przerwy pomiędzy daniami. Służba po prostu nie interesowała się ich wymaganiami. Myślała właśnie, że oczekiwanie na deser było beznadziejne, gdy męski głos zapytał:

— Czy mogę się przedstawić?

Spojrzała w górę i ujrzała stojącego z boku dżentelmena, który w zenujący sposób przyglądał się jej przez cały obiad.

— Jestem sir Joscelyn Threnton — ciągnął tonem, który, jak sądziła, miał wyrzeć na niej wrażenie.

— Czy wypije pani ze mną kieliszek wina?

— Nie... dziękuję panu, sir — odparła Torilla.

— Nigdy nie przyjmuję „nie” do wiadomości — zareplikował sir Joscelyn. — Proszę ze mną i poznamy się.

— Mogę tylko... powtórzyć... nie, dziękuję.

Sie Joscelyn miał zacząć dalszą wymianę zdań, gdy jeden z jego przyjaciół zawołał go z drugiego końca pokoju.

Odwrócił się od Torilli, a ta ze zrodzoną ze strachu chyżością zsunęła się z krzesła i wymknęła z pokoju, zanim sir Joscelyn zdał sobie z tego sprawę. Sądziła, że w zamkniętej na klucz sypialni jest bezpieczna.

Była już od pewnego czasu w łóżku, gdy usłyszała lokatora sąsiedniego pokoju rozmawiającego z kimś, kto, jak sądziła, był jego służącym.

Musiał być uczestnikiem wyścigów, powiedziała sobie; w przeciwnym wypadku mało prawdopodobne było, aby ktoś znaczny zatrzymał się w wiejskiej gospodzie. Gdy dwa lata temu jechała z ojcem na północ, gospody były niemal wyludnione. Ci goście, którzy się w nich zatrzymywali, byli komiwojażerami, ludźmi interesu bądź farmerami. Nie byli interesujący ani z wyglądu, ani jako partnerzy do rozmowy.

Torilla nie mogła się powstrzymać, aby nie przyglądać się szeroko otwartymi oczami elegancji niektórych dżentelmenów, powracających z toru wyścigowego. Od dawna nie widziała wymyślnie zawiązanych muślinowych krawatów, pantalonów w kolorze szampana, tak obcisłych, że leżały jak ulane, i butów z wypolerowanymi cholewami, odbijającymi wszystko jak lustro.

Jej ojciec, noszący czarny strój, i górnicy w brudnych łachmanach byli jedynymi mężczyznami, jakich oglądała przez ostatnie dwa lata.

Nigdy nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek, pretendujący do miana dżentelmena, zachował się w taki sposób, jak sir Joscelyn.

Podróżujących dylizanssem obudzono o piątej trzydzieści rano; pokojówka zapukała niedbale do drzwi Torilli i powiedziała:

— Śniodanie czeko, panienko.

Torilla obudziła się już jakiś czas temu. Drzemała trochę nad ranem, ale zrywała się, gdy wydawało się jej, że sir Joscelyn wyciąga ramiona, by ją pochwycić, a ona nie może uciec.

Im wcześniej stąd wyjadę, tym lepiej! — powiedziała sobie. Ubrała się i włożyła koszulę nocną do walizeczki zawierającej inne rzeczy, jakich potrzebowała na noc.

Wiedziała, że było bardzo mało prawdopodobne, aby któryś z uczestników wyścigów wstał tak wcześnie. Niemniej, jedząc bardzo niesmaczne śniadanie, jakie podano jej i towarzyszącej podróży, obserwowała drzwi baru na wypadek, gdyby wszedł sir Joscelyn.

Dopiero gdy dylizans odjechał sprzed gospody „Pod Pelikanem”, Torilla westchnęła z ulgą i powiedziała sobie, że dostała nauczkę, jakiej nigdy nie zapomni.

Zjadłszy w swoim prywatnym pokoju śniadanie złożone z bogatego zestawu dobrze przyrządzonych dań, o dziewiątej trzydzieści markiz opuścił hotel

z nowym zaprzęgiem świeżych koni, które, tak jak i ich właściciel, niecierpliwiły się, by znaleźć się już na drodze.

Dzień był jasny i słoneczny. Powietrze było ostre, ale — w miarę, jak słońce się podnosiło — robiło się ciepło, co oznaczało, że wkrótce nadejdzie lato.

Podczas gdy Jim pakował jego nocne przybory do kosztownej, skórzanej torby podróźnej, markiz już ubrany wyszedł na podest i zajrzał do sąsiedniego pokoju. Drzwi były otwarte a pokój pusty.

Mgliście przypomniał sobie, że wczesnym rankiem, gdy na wpół jeszcze spał, słyszał delikatne szmery. Były one tak ciche, że właściwie nie rozbudziły go w pełni, i teraz uświadomił sobie, że dziewczyna, którą ocalił poprzedniej nocy, musiała być pasażerką dyliżansu.

Dyliżans wyjechał o godzinie szóstej, ale markiz był pewien, że reszta gości gospody „Pod Pelikanem” spędzi kolejny dzień na wyścigach. Nie chciał ponownie spotykać się z sir Joscelynem, nie zatrzymywał się więc na podwórzu, które było jeszcze bardziej ruchliwe niż wtedy, gdy przyjechał.

Ze stajni wyprowadzano konie, by zaprząć je do dyszli faetonów, bryczek, powozów i kabrioletów. Stajenni i prywatni parobkowie krzyczeli na siebie, a właściciel gospody biegał na wszystkie strony z rachunkami, których obliczenie musiało mu zabrać pół nocy.

Markiz dał hojny napiwek i ruszył szybko, by znaleźć się na drodze, zanim zacznie się duży ruch, ponieważ miał do pokonania niemały dystans do następnego punktu przystankowego.

Dzień przeszedł dobrze. Przyjemność sprawił mu nie tylko zorganizowany przez Harrisa lunch, jakim uraczył się w kolejnym zajeździe, ale z radością odkrył również, że właściciel miał doskonałego klareta.

Markiz kupił kilka tuzinów butelek i polecił wysłać je na południe, by uzupełnić ogromne zapasy wina, jakie miał już w swoich piwnicach. Oceniał, że klaret jest tak dobry, iż zdecydował się poprosić księcia, uważającego się za konesera, by go spróbował. Jadąc dalej zaplanował małe, ale zabawne przyjęcie, na którym skosztowaliby rozmaitych win, w tym również szampana, ulubionego napoju księcia.

Dopiero gdy już dobrał gości, a nawet zdecydował o menu, zastanowił się, czy jego przyszła żona, Beryl, chciałaby wziąć udział w takiej imprezie.

Uważał za nudne, by kobiety były obecne na kolacji, podczas której głównymi przedmiotami zainteresowania były wino i potrawy. Powiedział sobie, że lepiej będzie, gdy Beryl wcześniej zrozumie, iż jeśli on życzy sobie wydać kawalerskie przyjęcie, to ona musi zająć się czymś innym.

Myśląc o swojej przyszłej żonie, zdał sobie sprawę, jak rozczarowana była jego wyborem matka.

Jadąc na północ wiedział, że nieuniknione było powiadomienie matki o planowanym małżeństwie, ale teraz przypomniał sobie zmartwienie w oczach markizy i pełną smutku nutę w jej głosie.

Będzie wystarczająco szczęśliwa, gdy już się ożenię, powiedział sobie optymistycznie, a gdy będziemy mieli dzieci, będzie je kochać i psuć zarazem.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że dotychczasowe życie Beryl mało sprzyjało szczęśliwemu macierzyństwu. Tak, jak ją opisał, była duszą każdego przyjęcia. Zawsze otaczał ją tłum zakochanych wielbicieli, którzy śmiali się ze wszystkiego, co mówiła, i wychwalali jako bardziej dowcipną, niż w rzeczywistości była.

Jakby chcąc rozproszyć swoje wątpliwości, markiz pomyślał: Lubimy te same rzeczy, prowadzimy takie samo życie.

Był pewien, że to właściwy fundament do budowy przykładowego małżeństwa.

Robiło się już późne popołudnie, a wciąż jeszcze mieli kawałek drogi do gospody „Pod Jerzym i Smokiem”, gdzie zamierzał się zatrzymać.

Markiz prowadząc konie wzdłuż zakrętu wąskiej, ogrodzonej żywoplotem drogi, zauważył przed sobą zamieszanie. Jechał szybko, więc gwałtownie ściągnął zaprzęg.

— Wypadek — zauważył krótko.

— Dylizans, milordzie — odparł Jim.

Podjechali bliżej. Leżący pod przedziwnym kątem na lewej stronie drogi dylizans najwyraźniej dopiero co wszedł w kolizję z bryczką, ciągniętą przez dwa konie, wierzgające teraz bez kontroli.

Żywopłot zapobiegł całkowitemu wywróceniu się dylizansu, jednak spiętrzony na dachu bagaż rozsypał się na drodze. Masa białych kurcząt, wiezionych w kojcu, fruwała dookoła, głośno gdacząc. Hałas pomnażało beczenie związanej owcy, leżącej do góry nogami w worku na poboczu.

Słysząc było okrzyki kobiet i przekleństwa mężczyzn, podczas gdy właściciel bryczki, rozwścieczony dżentelmen w średnim wieku, miotał obelgami na woźnicę dylizansu. Ten ostatni, z talentem wspomagany przez konwojenta, nie pozostawał mu dłużny.

Markiz popatrzył na zamieszanie z rozbawieniem. Później, gdy okazało się, że przejechać nie można, a wydawało się mało prawdopodobne, że ktoś zamierza uporządkować cały ten bałagan, oddał lejce stajennemu.

Niespiesznie wysiadł na drogę i podszedł do krzyżących ludzi. Jasnym i rozkazującym głosem przeciął ich wściekłą kłótnię.

— Przytrzymajcie swoje konie, głupcy!

Zarówno właściciel bryczki, jak i woźnica dylizansu odwrócili się i spojrzeli nań ze zdumieniem.

— Wasze konie! — powtórzył markiz i, o dziwo, posłuchali go.

Następnie zwrócił się do mężczyzny gramolącego się z dachu dylizansu i wskazał na wyglądające z okna głowy tych, którzy nie mogli się wydostać ze względu na kąt, pod jakim leżał dylizans.

— Wydostańcie wszystkich! — rozkazał markiz. — Potem będziecie mogli podnieść pojazd, chyba że zamierzacie zostać tutaj przez resztę nocy. W jego głosie brzmiała ostra nuta, która poderwała mężczyzn do działania. W pierwszej kolejności pomogli wysiąść grubej żonie farmera, która rozpaczała:

— Moje kurczęta... moje biedne kurczątko... wszystkie zmiażdżone!

Nalegała, aby jej wybawcy najpierw wzięli kosz, w którym pozostały nieliczne kilkudniowe kurczęta, z pewnością wiezione przez nią na rynek.

Gdy stanęła na ziemi, oznajmiła piskliwym głosem:

— To hańba, jak jeżdżą ci woźnice! Powinno się z tym coś zrobić, naprawdę powinno!

— Zgadzam się z panią, madam — powiedział markiz.

Gdy kobieta ciągnęła dalej, zamartwiając się o swoje kurczęta, jego uwagę przyciągnął starszy dżentelmen, który, gdy pomagano mu wysiąść z dyliżansu, trząsał się z wściekłości i zaklinał się, że połamano mu wszystkie kości.

Za nim postępowało jeszcze trzech mężczyzn. Na samym końcu ujrzał markiz małą, owalną twarzyczkę z parą wielkich, przestraszonych oczu, obramowaną nieco zmaltretowanym czepkiem.

Torilla wysiadła tak lekko, że ledwie musnęła dłońmi dwóch mężczyzn, którzy z przesadną gorliwością starali się jej pomóc. Gdy stanęła na drodze, podniosła głowę i zobaczyła markiza. Jej oczy rozszerzyły się, a na białych policzkach pojawił się rumieniec, gdy zdjął z głowy cylinder, mówiąc:

— Znowu się spotykamy, panno Clifford.

Wydawało się, że nie może znaleźć słów, by mu odpowiedzieć. Popatrzywszy na nią spod opuszczonych lewni wie powiek, powrócił do usuwania skutków wypadku.

Zaprężone do bryczki konie były już opanowane. Trochę apodyktycznym tonem powiedział ich właścicielowi w średnim wieku, aby ruszał w drogę.

— Zamierzam zaskarżyć spółkę o szkody wyrządzone mojemu pojazdowi — powiedział ze złością dżentelmen.

— Wątpię, czy otrzyma pan jakąś rekompensatę — odparł markiz. — Ale zawsze może pan próbować.

— Woźnica jest pijany, to zupełnie oczywiste — zapewnił dżentelmen.

— Oni zawsze są pijani — odparł markiz i odszedł, wyraźnie znudzony tematem.

Teraz, gdy jedna ze stron drogi była przejezdna, markiz mógł podjąć przerwana podróż. Ale przedtem skłonił mężczyzn z dylizansu, aby ciągnąc i popychając pojazd umieścili go z powrotem na drodze.

— W przyszłości prowadź ostrożniej — rozkazał woźnicy markiz.

Mężczyzna był purpurowy na twarzy i było trochę prawdy w zarzucie, że — nawet, jeśli nie był pijany — z pewnością wypił więcej, niż pozwalał zdrowy rozsądek. Aby złagodzić surowość swoich słów, markiz dał woźnicy gwineę, a ten natychmiast zaczął rozpywać się w uśmiechach.

Dylizans ustawiono, zebrano większość kurcząt i ponownie umieszczono w kojcu. Wciąż becząca żalonia owca została umieszczona we właściwej pozycji na dachu i w końcu pasażerowie zaczęli zajmować swoje miejsca.

Markiz podszedł do stojącej nieco na uboczu Torilli.

— Czy wie pani, gdzie zatrzymuje się dziś na noc? — zapytał.

— W gospodzie zwącej się „Pod Jerzym i Smokiem” — odparła.

— Wobec tego zabiorę panią, bowiem i ja tam podążam.

Odwróciła głowę spoglądając na dyliżans, po czym znów patrzyła na niego.

— Chciałabym... ale...

— Nie ma żadnego „ale” — przerwał markiz. — Mój stajenny jest bardzo dobrą przyzwoitką, a poza tym dotrze pani na miejsce szybciej i znacznie wygodniej, niż gdyby czekała pani na stare zrzędy!

Uśmiechnęła się i chciała się schylić, by podnieść walizkę, stojącą obok niej na poboczu.

— Proszę to zostawić — polecił markiz.

Pomógł jej wsiąść do powozu i obszedł go z drugiej strony, gdzie Jim zeskoczył, by oddać mu lejce.

Stajenny podniósł walizkę, wspiął się na siedzenie za budą i ruszyli, jadąc sprawnie i w takim tempie, że szybko pozostawili za sobą scenę wypadku.

Markiz nie odezwał się i gdy przejechali niewielki odcinek drogi, Torilla spojrzała na niego spod rżęs.

Robi nie tylko imponujące wrażenie, pomyślała, ale jest też bardzo przystojny.

Jednocześnie budził strach. Być może z powodu dumnego sposobu trzymania głowy i niemal pogardliwego wyrazu twarzy był jakby ponad wszystkim i wszystkimi.

Miał klasyczne rysy, ale od nosa do kącików ust biegły linie, które, jak myślała, były oznaką cynizmu. A może to było znudzenie?

Nagle poczuła się bardzo młoda i niedoświadczona i niemal żałowała, że nie podróżuje raczej dyliżansem niż z nieznanym. Wtedy obrócił się do niej i uśmiechnął; zupełnie nedorzecznie poczuła, że ukazało się słońce.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał.

— Ma pan wspaniałe konie, sir! — odparła.

— Cieszę się, że pani tak myśli.

— Są lepsze, niż jakiegokolwiek konie, które dotąd widziałam, z wyjątkiem być może tych, którymi powoził pan wczoraj.

Markiz popatrzył na nią zaskoczony, a ona wyjaśniła:

— Kocham konie. Gdy czekaliśmy dziś rano na dyliżans, zajrzałam do stajni w gospodzie i stajenny powiedział mi, że cztery doskonałe kasztany należą do... sir Alexandra Abdy'ego.

Przerwała, po czym zapytała:

— To pan, nieprawdaż, sir?

— To moje nazwisko — przytaknął markiz.

— Wobec tego... chciałabym... ponownie panu podziękować — powiedziała cicho.

— Nie ma o czym mówić — rzucił markiz. — Nie ma potrzeby mówić ani nawet myśleć o czymś, co nie ma już żadnej wagi. Chciałbym tylko wiedzieć, kim pani jest.

— Jestem Torilla Clifford.

— Torilla — powtórzył markiz. — Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek przedtem słyszał to imię. Pasuje do pani.

Zauważył, że nawet na tak łagodny komplement zarumieniły się jej policzki, i powiedział sobie, że musi uważać, aby jej nie wystraszyć, jako że wystraszona została już wystarczająco. Nie był przyzwyczajony do towarzystwa młodych dziewcząt, ale wyczuwał, że Torilla była bardzo wyjątkowa nie tylko z wyglądu. Nie pomylił się zeszłej nocy, gdy wydało mu się, że nie tylko jest bardzo śliczna, ale że jest w niej coś delikatnego. Była to cecha, której osobliwie brakowało córkom arystokratów, jakie mu narzucano podczas podróży na północ.

Opowiadał o swoich koniach, ich rasie i gdzie je kupił. Zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do większości kobiet, Torilla nie udawała: naprawdę ogromnie ją interesowało wszystko, o czym mówił.

Zadała mu też kilka inteligentnych pytań, co powiedziało mu nie tylko to, że kochała konie, ale że znała się także na wyścigach. Zaczął się zastanawiać, kim ona jest i skąd pochodzi.

Nie mógł wiedzieć, że hrabia Fernleigh miał stajnię wyścigową, a Beryl i Torilla współzawodniczyły jako dzieci z chłopcami stajennymi w odgadywaniu zwycięzców każdego ważnego wyścigu.

Wkrótce ukazał się stary zajazd „Pod Jerzym i Smokiem”, gdzie grasowali niegdyś rozbójnicy.

— Skoro oboje się tu zatrzymujemy — powiedział markiz — byłbym zaszczycony, panno Clifford, gdyby zechciała pani zjeść ze mną dziś wieczorem kolację.

Popatrzyła na niego z wyraźnym zaskoczeniem, a on dodał:

— Mam prywatny pokój i jestem zupełnie pewien, że moja kolacja będzie o wiele lepsza niż menu wybrane dla pasażerów dyliżansu.

— Nie byłoby to trudne, sądząc po wczorajszym posiłku — uśmiechnęła się Torilla.

— Więc zje pani ze mną?

Popatrzyła na niego, a w jej błękitnych oczach malował się niepokój.

— Czy to nie byłoby... niewłaściwe?

— Niewłaściwe?

— Podróżuję... sama — rzekła — i nie wiem... czy byłoby odpowiednie, gdybym... przyjęła zaproszenie kogoś, komu nie zostałam... przedstawiona.

Mówiła to z wahaniem, jednocześnie rzucając mu spojrzenie, jakby w obawie, że może wydać się śmieszna.

Ale markiz odezwał się zupełnie poważnie:

— Wydaje mi się, że biorąc pod uwagę niezwykle okoliczności naszego spotkania, możemy się uważać za przedstawionych sobie, panno Clifford. Co więcej, jeżeli pójdzie pani ze mną, nie będzie okazji, aby ktoś jedzący w restauracji okazywał pani swoje obmierzełe względy.

Widział, że przeszedł ją dreszcz na wspomnienie wydarzeń ostatniej nocy. Powiedziała szybko:

— O wiele bardziej... wolałabym być z... panem.

— A więc ustalone! Niestety, kładę się późno, wobec tego nie będę jadł kolacji wcześniej niż o wpół do ósmej. Ale to umożliwi pani odpoczynek.

— Dziękuję panu. Dziękuję panu... bardzo! — powiedziała Torilla cichym głosem, któremu brakło tchu.

Wjechali na podwórze gospody „Pod Jerzym i Smokiem” i gdy właściciel pospieszył ku nim, markiz wyjaśnił obecność Torilli.

— Dylizans miał wypadek, jakieś pięć mil stąd — powiedział.

— Zabrałem pannę Clifford, jedną z pasażerek, ze sobą. Proszę uprzejmie zająć się tym, aby dostała wygodny pokój.

— Jak pan sobie życzy, sir — odparł właściciel gospody, kłaniając się unizenie nie tylko markizowi, ale również Torilli.

Poprowadzono ją na górę i była pewna, że dostała pokój o wiele wygodniejszy niż te, które zwykle przydzielano pasażerom dylizansu.

Jest bardzo miły, pomyślała, gdy idąc za radą markiza rozbierała się i kładła do łóżka.

Po przerażającej nocy była tak zmęczona, że zaraz zasnęła i obudziła ją dopiero pokojówka, która przyniosła jej o siódmej gorącą wodę. Torilla wstała szybko, umyła się i włożyła inną sukienkę niż ta, którą nosiła w podróży.

Była to kolejna tania, muślinowa sukienka, uszyta przez Abby, i Torilla pomyślała, że z całą pewnością nie był to tego rodzaju strój wieczorowy, w jakim sir Alexander spodziewał się ujrzeć swojego gościa.

Abby przyszyła wokół szyi małą falbankę ze sztywnego białego muślinu i obramowała ją wąskimi, niebieskimi wstążkami; podobne falbanki znajdowały się przy nadgarstkach. Sama sukienka była bladobłękitna i Torilla zapakowała ją na podróż właściwie dla-

tego, że była stara. Uważała, że z całą pewnością będzie zbyt mało elegancka, by nosić ją w Fernleigh Park. Żałowała teraz, że nie ma jednej ze sukien swojej matki, ale zaraz powiedziała sobie, że to niedorzeczne.

Sir Alexander był oczywiście bardzo wytworny i zaprosił ją na kolację tylko dlatego, że był miły i rozumiał, jak bardzo była przerażona poprzedniego wieczora. Z pewnością nie zauważy, co ma na sobie ktoś tak nieznaczny jak ona. Miała tylko nadzieję, że nie okaże się, jak ostrzegła ją Abby, nudna, mówiąc o rzeczach, które go nie obchodziły.

Muszę bardzo uważać, aby trzymać się tematów, które go interesują, pomyślała.

Wiedziała już, że jedną z łączących ich rzeczy były konie.

Wyszczotkowała włosy tak, że aż lśniły, po czym zeszła na dół, gdzie znalazła właściciela gospody, czekającego na nią u stóp schodów.

— Je pani kolację z sir Alexandrem Abdym, jak przypuszczam, madam — powiedział.

Nie czekając na odpowiedź Torilli, poszedł przodem i otworzył drzwi w drugim końcu korytarza. Torilla weszła do pokoju bardzo nieśmiało.

Pokój nie był duży, ale po pobieżnym obejrzeniu stwierdziła, że był wygodny i ładny, z sufitem z dębowych belek i ścianami ozdobionymi starą, dębową boazerią. Na dużym kominku płonęły bierwiona. Okrągły stół z nieskazitelnym lnianym obrusem nakryty był na dwie osoby, a w dużym kubelku z lodem stało kilka butelek wina.

Torilla spodziewała się, że jej gospodarz będzie wyglądał imponująco. Już i tak była przytłoczona tym, jak doskonale skrojony był jego prążkowany wełniany surdut do jazdy konnej oraz jak przemyślnie zawiązany krawat. Podziwiała oryginalny kąt, pod jakim nosił cylinder na ciemnowłosej głowie. Ale nigdy nie sądziła, że jakikolwiek mężczyzna mógł wyglądać tak świetnie, jak markiz w stroju wieczorowym. Przez chwilę mogła mu się tylko przyglądać z podziwem.

Wreszcie, przypomniawszy sobie o manierach, dygnęła.

Markiz uklonił się i wskazał na krzesło przy kominku.

— Proszę usiąść, panno Clifford. Mam nadzieję, że czuje się pani wypoczęta.

— Zasnęłam — przyznała się Torilla.

— W takim razie będzie pani oczekiwała kolacji tak samo niecierpliwie, jak ja — rzekł markiz. — Czy mogę zaproponować pani kieliszek madery?

— Nic nie... piłam od... dwóch lat — odparła Torilla.

W domu w Hertfordshire pozwalano jej od czasu do czasu na kilka łyków madery z kieliszka matki.

— Dam więc pani bardzo niewiele — uśmiechnął się markiz.

Mówiąc to, podał jej szklanekę. Sącząc gęste wino Torilla poczuła, że przenosi ją ono z powrotem w szczęśliwe, złote dni, w których nie było żadnego odmawiania sobie i oszczędzania, jak w Barrowfield. Wówczas jej ojciec i matka zawsze pili wino do

kolacji, a jadało się tłuste kurczaki, pieczone gołębie i duże udźce wołowe.

Torilla pomyślała, że musi posłuchać Abby i nie myśleć o tym, co zostawiła za sobą. Ale gdy karczmarz z dwiema pokojówkami w czepkach wniósł gigantyczny, jak jej się wydawało, posiłek, nie mogła odpędzić od siebie wspomnień o zapadniętych policzkach i wygłodzonych oczach dzieci.

Rozsądnie odsunęła od siebie te wspomnienia i delectowała się każdym podanym jej daniem, chociaż w porównaniu ze swym gospodarzem potrafiła zjeść bardzo niewiele.

— Proszę mi o sobie opowiedzieć — powiedział markiz, gdy próbowali dorodnego skarpa, który według zapewnień karczmarza był tak świeży, jakby dopiero co wyskoczył z morza.

— O wiele bardziej wolałabym porozmawiać o pańskich koniach, sir — odparła Torilla. — Powiedział pan, że ma konie wyścigowe. Bierze pan udział w którymś z wyścigów Classics w tym roku?

Zmiana tematu powiodła się. Markiz zaczął opowiadać o swojej ambicji zdobycia złotego pucharu w Ascott i rozważał, kto może mu przeszkodzić w realizacji tego zamiaru.

Później zorientował się, że opowiadał Torilli o przywiezionych z Syrii czystej krwi arabach i węgierskich koniach, które uwielbiała jego matka. Mówił chwilami niemal obojętnie, przeciągając słowa. Ale Torilla nie dała się zwieść ani głosowi, ani leniwie opuszczonym powiekom. Wiedziała, że konie znaczyły dla niego bardzo wiele.

— Sądzę, że potrafi pani dobrze jeździć — powiedział znacznie później, zwracając rozmowę znów ku Torilli.

— Nie jeździłam od dwóch lat — odparła. — Proszę mi powiedzieć, które konie wystawi pan do St. Leger, a gdy nadejdzie wrzesień, będę mogła poszukać ich imion w gazecie.

Markiz zaakceptował zmianę tematu, ale był na tyle bystry, aby zauważyć, że owe dwa lata, dopiero co wspomniane przez Torillę, miały jakieś znaczenie.

Zapobiegła wprawdzie pytaniom dotyczącym jej osoby, ale zorientował się, że pragnęła o sobie nie mówić. Nie chcąc jej niepokoić nie nalegał, ale obserwował po prostu częstą zmianę wyrazu jej dużych i niezwykle pięknych oczu.

Gdy posiłek dobiegł końca i markiz wygodnie usiadł z kieliszkiem porto w ręce, pomyślał, że to pierwszy, odkąd pamiętał, posiłek, jaki zjadł sam na sam z kobietą, mówiąc wyłącznie o sobie. Te, z którymi spędził tak wiele bezczynnych godzin, chciały mówić tylko o sobie, zakładając, że miało to związek z nim, ale zawsze wyrażały swoje uczucia, swoje emocje i nawet ambicje bardzo wylewnie i czasami wydawało się to nie mieć końca.

W tej dziewczynie jest coś tajemniczego, pomyślał.

Gdy przenieśli się z powrotem do kominka, a karczmarz wycofał się z pokoju, ustawivszy przy krześle markiza karafkę porto, ten poczuł zaciekawienie.

— Jedzie pani na południe, aby wyjść za mąż albo się zaręczyć? — zagadnął.

— Nie, nic w tym rodzaju.

— Brzmi to bardzo zdecydowanie. Jestem pewien, że jest wielu mężczyzn z zapałem zalecających się do pani. Torilla uśmiechnęła się.

— W rzeczywistości nie ma nikogo.

Uniósł brwi.

— Czy nie ma mężczyzn tam, skąd pani pochodzi? Czy też wszyscy są ślepi?

Torilla zarumieniła się. W oczach markiza pojawiło się rozbawienie, gdy obserwował zmianę kolorów na jej policzkach. Swoim głębokim głosem dodał:

— Jest pani bardzo piękna, o czym musi pani doskonale wiedzieć, gdy spogląda pani w lustro.

Torilla patrzyła w ogień milcząco. Markiz widział, że splatała i rozplatała palce i wiedział, że dziewczyna się lęka.

— Gdzie się pani zatrzymuje na jutrzejszą noc? — zapytał innym tonem.

Torilla zastanowiła się przez chwilę.

— Wydaje mi się, że „Pod Białym Jeleniem” w Eaton Socom.

— Nie będę mógł wobec tego poprosić, aby ponownie zjadła pani ze mną kolację — powiedział markiz. — Skręcąc wcześniej.

Wydało mu się, że w jej oczach pojawił się cień zawodu, ale nie był pewien.

— Musi pani uważać na siebie, gdy mnie nie będzie, aby panią ochraniać — ciągnął — chociaż wedle reguł, ocaliwszy panią dwa razy, powinienem uczynić to po raz trzeci.

— Mam nadzieję, że nie! — powiedziała szybko Torilla, po czym spojrzała zmieszana i dodała pośpiesznie: — Nie to... miałam na myśli. Chodzi mi tylko o to, że... wypadki i... inne przygody rozstrajają i bardzo... przerażają.

— Oczywiście — zgodził się markiz — i dlatego, jak pani dobrze wie, nie powinna pani podróżować sama.

— Nic nie można było na to poradzić — odparła. — Nikt nie mógł ze mną pojechać.

— Nikt?

Pokręciła głową, po czym, jakby obawiając się, że będzie zadawał dalsze pytania, powiedziała:

— Sądzę, sir, że ponieważ jutro muszę wstać bardzo wcześnie, a robi się późno, powinnam iść do łóżka.

Podniosła się. Markiz wstał również. Wydawało się, że góruje nad nią, Torilla pomyślała, że jest on nie tylko najbardziej imponującym, ale i najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w całym swoim życiu.

Poczuła się nagle trochę onieśmielona i powiedziała szybko:

— Ponieważ nie zobaczę już pana, sir, chciałam panu podziękować z całego serca... za pana dobroć... dla mnie. Gdyby... nie było tam pana... zeszłej nocy...

Odwróciła się od niego z lekkim drżeniem. Markiz powiedział:

— Ale byłem tam, Torillo, i być może pewnego dnia spotkamy się znowu.

Mówiąc to wyciągnął rękę. Torilla podała mu palce i jego dłoń zacisnęła się na nich. Wprawilo ją to w osobliwy stan. Ponieważ ponownie poczuła oniesmielenie, rzekła:

— Dziękuję panu... dziękuję panu... Szkoda tylko, że nie potrafię... wysłowić się bardziej... elokwentnie.

— Jeśli pragnie pani wyrazić swoją wdzięczność — powiedział markiz — jest na to bardzo łatwy sposób.

Spojrzała na niego pytająco, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Puścił jej dłoń i wziął ją pod brodę. Nie zdążyła uczynić żadnego ruchu ani nawet pomyśleć, co może się zdarzyć, gdy jego ramiona objęły ją, a usta dotknęły jej ust.

Przez moment Torilla była zbyt zdumiona, żeby nawet oddychać. Potem, gdy jego usta zniewalały ją, pomyślała, że powinna się bronić, że musi uciekać, ale dotyk jego warg wydawał się hipnotyzować ją. Poczwała, jakby poruszyło się w niej coś żywego, podnosząc się w ciele i piersiach, by w końcu sięgnąć gardła.

Było to uczucie tak cudowne, tak niepodobne do wszystkiego, co знаła, o czym marzyła, że przestała myśleć. Intensywność tego uczucia rosła, aż poczuła, że nie jest już sobą, ale częścią jego, i całe piękno, jakie znała i za jakim tęskniła, było skupione w uczuciu, jakie w niej wzbudził.

Przytulił ją jeszcze bardziej, jego ramiona więziły ją, a jednak nie uczyniła żadnego ruchu, by się wyrwać.

Nagle cudowność jego pocałunku stała się tak intensywnie upajająca, tak ekstatyczna, że wydawała się

przeszywać ją boleśnie jak sztylet, będąc zarazem doskonałością i wspaniałością pochodzącą z samych niebios.

Torilla nie miała pojęcia, jak długo była blisko przy nim, jak długo trwał pocałunek. Wiedziała jedynie, że opuściła swoje ciało i przeniosła się w miejsce, które nie miało nic wspólnego z tym światem, w którym żyła i oddychała dotąd. Czuła się, jakby jej stopy nie stały już na twardym gruncie, ale jakby płynęła przez przestrzeń, już nie jako istota ludzka, ale mityczny duch albo czarodziejska nimfa...

Markiz uniósł głowę i ich oczy spotkały się. Zadrżała, jakby spadła nagle na ziemię, i przypomniała sobie, kim była i dlaczego się tam znajdowała. Twarz jej promieniowała, kiedy z rozchylonymi ustami, szybko oddychając, wpatrywała się w niego.

Potem z cichym, nieartykułowanym szeptem, nie bardzo wiedząc, co robi, odwróciła się i przeszła przez pokój do drzwi. Machinalnie zamknęła je za sobą, a potem pobiegła — czy może pofrunęła? — wzdłuż korytarza i w górę po schodach do zącisza swojej sypialni.

ROZDZIAŁ 3

Gdy dyliżans dojechał do Hatfield, Torilla wysiadła i zobaczyła, że czeka na nią jedna z karet jej wuja. Rozpoznała także stajennego w niebieskiej liberii ze srebrnymi herbowymi guzikami, który uśmiechnął się, zdejmując kapelusz z kokardą i powiedział:

— Dobry wieczór, panienko. Miło znów panią widzieć.

— I mnie miło znowu zobaczyć ciebie, Ned — odparła Torilla. — Cieszę się, że czekasz tu na mnie.

— Jaśnie pani wiedząc, jak niepunktualne są dyliżanse, myślała, że panienka może przyjechać dopiero jutro.

Rzucił pogardliwe spojrzenie na niezgrabny pojazd i podniósłszy walizkę Torilli, zaniósł ją do czekającego na podwórzu zamkniętego landa, zaprzęzonego w dwa rasowe konie. Woźnica, którego Torilla знаła także, przywitał się z nią. Wsiadła do wygodnego powozu, z przyjemnością wyczuwając wyścielane poduszkami oparcie, podczas gdy Ned lokował jej kufer.

Jest tak, jak dawniej, pomyślała, otoczona oddaną służbą, znaną jej od dziecięcych lat. Żałowała, że nie ma z nią Abby, która mogłaby docenić pośpiech, z jakim

konwojent dylizansu podał Nedowi jej kufer. Potem wyruszyli do wsi Fernford, leżącej dwie mile od Hatfield.

Przez cały czas, jaki Torilla spędziła w podróży w ciągu ostatnich dwóch dni, trudno jej było nie myśleć o sir Alexandrze Abdym. Nie mogła zasnąć po tym, jak ją pocałował, leżała w ciemności, wciąż czując jego usta na swoich wargach i obejmujące ją ramiona.

Dawniej często zastanawiała się, jakie uczucie towarzyszy pocałunkowi. Teraz myślała, że nigdy już nie będzie potrafiła być taka sama, jak przed pierwszym pocałunkiem. Gdy słuchała bajek opowiadanych jej przez matkę lub czytała je sama, gdy już podrosła, zawsze czuła, że poza zwyczajnymi, znajomymi rzeczami kryje się coś mistycznego i cudownego.

Wyczuwała, że pewnego dnia zrozumie tęsknotę, jaką czasami czuła i przeżyje nieuniknione emocje. Gdy blask księżyca prześwitywał przez gałęzie drzew srebrnymi promieniami albo słońce lśniło na spokojnej wodzie, czuła w sobie dziwny, ale podniecający odzew. Kiedy indziej pobudzał ją motyl szybujący nad otwierającymi się płatkami kwiatu albo muzyka, którą słyszała pośród wiejącego między drzewami lekkiego wiatru.

Zawsze wtedy czuła się tak, jakby próbowała zrozumieć coś, co było niemal tuż poza jej zasięgiem. Wyczuwała to, czuła tuż obok, a jednak wymykało się i było nieuchwytnie jak błędny ognik. Nagle, gdy markiz dotykał jej ust, podchwyciła to i czuła, że należy do niej.

Było to coś niewypowiedziane cudownego i chociaż reagowało na to jej ciało, wiedziała, że prawdziwy blask nadawał tym odczuciom jej umysł.

Sądziła także, że było to to, co często czuła modląc się czy będąc wcześniej rano na mszy, gdy jedynym rozświetlającym ciemność kościoła światłem były świece na ołtarzu.

Chociaż usiłowała sama sobie wyjaśnić, co czuła, nie potrafiła tego wyrazić słowami: była to tajemnicza, ale nieodłączna część jej samej.

Nieśmiało pomyślała, że w pewien sposób i ona stała się zeszłej nocy częścią mężczyzny, który ją pocałował.

Gdy upłynął następny dzień i noc spędzona w zajęzdzie, myślała, że może wyimaginowała sobie całe zajście. Czy naprawdę istniał mężczyzna o wyglądzie i znaczeniu sir Alexandra Abdy'ego, który potrafił wzbudzić w niej takie uczucia, że drżała na samą myśl o nim?

Nigdy więcej go nie zobaczę, pomyślała z rozpaczą i powiedziała sobie, że tak jest prawdopodobnie lepiej.

Gdyby pominąć magię tego wydarzenia, można by sprowadzić całe zajście do faktu, że nieznanemu mężczyźnie, którego spotkała przypadkiem, pozwoliła się pocałować i nie uczyniła żadnego wysiłku, by się bronić czy uwolnić. Była w jego ramionach całkowicie uległa i zniewolona.

To, że było to najcudowniejsze na świecie, nie zmieniało faktu, że wiedziała, iż matka byłaby ogromnie wstrząśnięta jej zachowaniem. Co więcej, ona

sama nie potrafiła znaleźć dla niego rozsądnego usprawiedliwienia.

Gnębiła ją myśl o tym, jak oceniłaby jej postępowanie Abby, gdyby jej towarzyszyła. Chociaż, gdyby Abby tam była, sir Joscelyn nie wdarłby się do jej sypialni i nie trzeba by było jej ratować.

Zanim dojechała do Fernleigh Hall, Torilla postanowiła, że nigdy nie powie Beryl, Abby ani nikomu innemu o tym, co się stało. Była to tajemnica, której się nie wstydziła, ponieważ było to niemal misterium szczęścia i nie chciała sprofanować wspomnienia o nim udając, że go żałuje. Nikt nie zrozumiałby głębokiej doniosłości tego, co tylko na zewnątrz było karygodnym wybrykiem.

Konie skręciły między małe domki, stojące po obu stronach dużej bramy z kutego żelaza, zwieńczonej herbem Fernleigh. Następnie Torilla przejechała pomiędzy dębami, wśród których bawiły się z Beryl w chowanego, gdy były dziećmi, i zobaczyła przed sobą wysoki, zbudowany z czerwonej cegły dwór z czasów królowej Anny.

Był to przyjemny dom i większość ludzi zachwycała się bogactwem jego architektury, ale dla Torilli był on po prostu częścią ogniska domowego. Nie mogła się doczekać otwarcia drzwi i wyjęcia schodków, by wyskoczyć z powozu.

Mimo jej pośpiechu Beryl czekała już na szczycie schodów. Objęła Torillę i obie kuzynki ucałowały się czule. Beryl zawołała:

— Najdroższa, najdroższa Torillo! Tęskniłam za tobą! Jakże się cieszę, że cię widzę!

— I ja się cieszę, że tu jestem — odparła ze łzami w oczach Torilla.

— Dylizans rzeczywiście przyjechał zgodnie z rozkładem! — powiedziała Beryl. — Nie mogę w to uwierzyć, tak samo jak nie wierzę, że wróciłaś. Mam ci tyle do powiedzenia!

Pociągnęła Torillę za rękę do dużego salonu, wychodzącego na ogród różany, znajdujący się na tyłach domu.

Dopiero gdy Torilla uniosła rękę, aby odwiązać wstążki swojego czepka i zdjęła go, zawołała:

— Beryl! Jak cudownie urosłaś! Jesteś o wiele, wiele piękniejsza, niż pamiętam!

— Chciałam, żebyś tak pomyślała — odparła Beryl.

Torilla mówiła prawdę. Doprawdy sprawiedliwie obwołano jej kuzynkę najpiękniejszą dziewczyną w Anglii i jej wielbiciele nie przesadzali, porównując ją do angielskiej róży.

Miała złote włosy; nie takie, jak Torilla, ale koloru żywego, lśniącego, królewskiego złota. Jej oczy miały barwę jajka drozda, a lekko zaróżowiona cera stanowiła szczyt marzeń każdej kobiety.

Były z Torillą tego samego wzrostu i jako dzieci miały podobne sylwetki, ale teraz, żyjąc na północy na głodowej diecie, Torilla była szczuplejsza od Beryl. Jej policzki były nieco zapadnięte, podczas gdy twarz Beryl stanowiła gładki, pełny owal.

Beryl miała purpurowe usta, które w rzeczywistości niemało zawdzięczały makijażowi, i błyszczące oczy, a żywiołowość, z jaką mówiła, wprawiała jej loki

w ciągly taniec. Trudno było Torilli, jak i wszystkim innym, nie przyglądać się jej z zapierającym dech podziwem.

— Jesteś taka piękna — powtórzyła Torilla z zachwytem.

— A pomyśl, jak wspaniale będę wyglądała przybrana we wszystkie nowe suknie z mojej wyprawy — uśmiechnęła się Beryl.

Podeszła, by ponownie pocałować Torillę w policzek, mówiąc:

— Będziesz mi musiała w tym pomóc, najdroższa, bo nie zdążę na czas. Och, to mi przypomina o jeszcze dwóch nazwiskach, które muszę dopisać na liście gości.

Jak mały koliber, popędziła przez salon do sekretarzyka i podniósłszy białe piórko, zaczęła pisać. Nie odwracając się powiedziała przez ramię:

— Wiem, że jeśli o kimś zapomnę, to zostanie on moim dozgonnym wrogiem, dlatego robię listę gości w miarę, jak przypominam sobie o kolejnych osobach.

Torilla odłożyła swój czepek, po czym odezwała się:

— Musisz mi ją pokazać. Wtedy będę mogła wypytać cię o wszystkich przyjaciół, których znałam, a którzy, obawiam się, zapomnieli teraz o mnie.

— Kapitan i kapitanowa Chalmers — powiedziała Beryl, zapisując ich nazwiska.

— Pamiętam Chalmersów — zawołała Torilla. — Ona była słodką kobietą, ale on zawsze wydawał mi się bardzo agresywny.

Beryl nie odezwała się i po chwili Torilla dodała:

— To mi przypomina innego żołnierza. Jak się miewa Rodney?

Beryl znieruchomiała nagle, ale Torilla nic nie zauważyła.

— Zabawnie będzie znów go zobaczyć — mówiła dalej. — Pamiętasz, jak zawsze się z nami drażnił? Tak jak wtedy, gdy zabrał drabinę i musiałyśmy siedzieć w stajni na strychu przez ponad godzinę, zanim przyszła pomoc.

Roześmiała się lekko.

— Jestem pewna, że jeżeli ktoś jest zazdrosny o to, że wychodzisz za męża, to właśnie Rodney.

Gdy Beryl nie odpowiadała, Torilla wyczuła, że coś nie jest w porządku.

— Co się stało? — zapytała cicho.

— Rodney nie żyje!

Mówiąc to Beryl wstała od sekretarzyka i podeszła do długich przeszklonych drzwi, otwierających się na ogród.

— Nie żyje? — powtórzyła ze zdumieniem Torilla. — Och, Beryl, nie miałam pojęcia! Nikt mi nie powiedział. Jakżeż on mógł umrzeć?

Zamilkła, czekając na odpowiedź Beryl.

— Został zabity we Francji.

— Ale wojna już się skończyła, gdy tato i ja stąd wyjeżdżaliśmy — powiedziała Torilla. — Nie pamiętasz, jakie byłyśmy podniecone, gdy usłyszałyśmy, że Paryż się poddał?

Beryl odpowiedziała po przerwie:

— Książę Wellington nie wiedział, że siły zjednoczone zdobyły Paryż i że wojna jest faktycznie skończona.

— Wiedziałyśmy, że regiment Rodneya wkroczył do Francji w St. Jean de Luz — mówiła niemal do siebie Torilla.

— Wdarli się aż do Tuluzy — powiedziała zduszonym głosem Beryl. — Oczywiście dopiero znacznie, znacznie później dowiedzieliśmy się, że marszałek Soult był przekonany, iż Tuluza jest nie do zdobycia.

— Więc książę Wellington zaatakował miasto — dodała Torilla, jakby znając zakończenie historii.

— Były bardzo ciężkie... straty — ciągnęła ze łzami w głosie Beryl. — Gazety podały, że blisko pięć tysięcy naszych żołnierzy zostało zabitych i... Rodney był... między nimi.

— Och... przykro mi, Beryl. Tak bardzo, bardzo mi przykro! — krzyknęła Torilla. — Nic nie wiedziałam, a ty w żadnym liście nigdy nic nie napisałaś.

— Marsdenowie nic nie wiedzieli, aż minęło Boże Narodzenie — wyjaśniła Beryl. — Potem powiedziano im, że... Rodneya nie było wśród... tych, którzy przetrwali bitwę.

— Nie mogę w to uwierzyć — wyszeptała Torilla.

Rodney Marsden był częścią ich dzieciństwa. Jego ojciec, właściciel ziemski, miał posiadłość graniczącą z ziemiami hrabiego, i Rodney, trzy lata starszy od Beryl, był, tak jak obie kuzynki, jedynakiem. Swoje szkolne wakacje spędzał niezmiennie w ich towarzystwie.

Ponieważ hrabia bardzo go lubił, pozwalał mu polować na kaczki nad jeziorami oraz gołębnie i króliki w lasach. Gdy podrośł, od czasu do czasu towarzyszył swojemu ojcu w polowaniach na bażanty i kuropatwy.

Dziedzic Marsden miał trochę dobrych koni, zwłaszcza do polowań, i Rodney podjął się wprowadzenia Beryl i Torilli w dziedzinę polowań. Był także ich partnerem do tańca na przyjęciach, które rodzice wszystkich trojga wydawali na Boże Narodzenie. Torilla myślała o nim jak o bracie, którego bardzo chciałyby mieć.

Dopiero teraz, gdy dowiedziała się, że nie żyje, uświadomiła sobie, jak bardzo pragnęła znów go zobaczyć. Przemierzyła salon, objęła Beryl i powiedziała łagodnie:

— Jedynym pocieszeniem jest to, że Rodney... chciałby... umrzeć właśnie w taki sposób. Był tak dumny z tego, że jest w armii.

Przez moment Beryl tuliła się do Torilli, potem odsunęła się i powiedziała innym tonem:

— Nauczyłam się o nim nie myśleć. Kiedy ktoś nie żyje, nic nie można poradzić i lży są zupełnie nie-stosowne!

Brzmiało to jak płocha uwaga, ale ponieważ Torilla знаła swoją kuzynkę, wiedziała, że Beryl ukrywa swoje prawdziwe uczucia.

Rozumiejąc, że pewne tematy są zbyt bolesne, aby je poruszać, rzuciła lekko:

— Opowiedz mi o swoich zaręczynach. Wiesz, Beryl, to takie do ciebie podobne, ale zapomniałaś mi powiedzieć, jak się nazywa twój przyszły mąż.

— Poczekaj, aż go zobaczysz, a wtedy będziesz naprawdę pod wrażeniem — odparła Beryl. — Och, Torillo, mam takie szczęście! Jestem najszcześniejszą

dziewczyną na świecie! Każda usiłowała zdobyć Gal-
lena, każda niezamężna kobieta w kraju i jeszcze
więcej tych, które były już mężatkami.

Miała na ustach uśmiech, gdy mówiła dalej:

— Wypróbowały przynęty każdego rodzaju na tę
największą rybę w towarzyskim stawie, ale to ja
jestem tą, która go zręcznie złapała!

Jej ton raził trochę Torillę, ale na głos powiedziała:

— Jestem pewna, że jeżeli chodziło o ciebie, naj-
droższa, był szczęśliwy, iż go złapano.

— To mój życiowy triumf — ciągnęła Beryl —
grande finale mojej kariery jako „Niezrównanej”.
Słyszałaś, że księżę regent tak mnie nazwał?

— Pisałaś mi o tym w kilku swoich listach.

— Nie mogłam ci napisać połowy tego, co chcia-
łam. Nienawidzę pisania listów. Poza tym nigdy nie
mam dość czasu.

Zakręciła wokół siebie kunsztownie haftowaną spó-
dnicę i zawołała:

— Odniosłam taki sukces! Nie wiem, od czego
zacząć opowiadanie o tym wszystkim. Jestem za-
praszana na każde przyjęcie, każde zgromadzenie,
każdy bal! Nikt nie odważy się urządzić niczego
beze mnie!

Torilla roześmiała się.

— Chwalisz się tak, jak wtedy, gdy wylosowałaś
główną nagrodę z beczki z niespodziankami na Boże
Narodzenie. Wciąż widzę, jak biegłaś wokół pokoju
krzycząc: „Patrzcie na mnie! Mam największe pudeł-
ko cukierków. Czyż nie jestem sprytna?”

— I dokładnie to samo mam teraz — odparła Beryl — bo nie można sobie wyobrazić większego cukierka niż Gallen. Jest elegantem, dandysem, piękniśm i księżę regent świata poza nim nie widzi!

Przerwała, żeby złapać oddech, ale zanim Torilla zdołała się odezwać, mówiła dalej:

— Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jaki jest bogaty. Tato uważa, że jest najbogatszym człowiekiem w całym kraju. Jego zamek w Huntingdonshire służy po prostu do zabawy!

Mówiąc gestykulowała z podnieceniem:

— Będę najważniejszą i z pewnością najbardziej wpływową panią domu w całym *Beau Monde*! Co więcej, będę cała w diamentach!

Torilla roześmiała się ponownie.

— Och, Beryl, jesteś zabawna! Ale wciąż nie mówisz mi tego, co pragnę wiedzieć.

— A cóż to takiego?

— Czy jesteś bardzo... bardzo... zakochana?

Po chwili milczenia Beryl powiedziała:

— Moja droga Torillo, ta miłość, o której rozmawialiśmy, gdy byliśmy dziećmi, to wieśniacze uczucie.

Torilla popatrzyła na nią, by sprawdzić, czy mówi poważnie, zanim zapytała:

— Co ty... mówisz?

— Mówię, że Gallen i ja z pewnością będziemy się ze sobą świetnie zgadzać, bo lubimy to samo, jesteśmy gwiazdami na tym samym społecznym firmamencie i oboje wiemy, jak zachowują się ludzie cywilizowani.

— Więc... nie jesteś... w nim zakochana? — wykrzyknęła Torilla. — Dlaczego zatem za niego wychodzisz?

— Dlaczego za niego wychodzę? — powtórzyła Beryl. — Właśnie ci powiedziałam: jest najbogatszym i najznakomitszym człowiekiem w Anglii. Czego więcej może chcieć dziewczyna?

— Ale... Beryl... — zawahała się Torilla. W oczach miała wyraz niepokoju. — Gdy mówiłyśmy o miłości w czasie twojego debiutu towarzyskiego, obie przysięgłyśmy, że nigdy nie wyjdziemy za mąż, jeśli nie będziemy zakochane.

— I to zamierzałam zrobić — powiedziała cicho Beryl — ale ułożyło się inaczej.

— I myślisz, że będziesz bez tego... szczęśliwa?

— Ależ oczywiście, że będę szczęśliwa z Gallenem. Będę miała wszystko, czego zechcę. Wszystko!

— A on cię kocha? — zapytała Torilla. — Musi, inaczej nie miałby powodu, żeby się z tobą żenić.

Beryl rzuciła jej jedno ze swoich psotnych spojrzeń.

— Gallen pragnie syna i dziedzica. Kto by nie pragnął, mając wszystkie te bogactwa do odziedziczenia? Mam także wrażenie, Torillo, chociaż oczywiście nigdy mi o tym nie wspomniał, że umyka przed wielce płomiennymi względami bardzo upartej wdowy.

Torilla usiadła na sofie.

— Nie podoba mi się to, Beryl.

— Mówisz zupełnie jak jedna z naszych guwernanek — rzekła Beryl. — Wielkie nieba, to mi przypomnia, że zapomniałam o pannie Dawson! Musi zostać zaproszona na ślub.

Popędziła z powrotem do sekretarzyka, a gdy usiadła, Torilla odezwała się:

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się nazywa twój przysły małż. Dowiedziałam się, że na chrzcie dano mu na imię Gallen, ale musi mieć nazwisko.

— To markiz Havingham — odparła Beryl.

Siedziała tyłem do swojej kuzynki i dlatego nie zobaczyła w oczach Torilli niedowierzania, a następnie prawdziwego przerażenia.

Przez moment wydawało się, że nie może złapać tchu, po czym wykrzyknęła zduszonym głosem:

— Nie... nie! To niemożliwe!

— Wiedziałam, że wyrze to na tobie wrażenie — powiedziała Beryl. — Nawet na tej niemodnej północy musiałaś słyszeć o markizie Havingham. Teraz rozumiesz, dlaczego jestem taka podniecona moim zamążpójściem.

Torilla zaczerpnęła tchu. Nie mogła uwierzyć, że to, co powiedziała Beryl, jest prawdą. Nie wierzyła, aby jej kuzynka, którą kochała i z którą się wychowała, miała wyjść za człowieka, którego ona nienawidziła i nie znosiła każdą cząstką swej istoty.

Jakżeż mogła wyjaśnić Beryl, tak bardzo podnieconej myślą o zamążpójściu, że jej przysły małż jest okrutnym potworem; człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć dzieci, za okaleczanie ich matek i brutalność ich ojców?

Przed oczami zamajaczył jej obraz Barrowfield. Upiorna nędza brudnych, ponurych domów, hałdy płonącego węgla, kuźnie i kominy silników ryczących

i sapiących wszędzie dookoła, dymy i wyziewy przesłaniające nawet jasność nieba.

W wyobraźni widziała tak często opisywanych jej przez ojca traperów, pięcioletnie dzieci kulące się w samotności aż przez szesnaście godzin dziennie w małej, ciemnej jamie.

Inne pchały albo ciągnęły przez tunele wózki z węglem. Pompy w kopalni Havingham były tak przestarzałe i niewydolne, że dzieci stały po kolana w wodzie przez dwanaście godzin.

Ojciec przychodził wieczorami do domu i wyczerpanym głosem skarżył się na właściciela kopalni, nie mając już nawet sił, żeby opisać, jak diabelskie panowały tam warunki.

„To miejsce nie jest bezpieczne” — mawiał dość często, a gdy Torilla pytała z rozpaczą: „Czy nic nie można zrobić, tato?” — ojciec wzruszał ramionami i odpowiadał: „Kogo to obchodzi? Z pewnością nie markiza Havingham?”

Przez umysł Torilli przebiegło wszystko, co widziała i słyszała o nędzy, brudzie i degeneracji Barrowfield.

W pierwszym odruchu chciała opisać Beryl, co działo się w Barrowfield i nalegać, aby poślubiła kogokolwiek innego, ale nie markiza Havingham.

Potem, zupełnie jakby stała przy niej, usłyszała Abby, przestrzegającą ją przed nudzeniem ludzi z południa problemami mieszkańców północnej części kraju.

„Nie rozumieją” — powiedziała Abby i Torilla wiedziała, że to prawda. Przed przybyciem z ojcem do Barrowfield sama by tego nie rozumiała i wątpiła,

czy nawet jej tak współczująca, litościwa i wyrozumiała matka potrafiłaby sobie wyobrazić panujące tam okropieństwa. Milczała więc z niemal nadludzkim wysiłkiem.

Wstając od sekretarzyka Beryl zaproponowała:

— Chodźmy na górę, najdroższa. Chcę ci pokazać niektóre z rzeczy, jakie kupiłam do wyprawy. Jest ich jeszcze niewiele, ale w przyszłym tygodniu pojedziemy do Londynu i wydamy fortunę na najwspanialsze suknie, jakich dostarczy ulica Bond.

Mówiąc to, podeszła do Torilli i gdy stanęła przy niej, powiedziała z troską w głosie:

— Jesteś blada, najdroższa. Myślę, że jesteś wyczerpana i nie jest to wcale dziwne po tak długiej podróży.

— Jestem trochę... zmęczona — zdołała odrzec Torilla.

Milczała, gdy Beryl prowadziła ją na górę. Znalazły się w sypialni, którą Torilla zawsze zajmowała, gdy była mała.

Niekiedy jej matka i ojciec wyjeżdżali i było wtedy oczywiste, że Torilla zostaje w Fernleigh Hall. Podobnie, gdy odpowiadało to hrabiemu i hrabinie, Beryl zostawała u nich. Przy takich okazjach obie dziewczynki spiskowały razem nad przeprowadzeniem jakiejś zuchwałej eskapady, takiej jak wdrapanie się na stóg siana albo pływanie w jeziorze w czasie, gdy powinny spać w swoich łóżkach.

W rezultacie pokój sąsiadujący z sypialnią Beryl znany był zawsze jako „pokój panienci Torilli” i teraz

czekał na nią. Odsunięte jedwabne zasłony stanowiły piękną oprawę okien wychodzących na zalane słońcem jezioro.

A jednak przez moment Torilla widziała jedynie poczerniały krajobraz pozbawiony drzew i krzewów, rudery zamieszkane przez mężczyzn, kobiety i dzieci, niemal tak czarnych jak węgiel, z którego żyli.

Potem celowo sprowokowała Beryl, by opowiedziała o swojej wyprawie, a później wieczorem o ślubie. Ponieważ obawiała się powiedzieć zbyt wiele, Torilla niezobowiązująco i z wahaniem zapytała:

— Czy nie... myślisz, najdroższa, że gdybyś... poczekała troszkę dłużej, znalazłabyś kogoś, kogo... pokochałabyś całym... sercem?

Ujrzała wyraz twarzy Beryl i dodała szybko:

— Wyglądasz jak królewna z bajki. Chcę, żebyś znalazła swojego królewicza.

— Poczekaj, aż zobaczysz Gallena — powiedziała zadowolona z siebie Beryl. — Jest dokładnie księciem z bajki, o którym rozmawialiśmy, gdy przysiadłaś na moim łóżku i zastanawialiśmy się, za kogo wyjdziemy za mąż.

Uśmiechnęła się, mówiąc dalej:

— Zawsze widziałam siebie jako królową albo księżniczkę. Spełnienie tych marzeń znalazłam w Gallenie, który jest dalece ważniejszy niż większość książąt i z pewnością bardziej wyplącalny niż księżę regent!

— To, jak mi się wydaje, nie byłoby trudne — odparła Torilla. — Nawet ja słyszałam o gorze długów, jakie ma jest Jego Wysokość!

— Nie potrafiłabym tak się zadłużyć — powiedziała Beryl. — Zresztą będzie mi bardzo trudno wydać choćby część fortuny Gallena.

Wyciągnęła ramiona ponad głowę, wołając:

— To dlatego zamierzam mieć wyprawę, która wszystkich zadziwi, a ty na tym skorzystasz.

Torilla wiedziała, co powie Beryl.

— Zamierzam wyzbyć się każdej rzeczy, która teraz należy do mnie — ciągnęła jej kuzynka. — Każdej. I wszystkie są twoje.

— Dziękuję ci, najdroższa — powiedziała Torilla. — To bardzo, bardzo miło z twojej strony.

Jednocześnie nie mogła się nie zastanawiać, cóż pocnie ze ślicznymi sukienkami Beryl w Barrowfield. Materiał będzie zbyt delikatny, aby pociąć na użytek dzieci i żon górników, chociaż była zupełnie pewna, że gdyby to było możliwe, właśnie tego spodziewałby się po niej ojciec.

— Będę miała nowe wachlarze, nowe sakiewki, nowe parasolki, nowe pantofelki i nowe rękawiczki!

Beryl rozparła się na miękkich poduszkach sofy, po czym ciągnęła dalej:

— Nie jestem rozrzutna, Torillo, ale rozsądna! Gallen uwielbia dobrze ubrane, eleganckie kobiety. Prawdę mówiąc, jestem jedyną dziewczyną, jeżeli można mnie tak nazwać, której Gallen okazał nieco zainteresowania.

Wyprostowała się znów, wsparła głowę na dłoni i powiedziała zadumana:

— Będę musiała być bardzo wyrafinowana, aby go

zadowolici. Mówiac szczerze, Torillo, on bedzie trudnym mezem.

— Co chcesz przez to powiedziec? — zapytala Torilla.

— Sdzac po jego przeszlosci, jest znawca nie tylko koni, ale i pieknych kobiet.

— Czy naprawde spodziewasz sie, ze bedzie... niewierny? — zapytala wstrzasnietym glosikiem Torilla.

— Na litość boską, Torillo, dorosnij! — odparła Beryl. — Oczywiście, że Gallen będzie miał swoje flirty, a ja swoje, ale muszę być bardzo ostrożna, aby nikt nie zajął mojego miejsca. Wiem aż za dobrze, jakie są kobiety, gdy chodzi o mężczyznę tak bogatego i znacznego, jak Gallen.

— Zająć twoje miejsce? — powtórzyła Torilla. — Chodzi ci o to, że uciekłyby z inną kobietą?

— Nie, oczywiście, że nie — powiedziała Beryl. — Ludzie z naszej sfery nie wywołują tego rodzaju skandali... chyba, że są szaleni.

Mówiła bardzo ostro. Potem, widząc wyraz twarzy Torilli, dodała łagodniej:

— Zawsze żyłaś w oderwaniu od rzeczywistości, Torillo. Usiłuję powiedzieć, że jeżeli mężczyźni naprawdę się znudzi jego żona, może uczynić jej życie bardzo nieprzyjemnym.

Beryl ciągnęła dalej twardo:

— Może ją zostawić na całe miesiące na wsi, gdzie będzie mogła porozmawiać tylko z dziećmi, albo nie dawać jej pieniędzy, jak ten obrzydliwy lord Boreham!

Przerwała, jakby przypominając sobie skapstwo lorda, po czym dokończyła:

— Jest tysiąc sposobów, na które można unieszczęśliwić żonę i dać jej odczuć, że jest nie chciana!

Wstała, mówiąc zdecydowanie:

— Mam zamiar utrzymać Gallena przy sobie, ale nie zamierzam udawać, że będzie to łatwe.

— Gdyby cię... kochał — powiedziała z wahaniem Torilla — mogłoby być zupełnie... inaczej.

— Całkiem mnie lubi — odparła Beryl — i, zupełnie szczerze, nie sądzę, aby Gallen kiedykolwiek kochał kogoś z wyjątkiem siebie i swoich koni.

Ponownie spojrzała na wyraz twarzy Torilli i roześmiała się.

— Nie przejmuj się tak bardzo, najdroższa! Ja też się zabawię. Lord Newall jest szalenie, dziko we mnie zakochany. Czy wiesz, że zeszłego wieczoru wyjął pistolet i oświadczył, że albo pozwolę mu się pocałować, albo palnie sobie w łeb!

— Naprawdę chciał to zrobić? — zapytała bez tchu Torilla.

— Nie ryzykowałam sprawdzania! — odparła figlarnie Beryl.

— Chcesz powiedzieć... że pozwoliłaś mu... się pocałować?

— Oczywiście, i było to bardzo przyjemne, jeśli chcesz wiedzieć.

Torilla już otwierała usta, aby czynić wymówki, ale zadała sobie pytanie, jak może krytykować Beryl po tym, co zaszło w drodze na południe?

— Lepiej chodźmy do łóżka — powiedziała Beryl. — Jutro tato przyjeżdża do domu, a wtedy naprawdę się zaczniesz.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Torilla.

— Mama nalegała, aby tato był z nią w Londynie, gdy ogłoszenie moich zaręczyn ukazało się w gazecie. Cały dzisiejszy dzień przyjmowali gratulacje, a jutro, bez wątpienia, tłumy gości pojawią się tutaj.

Beryl roześmiała się lekko.

— Zabawnie będzie zobaczyć ludzi, którzy mnie krytykowali przez ostatnie kilka lat, płaszczących się teraz u moich stóp. Nie będą chcieli poróżnić się z przyszłą markizą Havingham!

Obie dziewczyny wspięły się po schodach i Beryl weszła wraz z Torillą do jej sypialni.

— Tęsknię za rozmową z tobą — powiedziała — ale jestem pewna, że jesteś zmęczona, najdroższa, a i ja muszę się przespać dla poprawienia urody.

Przy tych słowach zerknęła na swoje odbicie w lustrze, jakby chcąc się przekonać, że w rzeczywistości ów sen nie był jej wcale potrzebny. Potem powiedziała:

— Spodziewam się, że jutro przyjedzie także Galen, a wtedy zobaczysz, że w niczym nie przesadziłam, mówiąc o nim.

Ucałowała Torillę, po czym otworzyła drzwi łączące oba pokoje.

— Dobranoc, moja droga, dobra, mała Torillo — powiedziała. — Przepraszam, że cię zaszokowałam! Nie wolno nam zapomnieć o twojej sukience druhny, gdy pojedziemy do Londynu. Chcę, żebyś wyglądała

bardzo ładnie, ale ostrzegam cię: nie cierpię żadnych rywalek!

— Tak, jakby ktoś mógł z tobą rywalizować — powtórzyła Torilla to, co powiedziała w rozmowie z Abby.

— Zdziwiłabyś się, ilu ludzi próbuje — zareplikowała Beryl, zamykając za sobą drzwi.

Następnego dnia Torilla stwierdziła, że Beryl nie przesadziła mówiąc, że „naprawdę się zacznie”. Od wczesnego rana zajeżdżali stajenni z zaproszeniami, listami gratulacyjnymi, bukietami kwiatów i prezentami.

Beryl była nimi tak podniecona, jak swoimi prezentami gwiazdkowymi, gdy była dzieckiem.

— Przeczytaj te pochlebstwa, jakie wypisuje stary lord Godolphin! — zawołała, rzucając list w ręce Torilli. — To ohydny, stary hipokryta. Nienawidził mnie od czasu, gdy usiłował mnie, piętnastolatkę, pocałować, a ja walnęłam go pięścią w brzuch.

— To z całą pewnością bardzo miły list — powiedziała cicho Torilla.

— Płaszczący się, stary głupiec!

Prezenty rozczarowały Beryl.

— To już trzecia srebrna taca — westchnęła. — Zdawałoby się, że ludzie powinni wiedzieć, iż Gallen posiada najlepsze srebra rodowe w Anglii, z których większość sięga panowania Karola II.

Z pogardą odepchnęła tacę na bok.

— Sądę, że zawsze możemy używać ich dla psów — roześmiała się.

Na listę gości weselnych trzeba było wpisać jeszcze wiele osób, o których Beryl zapomniała.

Gdy hrabia Fernleigh wszedł do salonu, ujrzał nie tylko rozrzucone po całej podłodze listy, ale również kawałki papieru, pudełka, prezenty i kilka bukietów kwiatów.

— Dzień dobry, tato! — zawołała od niechcienia Beryl.

Torilla podniosła się z podłogi i czule ucałowała wuja.

— Miło cię znowu widzieć, Torillo — powiedział hrabia z nutą prawdziwej czułości w głosie.

— Cudownie jest być z powrotem, wujku Hektorze.

— Z pewnością twój ojciec zdążył się już znudzić zagrzebaniem na zagubionej prowincji?

— Zbyt ciężko pracuje, wujku Hektorze.

— To powiedz mu, żeby wracał tutaj. Wkrótce odchodzi na emeryturę proboszcz Wheathampstead. To dobre beneficjum i jestem gotów dodać kilka setek do pensji, jeśli twój ojciec je obejmie.

— To bardzo miło z twojej strony, wujku Hektorze.

— Powiedz mu, że jeśli chce, to to dostanie. Brakowało mi cię, Torillo. Masz dobry wpływ na Beryl, czego nie można powiedzieć o niektórych...

Z tymi słowami wyszedł z pokoju, a Beryl skrzywiła się lekko.

— Co przez to rozumie? — zapytała Torilla.

— Nienawidzi większości moich przyjaciół — odparła Beryl. — Uważa, że są swobodnych obyczajów i nieodpowiedni, bo rzeczywiście są, ale z pewnością są weselsi od tych starych nudziarzy, których zabawia tato.

— Naprawdę... lubisz wszystkich ludzi, których... spotykasz w Carlton House? — zapytała z lekkim wahaniem Torilla.

Beryl uśmiechnęła się do niej.

— Niektórzy z nich są fantastyczni! — powiedziała. — Można się zastanawiać, gdzie księżę znajduje tak niezwykłych ludzi. Ale najgorsi są arystokraci, jak markiz Queensbury, który słynie ze swoich niedyskrecji miłosnych!

Roześmiała się z wyrazu twarzy Torilli i dodała:

— Niegodziwi bracia Barrymore są wstrętni, byłabyś przerażona tym, co oni wyrabiają.

— Wydaje mi się, że... bałabym się takich ludzi — powiedziała Torilla.

— Zabawne byłoby zobaczyć, jaki mają na ciebie wpływ — roześmiała się Beryl. — Poznasz ich wszystkich, gdy pojedziemy do Londynu w przyszłym tygodniu.

Torilla spojrzała na nią pytająco i Beryl wyjaśniła:

— Właśnie zdecydowałam, Torillo, że przedstawię cię w towarzystwie. Zabawne będzie nie tylko zobaczyć, co ty o nich pomyślisz, ale także, co oni pomyślą o tobie! Nie wierzę, aby ktokolwiek z nich spotkał kiedyś kogoś naprawdę dobrego!

— Zawstydzasz mnie! — wykrzyknęła Torilla.

— Mówię prawdę — powiedziała Beryl. — Jesteś dobra, zawsze byłaś, a ja przeciwnie. Chcę być zła. Nie

niegodziwa, jak Barrymore'owie, ale wystarczająco zła, by sprawiało mi radość to wszystko, co nie powinno.

— Nie jesteś zła! — zaprzeczyła lojalnie Torilla. — A gdy wyjdiesz za męża, najdroższa, będzie zupełnie inaczej.

Beryl nie odezwała się, a u Torilli pojawiło się nagle nieprzyjemne uczucie, że prawdopodobnie będzie gorzej.

Jeżeli markiz był tak niegodziwy, jak jej się wydawało, czy nie doprowadzi Beryl, która zawsze była impulsywna, do popełnienia czynów, których może potem żałować? Torilla poczuła nagle ogromny niepokój, lecz odsunęła od siebie te myśli.

Beryl opowiadała głupstwa, ale pozostanie z pewnością tak słodka, miła i hojna, jak przedtem, chociaż trzeba przyznać, że była podatna na pochlebstwa.

Ale któżby ją za to winił, zastanawiała się Torilla, skoro jest tak piękna... tak zdumiewająco piękna?

Przypomniała sobie, jak jej matka powiedziała kiedyś: „Beryl jest jak obraz Rubensa — w doskonałych barwach. Ty, moja kochana, jesteś wyjątkową akwarelą zapadającą w duszę tak, że trudno sobie wyobrazić inne, równie cudowne obrazy”.

Wtedy Torilla uważała, że matka pociesza ją jedynie, bowiem Beryl przyciągała uwagę o wiele bardziej niż ona. Teraz myślała, że Beryl ze swoją radością, blaskiem i żywiołowością, rzeczywiście wyglądała jak doskonały, zapierający dech obraz wielkiego mistrza.

Następnie, jakby chcąc zmienić temat, Torilla zapytała:

— Co zrobimy z tymi wszystkimi kwiatami? Lilie są doskonałe.

Mówiąc te słowa podniosła dużą wiązanekę kwiatów i popatrzyła na nie; ich zapach wydawał się posiadać jakąś mistyczną właściwość.

— Najlepiej każ je postawić w swoim pokoju, skoro tak bardzo ci się podobają — odparła Beryl — ale resztę wyrzucić. Tak się składa, że w domu jest za dużo kwiatów.

— Och, nie! Nie wolno ci tak robić! — wykrzyknęła Torilla.

Zawsze myślała o kwiatkach jako o żywych istotach, podatnych na cierpienie tak samo jak ludzie, i nie znosiła, gdy służący zapominali je podlewać albo gdy wyrzucano je, zanim zwiędły.

— Zajmę się nimi — powiedziała, wiedząc, że Beryl nie słucha.

W hallu rozległy się głosy i jej kuzynka zerwała się na nogi.

— To Gallen! — wykrzyknęła. — Przypuszczałam, że dziś przyjdzie! Och, jakież to podniecające! Teraz będziesz mogła go zobaczyć.

Popędziła przez pokój i szarpnęła drzwi.

— Gallen! Gallen! — słyszała jej wołanie Torilla. — Jak cudownie, że tu jesteś! Tak bardzo się niecierpliwiłam, by cię zobaczyć!

Odpowiedział jej głęboki, męski głos, ale Torilla nie dosłyszała, co powiedział.

Stojąc z liliami w ramionach, przygotowywała się na zbliżającą się chwilę, co sprawiało, że całe jej ciało

było napięte. Przerazenie, jakie budził w niej markiz Havingham, płonęło jak węgiel żywym ogniem w jej piersi.

Nienawidziła go. Nienawidziła go tak bardzo, że pomyślała, iż gdyby było to w jej mocy, zabiłaby go.

Gdy położyła się do łóżka minionej nocy, modliła się z żarliwością, z jaką nie robiła tego nigdy przedtem, aby coś zapobiegło jego małżeństwu z Beryl. Jak mogła pozwolić, aby ktoś, kogo kochała tak bardzo, związał się z człowiekiem popełniającym takie zbrodnie, jakie markiz popełniał wobec górników i ich rodzin?

Zawsze wyobrażała go sobie siedzącego przy stole uginającym się od jedzenia i pijącego czerwone wino koloru krwi tych, którzy dla niego spływali potem w ciemnościach i pyle jego plugawej kopalni.

Jak można być tak bestialskim, tak bez serca? — zadawała sobie pytanie.

Górnicy z Barrowfield byli nie tylko przepracowani i źle opłacani, ale także oszukiwani przez nadzorcę, który, jak sądziła, został wyznaczony przez markiza.

Było wiele sposobów krzywdzenia górników tak, aby ci, którzy nimi zarządzali, mogli nabić sobie kiesy. Zawsze potracano z płac, aby pokryć koszt świec i prochu, jaki zużyli. I nadzorca mógł, jeżeli chciał, zmusić ludzi, by kupowali od niego świece o półtora lub dwa pensy droższe niż cena rynkowa.

To wszystko, jak dowiedziała się od ojca Torilla, działo się w kopalni Havingham.

Opłata za zepsute narzędzia także zmniejszała płace ludzi, a nadzorca mógł się domagać sumy znacznie przekraczającej aktualną wartość rynkową towarów.

Pastor jasno ukazywał nikczemność tych działań.

— Pobierają szylinga za stylisko łopaty — powiedział pewnego dnia do Torilla z wściekłością — a klin kosztuje tu sześć pensów, chociaż dotąd kosztował dwa.

— Czy nic nie można zrobić? — zapytała ponownie Torilla.

— Kogo to obchodzi, że oszukuje się ludzi? — zapytał zjadliwie pastor.

Z pewnością nie obchodziło to bogatego markiza, człowieka posiadającego zamki i domy, służbę i konie wyścigowe i żeniącego się teraz z kosztowną kobietą.

Głosy w hallu zbliżały się do drzwi i Torilla napięła się na spotkanie z człowiekiem, o którym myślała jako o „diable”.

Zacisnęła dłonie na wielkim bukiecie lilii, który wciąż trzymała w ramionach. Gdy tak czekała, w bladej twarzy widać było tylko jej oczy szeroko otwarte i ciemne. Potem odwróciła wzrok, bo wszystko było zbyt przerażające.

Beryl weszła pierwsza.

— Oto Gallen, najdroższa Torillo; teraz możesz go poznać!

Za Beryl wszedł do salonu mężczyzna, w którego wypolerowanych butach z cholewami odbijały się meble i chaos papierów, kwiaty i prezenty leżące na podłodze.

Torilla z wysiłkiem podniosła wzrok, a wtedy serce w niej zamarło. Wydało się jej, że sufit zwałił się jej na głowę, a cały pokój wiruje wokół niej!

Za Beryl postępował nie markiz Havingham, ale sir Alexander Abdy!

ROZDZIAŁ 4

Przeszedłszy przez bramę parku, Torilla ujrzała, że ziemia pod dębami pokryta jest złotym dywanem żonkili.

Był wczesny ranek. Wracała z mszy, na którą poszła o siódmej rano do małego, wiejskiego kościółka, gdzie została ochrzczona. Na mszy było zaledwie pół tuzina osób. Gdy nabożeństwo dobiegało końca, Torilla poszła na cmentarz, by pomodlić się przy grobie matki.

Popatrzyła na zwyczajny kamień leżący pod drzewem tui i zdała sobie sprawę, że trudno jej uwierzyć, by matka, którą tak głęboko kochała i która była zawsze tak łagodna i wyrozumiała, opuściła ją.

Potem powiedziała sobie, że to nieprawda.

Duch jej matki żył i gdziekolwiek mogła się znajdować, jej myśli i miłość będą zawsze przy niej i ojcu.

Mamo, pomóż mi zrobić dla Beryl wszystko, co w mojej mocy, modliła się w sercu Torilla. Wiedząc, jak on traktuje ludzi w Barrowfield, jak mogę pozwolić jej poślubić markiza?

Nie wspominała o tym w modlitwach, ale w głębi duszy wiedziała, że jej uczucia wobec markiza były sprzeczne i pomieszane.

Skoro знаła go jako bezlitosnego, okrutnego potwora, jakże mógł być jednocześnie człowiekiem, który obudził w niej rozkosz tak boską, że sama myśl o jego pocałunku wciąż wprawiała ją w drzenie?

Odkąd przyjechał do dworu, nie potrafiła patrzeć na niego i unikała jego wzroku. Gdy wszedł do salonu i dygnęła odruchowo, bez udziału woli, jej serce biło w piersiach tak szaleńczo, że wydawało się jej, iż on musi to słyszeć.

Bardzo ciemne rzęsy Torilli odcinały się na tle bladych policzków. Wstając usłyszała jego słowa:

— Wspaniale panią poznać, panno Clifford!

Powiedziała sobie wówczas, że jej niechęć wobec niego była nie mniej gwałtowna, niż przed jego przyjazdem, a jednak jej głos niewątpliwie drżał, gdy odpowiedziała uprzejmie:

— Dziękuję... milordzie.

Beryl była całkowicie nieświadoma jakiegokolwiek napięcia pomiędzy markizem a swoją kuzynką.

— Chodź spojrzeć na nasze prezenty, Gallenie — powiedziała, ciągnąc go za rękę. — Przyprawiają o mdłości i jedyne, co można z nimi zrobić, to wydać je w przyszłości innym nieszczęsnym parom.

Gdy prowadziła markiza w stronę porozrzucanych prezentów, listów i papieru, Torilla, wciąż przyciskając do siebie lilie, uciekła.

Biegając po schodach zadawała sobie pytanie, jak

to było możliwe, aby markiz był sir Alexandrem Abdym, człowiekiem, o którym, wbrew wszelkim postanowieniom, marzyła każdej nocy, odkąd go ostatnio widziała, i o którym po tysiąc razy na dzień myślała?

— Nienawidzę go! Nienawidzę go! — powtarzała sobie raz za razem, jakby same słowa miały moc wymazania z pamięci tamtego magicznego, niewypowiedzianie cudownego pocałunku.

Tego wieczoru przy kolacji była bardzo cicha, ale ani Beryl, ani wuj niczego nie zauważyli, ponieważ byli zajęci rozmową. Hrabia miał wiele do opowiedzenia o gratulacjach, jakie otrzymał w Londynie po tym, gdy gazeta zamieściła ogłoszenie zaręczyn jego córki.

Jednocześnie Beryl robiła, co było w jej mocy, aby skupić na sobie całą uwagę markiza. Wyglądała niezwykle pięknie w sukience odpowiadającej kolorowi jej oczu i w naszyjniku z akwamarynów otoczonych diamentami, połyskującymi przy każdym jej ruchu.

Sprawiła, że markiz roześmiał się kilka razy, a Torilla pomyślała, iż żaden mężczyzna nie mógł nie zakochać się w kimś tak pociągającym. Tak bardzo jednak obawiała się napotkać oczy markiza, że nie spojrzała na niego.

Dopiero gdy kolacja dobiegała końca, markiz zapytał niespodziewanie, gdy Beryl mówiła o ślubie:

— Jaką rolę odgrywa we wszystkich tych uroczystościach panna Clifford?

Pytanie to sprawiło, że Torilla drgnęła i zarumieniła się.

— Torilla ma być moją jedną druhną — odparła Beryl. — Nie miałam czasu opowiedzieć ci, Gallenie, jak wiele ona znaczy w moim życiu. Wychowaliśmy się razem.

— Tak, to prawda — wtrącił się hrabia. — Wszystkim nam bardzo cię brakowało, Torillo, odkąd opuściłaś nas dla dalekiej północy.

— Mnie także was brakowało, wujku Hektorze — powiedziała cicho Torilla.

— No, ale teraz wróciłaś — przerwał hrabia — i będziemy cię mieli przynajmniej do czasu, aż Beryl nie wyjdzie za mąż.

— To mi przypomina... — zawołała Beryl i znów szczebiotała o ceremonii ślubnej i wielkiej liczbie gości, których trzeba będzie pomieścić na weselu.

Po skończonej kolacji panowie poszli do salonu, a Torilla ponownie wymknęła się do ciszy i spokoju swojej sypialni.

Tłumaczyła sobie, że jest tylko taktowna, gdyż Beryl z pewnością będzie chciała być z markizem sama. Ale w głębi serca wiedziała, że tak naprawdę boi się przebywać w jego pobliżu i czuła, jakby wszystko, czym był, co robił i mówił, wirowało w jej umyśle, doprowadzając ją swoim skomplikowaniem niemal do szaleństwa.

Nie była w stanie zasnąć i natychmiast, gdy się rozjaśniło, uświadomiła sobie, że jest niedziela, więc musi pójść do kościoła.

Nie sądziła, aby godziny mszy uległy większej zmianie od czasu, gdy obowiązki pastora w małej parafii pełnił jej ojciec. Zawsze nalegał na bardzo wczesną mszę dla tych, którzy mieli później, w ciągu dnia, jakąś pracę do wykonania.

Gdy Torilla weszła do nawy małego, normandzkiego kościółka z szarego kamienia, poczuła się tak, jakby była znowu dzieckiem i wszystko na świecie dobrze się układało.

Jej ojciec i matka byli na plebanii, a Bóg, w którego zawsze z takim oddaniem wierzyła, słuchał jej modlitw. Trudno było uwierzyć, że ten sam Bóg czuwał nad Barrowfield.

Czasami, gdy słuchała o okropnościach tego, co się działo w kopalni, czuła, że nie ma już miłosiernego Boga, o którym jej ojciec zawsze mawiał, że opiekuje się wszystkimi swoimi dziećmi, gdziekolwiek by się znajdowały.

Tutaj dni były o wiele cieplejsze niż na północy. Na niebie wstawało właśnie złote słońce. Idąc pod dębami, których gałęzie łączyły się nad jej głową, Torilla zdjęła czepek.

Jakżeż szczęśliwe byliśmy z Beryl, pomyślała, gdy jako dzieci biegałyśmy i kryłyśmy się za drzewami.

Zawsze miała nadzieję, iż Beryl albo Rodney jej nie znajdą, ale była zbyt niecierpliwa, by czekać po cichu i oni zawsze zauważali ją wyglądającą zza jakiegoś pnia i pędzili do niej z okrzykami radości. Gdy uciekała, stawało się to jeszcze bardziej podniecające.

Pamiętała, jak wszyscy troje biegali po miękkiej trawie aż do zmęczenia, by następnie rzucić się na ziemię nad jeziorem, dysząc z braku tchu i ze śmiechu.

Czasem Rodney przekomarzał się z nimi i straszył, że wrzuci je obie do nieruchomej wody.

Teraz Rodney nie żyje, a Beryl i ja jesteśmy dorosłe, pomyślała z lekkim smutkiem, i obie mamy problemy... okropne problemy.

Jakby jej słowa wyczarowały człowieka, którego usiłowała unikać, w tym momencie ujrzała jadącego ku niej markiza.

Instynktownie zapragnęła się ukryć i szybko umknęła za pień jednego z wielkich dębów. Oparła się o niego plecami, z nadzieją, że markiz jej nie zauważył.

Stała tak nasłuchując i myśląc, że usłyszy końskie kopyta na żwirze. Musiał jednak zjechać na trawę pobocza, bowiem pojawił się tak nagle, że aż podskoczyła, gdy spojrział na nią z grzbietu czarnego ogiera.

— Obcuje pani z przyrodą, Torillo, czy mnie unika? — zapytał.

Nie odezwała się i markiz zsiadł z konia. Zadrżała, gdy puściwszy konia samopas, podszedł i stanął obok niej. Nie patrzyła na niego, ale na ogiera, który spuścił łeb, by poskubać trawę.

— Czekam na odpowiedź na moje pytanie — powiedział rozbawionym tonem markiz.

Torilla usiłowała na niego popatrzeć, ale zatrzepotała tylko rzęsami i zapytała bez związku:

— Pana koń... nie... odejdzie?

— Sullivan należy do mnie — odparł markiz. — Przywiozłem go wczoraj ze sobą. Przychodzi, gdy go zawołam.

Torilla nie odezwała się, więc po chwili markiz powiedział:

— Odpowiedziałem na pani pytanie; teraz kolej na panią.

— Ja... wracałam właśnie... z kościoła do domu.

— Była pani w kościele? — zapytał markiz z pewną nutą zdziwienia w głosie. Potem dodał: — Oczywiście, jest niedziela. O co się pani modliła?

— Modliłam się za Beryl — odpowiedziała zgodnie z prawdą Torilla i ruszyła naprzód. Miała nadzieję, że markiz zostawi ją samą. Ale on szedł obok niej.

Ponieważ Torilla miała spuszczoną głowę, widziała tylko jego lśniący wypolerowany, wysokie buty; jednak bez podnoszenia oczu wiedziała, że on patrzy na nią.

— Zdziwiła się pani, widząc mnie? — zapytał markiz po chwili spaceru w milczeniu.

— T... tak.

— I ja byłem zdumiony, widząc panią — powiedział. — Dlaczego mi pani nie powiedziała, dokąd jedzie?

— Nie... pytał... mnie pan.

— Byłem przekonany, że nie życzyła sobie pani odpowiadać na moje pytania. W rzeczywistości wiedziałem, że celowo ich pani unika.

Zaskoczyło ją, że był tak spostrzegawczy.

— Gdy wszedłem do salonu i zobaczyłem tam panią stojącą z liliami w ramionach — mówił dalej — pomyślałem, że jest pani wytworem mojej wyobraźni.

Przerwał, po czym ciągnął:

— Myślałem o pani przez cały dzień. Właściwie, odkąd wyjechałem z gospody „Pod Jerzym i Smokiem”, nie mogłem myśleć o niczym innym.

Torilli wydawało się, że musi śnić, że on nie mógł jej mówić takich rzeczy. Potem zapytał:

— Sądzę, iż nie powiedziała pani Beryl, że spotkaliśmy się wcześniej?

— Nie... nie!

— Dlaczego?

Po chwili milczenia Torilla powiedziała z wahaniem:

— Nie... nie chciałam... jej... zranić.

— Myśli pani, że zraniłaby ją? Bardzo wątpię.

Znów w jego głosie pojawiła się ta szydercza nuta.

— To było... złe i zupełnie nie do usprawiedliwienia — powiedziała wolno Torilla — że zachował się pan... w taki sposób... zaręczwszy się właśnie z Beryl.

— To pani chciała mi podziękować wymowniej, niż można wyrazić słowami — przypomniał jej markiz.

Była to prawda, ale Torilla pomyślała ze złością, że on próbuje obarczyć ją całą winą.

— I w końcu, czy naprawdę był to tak haniebny grzech, jak pani teraz o tym myśli?

Nie, nie wydawało się to grzechem, pomyślała Torilla, ale najcudowniejszą, najdoskonalszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła.

Ale on był zaręczony z Beryl i Torilla wiedziała, że na miejscu swojej kuzynki uważałaby za największą nielojalność, gdyby mężczyzna, którego miała poślubić, całował inną.

— To, co pani czuje, a to, co Beryl, to dwie zupełnie różne rzeczy — zauważył markiz.

Odczytał jej myśli i Torilla popatrzyła na niego zaskoczona.

— Nie przepraszam ani nie usprawiedliwiam się za to, co się stało — powiedział cicho markiz.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Potem z wysiłkiem przypomniała sobie, kim on jest, i odwróciła twarz.

— Gdy wszedłem wczoraj do salonu — powiedział markiz — widziałem, że spojrzała pani na mnie i wiedziałem, że przez jedną krótką chwilę cieszyła się pani, iż mnie widzi. Potem pani oczy zmieniły się i popatrzyła pani na mnie z wyrazem, który mogę opisać jedynie jako nienawiść. Dlaczego?

Torilla zaczerpnęła tchu.

Jakżeż mógł obserwować mnie tak dokładnie? — zastanawiała się. Jak mógł być tak wrażliwy na to, co odczuwałam?

To był markiz Havingham, człowiek brutalny i bez litości, który ponosił odpowiedzialność za takie zbrodnie przeciwko naturze, że — odkąd przeniosła się do Barrowfield — pragnęła, by umarł.

Oszołomiona sprzecznością swoich uczuć Torilla ujrzała, że doszli do miejsca, w którym zważyło się drzewo. Nie zastanawiając się, co robi, usiadła na pniu i markiz, z oczami utkwionymi w jej twarzy, zajął miejsce obok niej. Jego koń podązał za nimi i teraz ponownie pochylił łeb, szukając młodej trawy.

— Chcę wyjaśnienia, Torillo. Pani oczy są bardzo

wyraziście, więc będzie pani trudno ukryć przede mną jakiś sekret.

— Wolałabym raczej... aby mi pan... nie zadawał pytań.

— Wiem, że czuła pani to samo, gdy jedliśmy razem kolację. Ale teraz sytuacja się zmieniła. To, co czuje pani teraz, ma jakiś związek ze mną osobiście, nieprawdaż?

— T... tak.

Wydawało się, że monosylaba ta została wydarta z ust Torilli.

— I nie chodzi po prostu o to, że jest pani na mnie zła za to, że panią pocałowałem?

— Nie byłam... zła — zawahała się Torilla. — Byłam tylko... wstrząśnięta... gdy po pana wczorajszym przyjeździe... zdałam sobie sprawę, że sir Aleksander Abdy to pan!

— Ale jest jeszcze coś innego — nalegał markiz.

Torilla nie odezwała się, więc po chwili mówił dalej:

— Powiedziała pani, że modliła się w kościele za Beryl. Czy modliła się pani, żeby za mnie nie wychodziła?

Ponownie Torillę zdumiało, że jest niemal jasnowidzem w tym, co jej dotyczy. Ponieważ zdawał się hipnotyzować ją, by mówiła prawdę, powiedziała cicho:

— Tak... Modliłam się... o to.

— Zastanawiam się, który z moich licznych grzechów i nierozważnych czynów wyszedł na wierzch? Jest mnóstwo takich, które zwłaszcza pani wydawałyby się niesmaczne.

Mówił teraz kpiąco i Torilla odniosła wrażenie, że śmieje się z niej. Czując, że kontynuowanie tej rozmowy było nie do zniesienia, Torilla wstała ze zwalnego drzewa.

— Chciałabym wrócić... do dworu, milordzie.

Markiz nie wstał. Wyciągnął jedynie rękę i ujął jej przegub.

— Nie, dopóki nie powie mi pani tego, co chcę wiedzieć. Torilla zadrżała pod dotykiem jego dłoni. Nie rozumiała dlaczego, ale gdy jego palce dotykały jej skóry, czuła się niemal tak, jakby małe promyki światła przeszły jej ciało.

— Proszę mi powiedzieć, Torillo. Nie może mnie pani zostawić w niepewności i ufam, że nie okłamię mnie pani.

— Nie... spodoba się panu... prawda.

— Nie boję się jej poznać.

Usiłowała uwolnić nadgarstek, ale markiz trzymał ją mocno. Odwróciwszy się od niego w stronę, gdzie ranne słońce lśniło na jeziorze, powiedziała tak cicho, że ledwie ją słyszał:

— Jestem z... Barrowfield!

— Barrowfield? — powtórzył markiz.

Po pytającym tonie w jego głosie Torilla zorientowała się, że nazwa ta wydawała się nic dla niego nie znaczyć. Mógł zapomnieć albo może było to miejsce, które trudno mu było skojarzyć z nią.

Jakakolwiek była tego przyczyna, zlikwidowała ona wahanie i nieśmiałość Torilli. Poczowała złość oraz nienawiść silniejszą niż uczucie, jakie markiz wzbudził w niej swym dotykiem.

— Tak, Barrowfield — powiedziała, a teraz jej głos był silny. — To w Yorkshire, milordzie, i jest to brudne, ohydne, nędzne miejsce, ponieważ mieszkający tam ludzie pracują w kopalni Havingham!

Zaczerpnęła tchu.

— Czy to panu nic nie mówi? No to pozwolę sobie powiedzieć, co to oznacza dla górników i ich rodzin.

Mówiąc odwróciła się i markiz uwolnił jej nadgarstek.

— Czy pan wie, że pana kopalnia jest niebezpieczna? Czy pan wie, że praktycznie co miesiąc zdarzają się wypadki, w których ludzie, jeżeli nie giną, to są okaleczani i zostają inwalidami na całe życie?

Zaczerpnęła tchu i ciągnęła dalej:

— A w ciemności są nie tylko eksplozje, podziemne pożary i woda, w której pięcioletnie dzieci stoją codziennie całymi godzinami, ale także brak jest właściwej wentylacji.

Napotkała oczy markiza i zdała sobie sprawę, że przygląda się jej zaskoczony.

Na usta cisnęły się jej słowa:

— Wszystkie inne kopalnie w południowym Yorkshire zainstalowały wynalezioną dziewięć lat temu pompę powietrzną Buddle'a, ale w kopalni Havingham nie mogą sobie pozwolić na takie luksusy!

Gorzki głosem ciągnęła dalej:

— Kopalnie lorda Fitzwilliamy używają lamp górniczych, ale kopalnia Havingham na to też nie może sobie pozwolić, ani na żadne zwyczajowe podarunki czy premie za wydajność.

Jakby nie mogąc znieść jego widoku, Torilla stała teraz patrząc w głąb parku i innym tonem dodała:

— Czy wyobraża pan sobie, jak ja się czuję, gdy słyszę, ile pan posiada koni wyścigowych? Że jest pan jednym z najbogatszych ludzi w Anglii i że ma pan więcej posiadłości i więcej domów, niż jest pan w stanie zliczyć?

Markiz nie odezwał się i Torilla mówiła dalej:

— Czy pomyślał pan kiedyś, jak sam potrafiłby egzystować mając tygodniową pensję w wysokości trzynastu szylingów i sześciu pensów, bo tyle tylko dostają pana górnicy? Albo jak by się pan wyżywił, gdyby się okazało, że z trzech funtów i dziewięciu pensów, jakie pan otrzymuje miesięcznie, jedenaście szylingów i dwa pensy muszą pokryć koszt świec i prochu?

Drżącym głosem Torilla dodała:

— Najbardziej jednak przesładuje mnie widok dzieci; dzieci, które nigdy nie jedzą do syta; dzieci, które są bite, jeśli boją się albo są senne w dusznej ciemności!

Miała teraz łzy w oczach. Nie chciała, żeby markiz je zobaczył, więc odwróciła się do niego plecami, dodając:

— Zanim przyjechałam na południe, wiedziałam, że jest pan samym diabłem; potworem, którego... przeklinałam każdego dnia, mieszkając w Barrowfield. Czy naprawdę myśli pan, że chciałabym, aby Beryl... którą kocham... wyszła za... pana?

Ostatnie słowa były prawie niezrozumiałe.

Jakby nie mogąc tego dłużej znieść, Torilla odeszła, zostawiając markiza siedzącego na zwałonym drzewie. Nie odwróciła się. Oczy miała pełne łez.

Dopiero gdy zbliżyła się do dworu, otarła je mocno chusteczką i wszedłszy do domu, pospieszyła do swojej sypialni, by umyć twarz i usunąć wszelkie ślady emocji, które ją tak rozstroiły.

Teraz zna prawdę — powiedziała do siebie wyzywająco — i będzie mnie nienawidził tak, jak ja go nienawidzę.

Dopiero gdy jej podniecenie i emocje nieco opadły, zastanowiła się, co czuł markiz słysząc to, co miała mu do powiedzenia. Przypomniała sobie zaskoczenie, jakie widziała na jego twarzy. Wydawało się prawdziwe i pomyślała, że być może naprawdę nie miał pojęcia o warunkach panujących w kopalni Havingham.

Ale, wciąż zdecydowana go nienawidzić, pomyślała, że nie było przecież żadnego usprawiedliwienia dla istniejących tam warunków. Był właścicielem kopalni. Zysk, jaki przynosiła, należał do niego, a żaden człowiek nie powinien wyzyskiwać istot ludzkich, nie troszcząc się o warunki, w jakich pracowały.

Rozmyślając tak uświadomiła sobie, że powtarza jedynie to, co powiedział jej ojciec. Niemniej nie ulegało wątpliwości, że było to tak słuszne, iż nie potrafiła znaleźć żadnych łagodzących okoliczności dla markiza, nawet jeśli nie wiedział, co działo się w kopalni, noszącej zresztą jego imię.

Nienawidzę go! — powiedziała do siebie, schodząc

na śniadanie z Beryl. Z ulgą stwierdziła, że markiz był nieobecny.

Nienawidzę go! — myślała także przy lunchu.

Było wielu gości, ale okazało się niemożliwe nie spoglądać od czasu do czasu na siedzącego po przeciwnej stronie stołu markiza. Po jednej stronie łąsała się do niego Beryl, po drugiej siedziała bardzo atrakcyjna żona pewnego lorda.

Ich nie obchodzi, co on robi, pomyślała zjadliwie Torilla.

Potem przypomniawszy sobie, co czuła, gdy dotknął jej nadgarstka, pomyślała, że być może ma on ten sam czarodziejski wpływ również na inne kobiety.

Ma czar i przebiegłość diabła powiedziała sobie surowo. Jest zły, niegodziwy i zasługuje na pogardę! Ale gdy już się ożeni z Beryl, rzadko go będę widywała.

Zastanawiając się, dlaczego ta myśl bardziej ją przygnębia, niż dodaje otuchy, nadal zmuszała się, aby pamiętać o warunkach w Barrowfield i nie pozwolić, by przybladły w jej pamięci wobec komfortu, piękna i luksusu Fernleigh Hall.

Było jej jednak bardzo trudno, gdy Beryl powiedziała, że wieczorem wydane zostanie duże przyjęcie, aby uczcić jej zaręczyny.

— Chcę, żebyś wyglądała bardzo ładnie, najdroższa — powiedziała Torilli — więc chodź do mojego pokoju. Wybierzemy dla ciebie jedną z moich najładniejszych sukienek.

Torilla pragnęła powiedzieć, że jeśli chodzi o nią, to nie ma czego czcić. Ale nie można było odmówić

Beryl, gdy wyjmowała ze swojej szafy wspaniałe i kosztowne suknie i przykładała je do Torilli, aby ocenić efekt, zanim zdecydowała się w końcu na tę, która jej zdaniem była najodpowiedniejsza.

— W bieli wyglądasz jak panna młoda, a to ja powinnam się tak ubrać. Ale Gallen dał mi wspaniałe turkusy i mam sukienkę dokładnie tego samego koloru.

— Mogłabym włożyć coś różowego — zaproponowała Torilla.

— Włóż białą, a będziesz wyglądała jak anioł — odparła Beryl. — Czy może powinnam powiedzieć raczej, jak święta?

Roześmiała się lekko.

— Święta Torilla — myślę, że tak cię będę nazywać w przyszłości. Jesteś tak dobra, kochanie, że sprawiasz, iż czuję się winna, gdy pomyślę o tym wszystkim, co robiłam, a co ty byś potępiła.

— Nie jestem święta — zaprzeczyła cicho Torilla. — Ja także robię rzeczy, które... wiem, że są... złe.

— Nie wierzę w to. Jesteś dobra, zawsze byłaś. Co więcej, Torillo, masz moc sprawiającą, że inni ludzie także chcą być dobrzy.

— Proszę... proszę cię, Beryl... nie mów tak — powiedziała nieswoim głosem Torilla.

Poczuła się niewypowiedzianie winna, że pozwoliła markizowi się pocałować i oszukała kuzynkę, nie mówiąc jej o tym. Ale pamiętała, że matka powiedziała jej kiedyś, wiele lat temu: z naszych grzechów powinniśmy spowiadać się Bogu, Torillo, ale nigdy ludziom, jeżeli mogłoby ich to zranić.

Torilla nie rozumiała wtedy dokładnie, co miała na myśli jej matka, ale teraz wiedziała, że nie miałyby sensu unieszczęśliwianie Beryl. Jeżeli ktokolwiek musi ponosić konsekwencję złego czynu, to powinien to być ten, kto czyn ów popełnił.

— Bez względu na to, co mówisz, Torillo — ciągnęła Beryl — sprawiasz, że pragnę być dobra, i kto wie, być może pewnego dnia mi się to uda!

Mówiła poważnie, a potem z figlarnym wyrazem oczu dodała:

— Jakąż nudziarą bym była! Jestem zupełnie pewna, że Gallen natychmiast by mnie porzucił!

Tańczyła po pokoju, trzymając w objęciach białą sukienkę, tę, w którą chciała ubrać Torillę.

— Czy nie widzisz, jak wszystkim byłoby nudno, gdybym została świętą i myślała tylko o dobrych uczynkach? — przekomarzała się. — Lord Newall przestałby chcieć całować się ze mną! Gallen wróciłby niewątpliwie w ramiona jednej ze swych kochanek, a połowa krawców i dostawców w Londynie zbankrutowałyby!

Rzuciła białą sukienkę na krzesło.

— Nie, nie! — roześmiała się. — Każdy ma swoje właściwe miejsce: ty na piedestale, ja w kąpielu w szampanie!

Torilla nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Kąpiel w szampanie? — zapytała.

— To rzeczywiście prawda, że niektóre piękności w Londynie kąpią się w szampanie, bo uważają, że to dobrze działa na ich skórę! — wyjaśniła Beryl.

— Nigdy nie wyobrażałabym sobie czegoś takiego — powiedziała Torilla. — Wiem, że dandysi używają szampana do polerowania swoich butów, ale cała kąpiel... Nigdy nie słyszałam o tak absurdalnej rozrzutności.

— Ludzie zrobią wszystko, aby pięknie wyglądać, ale dzięki Bogu ja nie mam żadnych problemów ze swoją skórą.

— Zawsze była zupełnie doskonała — zgodziła się Torilla.

— Tak jak twoja — odparła Beryl. — Och, zapomniałam ci powiedzieć...

Odwróciła się do lustra, w którym przyglądała się swemu odbiciu, i powiedziała z naciskiem:

— Gallen cię lubi! Nigdy się nie spodziewałam, że cię polubi. Jak ci mówiłam, nigdy nie rozmawia z dziewczętami.

Torilla pragnęła zaripostować, że to, co czuje markiz, nie ma żadnego znaczenia, a ona go nienawidzi. Zamiast tego okazało się, że — jakby zafascynowana — słucha uważnie, co ma jej do zakomunikowania Beryl.

— Zapytałam go, co sądzi o mojej kuzynce i największej przyjaciółce — opowiadała Beryl — i wiesz, co on odpowiedział?

— Co... powiedział?

— Powiedział: „Jest bardzo niezwykłą osobą i wyjątkowo śliczną”.

Torilla poczuła, że się rumieni.

— Jestem pewna, że był tylko... uprzejmy — powiedziała trochę niewyraźnie.

— Nie znasz Gallena, jeśli sądzisz, że kłamałby w tego rodzaju sprawie. Zwykle jest brutalnie szczery, mówiąc o innych. To on pierwszy powiedział, że lady Jersey „wygląda jak wścibska papuga z długim ogonem” i że Beau Brummel to strojniś, „chodzący wieszak na ubrania”.

Beryl roześmiała się.

— Zapewniam cię, Torillo, że on rozdziela znacznie więcej upokorzeń niż komplementów. Ale chcę, żeby cię lubił, bo kiedy się pobierzemy, możesz do nas przyjechać i zatrzymać się, a ja ci znajdę odpowiedniego męża.

Torilla pomyślała, że było bardzo mało prawdopodobne, aby po tym, co mu dziś powiedziała, markiz zaprosił ją do swojego własnego domu, ale na głos powiedziała:

— Jesteś dla mnie bardzo dobra, najdroższa Beryl, i dziękuję ci za suknię.

— Powiedziałam już mojej pokojówce, żeby zabrała całą masę rzeczy do twojego pokoju i teraz pakują je, aby były gotowe na naszą jutrzejszą podróż do Londynu.

— Tak bardzo ci dziękuję — powtórzyła Torilla.

— Także na ulicy Curzona jest cała góra rzeczy, których nigdy więcej już nie włożę — dodała Beryl — więc nie musisz zatrzymywać tych tandetnych sukien przywiezionych z północy. Powiedz pokojówkom, żeby je wrzuciły do ognia.

— Zabiorę je z powrotem — powiedziała zdecydowanie Torilla. Wiedziała, że gdy wróci do Barrow-

field, będzie się czuła ubrana przesadnie i zbyt ostentacyjnie w rzeczach, które mogła jej dać Beryl.

Gdy wieczorem zeszła na kolację i pojawiła się w salonie, w którym zebrało się już kilka osób, nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na markiza i sprawdzić, czy ją zauważył.

Wiedziała, że przywiązywanie jakiejkolwiek wagi do jego opinii było niewłaściwe. Ponieważ jednak powiedział, że jest piękna, gdy miała na sobie znoszoną niebieską sukienkę, uszytą przez Abby, nie można było nie zastanawiać się, co pomyśli o niej teraz!

Zdawała sobie sprawę, że śliczna biała sukienka z gazy, która musiała kosztować astronomiczną sumę, doskonale uwidaczniała jej figurę i sprawiała, że wyglądała smukło.

Jej jasne włosy zostały modnie ułożone przez jedną z pokojówek. Ponieważ nie miała biżuterii, dodała małą wiązaną wiosennych kwiatów.

Nie byłaby uczciwa wobec samej siebie, gdyby patrząc w lustro nie przyznała, że wyglądała całkiem inaczej, niż zaniedbana dziewczyna, która jadła kolację z markizem „Pod Jerzym i Smokiem”.

Nie wiedziała o jednym tylko — bez względu na to, jak modna była sukienka, którą miała na sobie, w jej twarzy i oczach było uduchowanie, sprawiające, że wydawała się inna i jakby oddalona od reszty ludzi w pokoju.

Ponieważ była tak szczupła i wdzięczna, wydawało się, że przepłynęła raczej, niż przeszła przez salon.

Potem, gdy jej oczy napotkały oczy markiza, Torilla poczuła, że jej serce zachowuje się w bardzo dziwny sposób.

Szybko odwróciła od niego wzrok.

Nie odezwał się do niej ani nie podszedł przez cały wieczór, ale był bardzo miły dla gości, pijących jego i Beryl zdrowie. Wszyscy oni przesadnie wychwalali cnoty zaręczonej pary, powtarzając je wciąż na nowo tym, którzy mieli ochotę słuchać.

— Nie ma bardziej odpowiedniej pary — powiedziała do Torilli lady Clarke.

— Tak... doprawdy, madam — zgodziła się Torilla.

— A potem twoja kolej — ciągnęła dalej lady Clarke, która знаła rodzinę Torilli, gdy mieszkali w Hertfordshire.

Położyła dłoń na ramieniu Torilli, mówiąc:

— Jestem pewna, że znajdziesz wielu pragnących cię poślubić młodych mężczyzn, których nie zniechęci fakt, że pochodzisz z plebanii i nie masz posagu.

Była starszą kobietą i chciała być miła, ale sprawiła, że Torilla poczuła, jak niewiele znaczy.

Mimo że wielu gości znała z dawnych czasów, Torilla była zadowolona, gdy wieczór dobiegł końca. Odjechali, wciąż wyrażając swoje zadowolenie z zaręczyn i obiecując, że wszelkiego rodzaju kosztowne prezenty zostaną dostarczone do dworu w niedalekiej przyszłości.

— To masa starych hipokrytów! — powiedziała Beryl, gdy wyszedł ostatni z gości. — Gdybym nie wychodziła za Gallena, wątpię, czy dostałabym coś lepszego niż srebrny stojak do grzanek!

— Wszyscy za tobą przepadają, najdroższa — powiedziała Torilla.

— Bzdura! — zareplikowała Beryl. — Odkąd dorosłam, nigdy nie przestali wyrażać swojego potępienia dla mnie. Dopiero teraz, gdy jestem na najlepszej drodze do zostania kimś szczególnie szanowanym, okazuje się, że zawsze uwielbiali moje okropne zachowanie!

Torilla pomyślała, że jedną z najmilszych cech Beryl było to, że potrafiła śmiać się z samej siebie.

— No, dzięki Bogu, że już po wszystkim — powiedział hrabia, wchodząc do salonu. — Kiedy pojedziesz do Londynu, Beryl, powiedz jasno swojej matce, że nie mam zamiaru znosić więcej żadnych uczt aż do samego dnia ślubu.

— Jestem pewna, że mama będzie zawiedziona, jeżeli odmówisz towarzyszenia nam na przyjęciach wydawanych na moją cześć — odparła Beryl.

— Pojawię się na czas, by uścisnąć rękę wszystkim głupcom, którzy nie mają nic lepszego do roboty, niż tłoczyć się przy Placu Hanowerskim w kościele św. Jerzego, aby zobaczyć, jak wychodzisz za mąż. Do tego czasu zostaję tu z moimi końmi i psami.

— Myślę, że to bardzo sensowne, tato — powiedziała Beryl. — Wiem przecież, jak nieszczęśliwy jesteś w towarzystwie.

Pocałowała ojca i dodała:

— Powiedz Gallenowi, gdy przyjdzie, że posłam do łóżka.

— Gdzie jest markiz? — zapytała z ciekawością Torilla.

— Spodziewam się, że spaceruje w ogrodzie, romantycznie, zupełnie sam — odparła Beryl — ale nie mam zamiaru przyłączyć się do niego, jestem zbyt zmęczona.

Objęła Torillę w pól.

— Będzie zabawne, gdy pojedziemy do Londynu. Gallen powiedział mi dziś wieczorem, że nie będzie z nami przez kilka dni, więc będziesz mogła poznać lorda Newalla. Pragnę się dowiedzieć, co o nim myślisz.

— Och, Beryl, czy to rozsądne? — zapytała Torilla.

— Może to nie jest rozsądne, ale ogromnie śmieszne — odparła Beryl. — I nie próbuj mnie powstrzymać, święta Torillo. Każda kobieta ma prawo do swojego ostatniego szaleństwa przed ślubem.

Ucałowała kuzynkę i pomknęła do swojej sypialni, zanim Torilla zdążyła się odezwać.

Torilla długo leżała bezsennie, myśląc o minionym dniu i przypominając sobie z uczuciem zażenowania to, co powiedziała markizowi. Zastanawiała się, czy spacerując samotnie po ogrodzie, myślał może o tym, co mu powiedziała?

Żałowała teraz, że zacząwszy mówić o kopalni, nie mówiła cicho i poważnie, wyjaśniając potworność tego, co się tam działo, zamiast atakować go i oskarżać.

Być może miałam szansę poprosić go, żeby wprowadził kilka reform, myślała, i zmarnowałam ją.

Czuła, jak do oczu napływają jej łzy i stopniowo zaczynają spływać po policzkach.

Wydawało się, że wszystko razem było niesłychaną gmatwaniną; to, jak związała się z markizem, i niepokój, jaki czuła z powodu wychodzącej za mąż bez miłości Beryl.

A przede wszystkim, choć usiłowała o tym nie myśleć, cudowność jego pocałunku, którą przechowywała w sercu jak skarb, ale która była teraz skalana i splamiona, ponieważ pocałunek był... zły.

Torilla stwierdziła, że Londyn był jeszcze bardziej fantastyczny, niż się spodziewała.

Ciotka Luiza powitała je w charakterystyczny sposób, mówiąc Beryl, że powinna była przyjechać wcześniej, i wyrażając nadzieję, iż Torilla ma zamiar pomóc raczej niż przeszkadzać swojej kuzynce.

Jest zupełnie tak, jak dawniej, myślała Torilla, gdy ciotka przerywała ich zabawy, bo był czas pójść do łóżka. Innym razem karała je za zupełnie niewinne zachowanie, ignorując coś znacznie bardziej karygodnego.

Hrabina Fernleigh pod każdym względem różniła się od swojej młodszej siostry Elżbiety.

Czasami Torilla zastanawiała się, czy to nie dlatego ciotka była tak często ostra i nieprzyjemna, że nie znalazła w małżeństwie takiego szczęścia, jak jej siostra.

Było oczywiste, że hrabia i hrabina nie zgadzali się

ze sobą i oboje byli zadowoleni, spędzając większość roku z dala od siebie.

Hrabina, która wciąż wyglądała świetnie, miała wielu wielbicieli, zawsze gotowych zabawić ją pod nieobecność męża. Jako że hrabia był zupełnie zadowolony, jak to ujmował, przebywając ze swoimi końmi i psami, oboje żyli tak, jak chcieli, czyli bez towarzystwa współmałżonka.

Być może wszystkie kobiety potrzebują męzowskiej opieki, myślała Torilla, więc oczywiste było, że hrabina czuła się niewłaściwie traktowana.

— Sądzę, że twój ojciec, jak zwykle, nie zamierza zająć się ślubem i zostawia wszystko mnie — powiedziała ostro wkrótce po przyjeździe Beryl i Torilli do Fernleigh House przy ulicy Curzona.

— Mamo, wiesz, jaki jest tato — odparła Beryl.

— Wiem, doprawdy — rzekła kwaśno hrabina. — Mam tylko nadzieję, że gotów jest przyjąć rachunki, nie robiąc z tego sprawy.

— Jestem pewna, że tak będzie — stwierdziła beztrąsko Beryl — zwłaszcza jeśli poprosimy go, żeby nie robił niczego poza napisaniem na nich swojego nazwiska.

— Jeżeli to zrobi, wydaje mi się, że ja muszę pogodzić się z tym, co nieuniknione — zauważyła hrabina. — Pierwsza rzecz, jaką musimy jutro zrobić, to wybrać twoją suknię i, jak sądzę, suknię Torilli.

— To bardzo miłe ze strony cioci — powiedziała pokornie Torilla.

— Nie mogę pojąć, dlaczego Beryl chce, żebyś była jej jedyną druhną — stwierdziła hrabina tonem osoby zdecydowanej wszędzie znaleźć jakieś uchybienie. — Sądziłabym, że orszak przynajmniej dziesięciu druhien byłby bardzo efektowny.

— Chcę w dniu mojego ślubu wystąpić w blasku sama — powiedziała zdecydowanie Beryl — z wyjątkiem oczywiście Torilli. Ona może potrzymać moje kwiaty, podczas gdy masa niezdarnych dziewcząt, stłoczonych za mną, zepsułaby cały efekt.

— Rozumiem, o co ci chodzi — powiedziała z namysłem hrabina. — Czy markiz przyśle z zamku kwiaty do kościoła?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparła Beryl. — Zostawiam te szczegóły tobie, mamó.

— Jak mogłam się była spodziewać, sama muszę wszystko zorganizować. Nie wyobrażam sobie, co byś zrobiła beze mnie.

Beryl rozłożyła ręce.

— Jeśli chcesz, żebym powiedziała, że byłby kompletny bałagan, w porządku, mamó, powiedziała-bym to.

— Poczekaj, aż sama będziesz musiała wszystko robić — ostrzegła hrabina. — Wtedy dopiero docenisz moje wysiłki.

— Uwielbiasz takie zajęcia, mamó — zareplikowała Beryl. — Wiesz bardzo dobrze, że gdybyśmy, Torilla albo ja, próbowały się wtrącać, wkrótce znalazłybyśmy się za drzwiami frontowymi.

Roześmiała się i dodała:

— Załatw wszystko po swojemu i nie zapomnij, że musisz sobie owinąć księcia regenta dookoła małego palca.

— Potrafię to zrobić, jeśli chodzi o uroczyste okazyje — powiedziała z zadowoleniem hrabina. — Jego Wysokość zawsze mówi, że podobają mu się moje wręcz profesjonalne zdolności organizacyjne, a to więcej, niż można powiedzieć o tej głupkowatej lady Hertford.

— On ją kocha, mamó.

— Bóg wie, dlaczego — mruknęła hrabina.

Wypadła z pokoju, a Beryl powiedziała ze śmiechem do Torilli:

— Biedna mama! Chciała kiedyś złapać księcia regenta na męża, ale była dla niego trochę za młoda i o wiele za szczupła. On lubi tłuste, macierzyńskie, starsze kobiety i mama się nie nadawała!

Gdy następnego wieczoru Torilla zobaczyła i poznała księcia regenta, nie mogła zrazu zrozumieć, jak może on kogokolwiek interesować jako mężczyzna. Ale gdy z nią rozmawiał, okazało się, że otacza go aura nieodpartego czaru: zapominało się, iż jest ogromnie gruby, niemal olbrzymi, że jego twarz jest bardzo upudrowana, a gdy siada, trzeszcza mu stawy.

— Jest pani bardzo ładna, moje dziecko — powiedział do Torilli — i tak, jak pani kuzynka, będzie pani wkrótce miała adoratorów, krążących jak pszczoły dookoła miodu.

— Obawiam się, że nigdy nie będę mogła konkurować z Beryl, sir — uśmiechnęła się Torilla.

— To ogromnie zniewalająca młoda kobieta, która udowodniła to, biorąc najbardziej zniewalającego kawalera w niewolę — powiedział książe.

Lubił bawić się słowami i Torilla słyszała, że powtórzył to zdanie kilkakrotnie podczas wieczoru.

Wszyscy pytali, gdzie się podział markiz. Był na ustach wszystkich i Torilla parokrotnie usłyszała w tłumie Carlton House uwagi, które ją zaniepokoiły.

— „Niezrównana” nie wie, co bierze na siebie, jeśli chodzi o Gallena! — oświadczył odwrócony do Torilli plecami jeden z elegantów.

— Potrzebny byłby regiment „Niezrównanych”, żeby Gallena utrzymać w ryzach — odparła słuchająca kobieta.

Rozległ się głośny śmiech, po czym ktoś powiedział:

— Wyobrażacie sobie Havinghama w okowach świętego stanu małżeńskiego? Chociaż przypuszczam, że w najmniejszej mierze nie będzie to stan święty!

— Na pewno nie, jeżeli Gallen będzie miał z tym coś wspólnego — zażartował ktoś inny.

Torilla odsunęła się poza zasięg głosu. Ranilo ją słuchanie czegoś takiego i powiedziała sobie, że chodzi jej tylko o Beryl.

Nie mogła się jednak oprzeć wspomnieniom, jak markiz uratował ją przed ohydnyimi zalotami sir Joscelyna albo jak dobry był opiekując się nią aż do ostatnich minut ich wspólnej kolacji. Nawet wtedy nie zrobił nic, by ją zranić czy wzburzyć.

Nie byłaby uczciwa, gdyby nie przyznała, że była chętna i współwinna popełnionego przez niego grzechu, jeżeli grzechem był ich pocałunek.

Miała nieodparte wrażenie, że gdyby się szamotała czy pokazała, iż pragnie się od niego uwolnić, puściłby ją. Zamiast tego jednak poddała się zupełnie i całkowicie jego wargom, osiągając taką ekstazę, że wiedziała, iż choćby ożenił się tysiąc razy, ona już nie będzie potrafiła zapomnieć tamtej chwili.

Gdy nadszedł czas, by opuścić Carlton House, hrabina stwierdziła:

— Nie ma śladu Beryl.

— Znajdę ją, ciociu Luizy — zaproponowała Torilla.

— Wiedziała, że miałyśmy wyjechać o drugiej — narzekła porzytowana hrabina. — To takie podobne do Beryl, zniknąć wtedy, gdy jest potrzebna. Zobacz w ogrodzie, Torillo. Na pewno jest tam z jakimś rozplomienionym wielbicielem i zapomniała o czasie.

Z pewną trudnością, ponieważ Carlton House był duży i skomplikowany dla kogoś, kto nie był tam wcześniej, Torilla odnalazła drogę prowadzącą przez otwarte drzwi na taras, wychodzący na ogród.

Stała, oparta o kamienną balustradę, szukając w cieniach pod drzewami, oświetlonymi chińskimi lampionami, turkusowoniebieskiej sukni Beryl. Nie możliwe jednak było odróżnienie jej od licznych kobiet, które przechadzały się, mając u boku jakiegoś wspaniale wystrojonego dżentelmena, bądź których sylwetki zaledwie rysowały się pod konarami drzew.

Muszę iść i jej poszukać, pomyślała Torilla.

Przeszła wzdłuż tarasu i znalazła kamienne stopnie, wiodące do ogrodu. Zeszła, rozglądając się na prawo i lewo, ale nigdzie nie było ani śladu jej kuzynki.

Miała właśnie zamiar wracać, sądząc, że Beryl jest już u boku matki, gdy znalazła to, czego szukała.

W najdalszym krańcu ogrodu, na drugim brzegu wijącego się sztucznego strumyka, ozdobionego bajkowymi światłami, widać było turkusową plamę. Torilla nie widziała wyraźnie, ale była to bez wątpienia Beryl, którą namiętnie tulił w ramionach wysokiego mężczyzna.

Torilla stała niezdecydowana, zastanawiając się, co robić. Nie sposób było im przeszkodzić, ale przecież czekała hrabina.

Stała, przyglądając się Beryl i teraz, gdy jej oczy oswoiły się z ciemnością, dostrzegła, iż całujący ją mężczyzna był tak wysoki, że jej kuzynka stała na palcach.

Nigdy przedtem Torilla nie widziała dwojga ludzi całujących się tak namiętnie w uścisku, który, jak mgliście zdawała sobie sprawę, przez całe wieki symbolizował miłość pomiędzy kobietą i mężczyzną.

Zawarte w tej scenie niezwykle piękno uczuć i sam fakt, że byli tak blisko, niepomni na nic z wyjątkiem ich samych, sprawiły, że poczuła się trochę dziwnie. Było to to samo uczucie, którego doznała, gdy całował ją markiz.

Nie mogła się nie zastanawiać, czy Beryl czuje się tak, jak ona; jakby uniesiono ją z ziemi w miejsce będące częścią boskości.

Mężczyzna, który przytulał Beryl, podniósł nagle głowę i Torilla usłyszała jego zachrypnięty głos:

— Kocham cię! Boże w niebiesiech, jak ja cię kocham! Nie mogę bez ciebie żyć!

— Obawiam się, że będziesz musiał — odparła Beryl — bo zamierzam wyjść za Gallena.

— Jak możesz być tak okrutna? Jak możesz mnie torturować w ten sposób? Przysięgam, że się zabiję!

— A na cóż to się zda? — zapytała Beryl. — Nie będę w stanie dołączyć do ciebie w piekle, jeśli tam idą samobójcy, przynajmniej przez następne czterdzieści albo pięćdziesiąt lat.

— Och, Beryl! Beryl! — zawołał mężczyzna.

— Dlaczego nie mielibyśmy się cieszyć światem, będąc na nim oboje? — zapytała miękko Beryl.

Ponownie wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

— Zobaczymy się jutro u księżnej Richmond. Teraz muszę iść, bo inaczej mama się wścieknie.

— Zostań. Nie opuszczaj mnie. Nie zniosę tego!

Wyciągnął ramiona, by ją zatrzymać, ale ona już od niego odchodziła.

— Do jutrzejszego wieczoru, Charlesie!

Pozostawiony przez nią mężczyzna jęknął, ale nie ruszył się z miejsca. Beryl skierowała się na prawo, aby przejść przez strumień po małym mostku, którego Torilla dotąd nie zauważyła. Dopiero wtedy postąpiła naprzód, mówiąc:

— Beryl, tutaj jesteś! Ciocia Luiza kazała mi cię poszukać. Czas wracać.

— Sądziłam, że mama będzie się awanturować — odparła Beryl.

— Dobrze się bawiłaś?

— Świetnie! — powiedziała Torilla. — Mam nadzieję, że ty też.

Kiedy zbliżyły się do świateł domu, Torilla popatrzyła na kuzynkę zastanawiając się, czy jej piękna twarz ukaże przeżyte emocje. Beryl wyglądała dokładnie tak, jak zwykle. Uroku dodawał jej uśmiech, błakający się na ustach.

— Właściwie — powiedziała Beryl — było zaledwie kilka chwil, dzięki którym nie uważam całego wieczoru za śmiertelnie nudny!

ROZDZIAŁ 5

Bal u lady Melchester był jeszcze bardziej fantastyczny i ekstrawagancki niż inne przyjęcia, w których uczestniczyła Torilla od czasu swojego przybycia do Londynu.

Hrabina zaprotestowała jednak przeciwko temu, aby Beryl i Torilla tam się wybrały.

— Nie mogę znieść tej całej Melchester — powiedziała z odrazą. — Jest kobietą swobodnych obyczajów, a jej afery miłosne są skandaliczne. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego zamierzasz przyjąć jej natrętne zaproszenia.

— Wydaje dobre przyjęcia, mamó, i będą tam wszyscy moi przyjaciele — odparła Beryl.

— Nie przemawia za nią nic z wyjątkiem pieniędzy — parsknęła hrabina — ale wiem oczywiście, że dla większości twoich przyjaciół niewiele więcej się liczy.

Beryl roześmiała się pogodnie.

— To dlatego, że większości z nich tego właśnie brak — odparła.

Westchnęła lekko, zadowolona z siebie.

— Dodaje mi otuchy myśl, że nikt nie może tego powiedzieć o Gallenie.

— Doprawdy, nie — zgodziła się hrabina łagodniejszym głosem — i jestem pewna; Beryl, że jeśli dobrze wszystko rozegrasz, okaże się on hojnym mężem.

— Zapewnię to sobie.

Torilla odłożyła czytaną książkę i podniósłszy się z sofy w bawialni, podeszła do okna. Czuła się nie tylko zakłopotana, ale i dotknięta, gdy słyszała Beryl i jej matkę, mówiące w ten sposób o markizie.

Sama często źle o nim myślała, ale w przypadku Beryl było to co innego, bowiem nie miała ona żadnych podstaw, by go krytykować; podobnie hrabina, która wyraźnie była uszczęśliwiona perspektywą tak korzystnego małżeństwa.

Uderzyło ją nagle, że powodem, dla którego markiz wyglądał na cynicznego, było to, że kobiety, które znał, rozumowały w tak przykry i wyrachowany sposób, a on doskonale o tym wiedział.

Gdy chodziło o nią, był bardziej spostrzegawczy i wrażliwy, niż sobie wyobrażała, że jakikolwiek człowiek może być. Skoro wiedział, co ona myśli, z pewnością doskonale musi znać także myśli Beryl?

Widując ich ze sobą modliła się coraz goręcej, aby jej kuzynka, skoro ma wyjść za markiza, tak jak zamierza, pokochała go.

Jak Beryl może godzić się, zadawała sobie pytanie Torilla, na takie samo małżeństwo, jakie łączy jej rodziców?

Hrabina nigdy nie traciła sposobności, by skrytykować hrabiego, i nie było dnia, żeby nie powiedziała

czegoś ciętego i nieprzyjemnego, co aż za dobrze ujawniało jej uczucia w stosunku do niego.

Torilla zastanawiała się, czy Beryl stanie się kobietą takiego samego rodzaju, i przeczuwała, że tak.

Małżeństwo, bez względu na to, jak bogaty mógł być narzeczony i jak luksusowe otoczenie, nie mogło być niczym innym niż farsą, jeżeli tych dwoje ludzi nie kochało się.

Pamiętała czułość w głosie matki, gdy rozmawiała z ojcem. Przypominała sobie też pełne uwielbienia spojrzenia oczu pastora na widok matki wstającej, by ucałować go za każdym razem, gdy wracał do domu.

Torilla nie potrafiła sobie wyobrazić Beryl, martwiącej się o markiza, na wszystkie sposoby usiłującej uczynić go szczęśliwym i poświęcającej dla niego własne pragnienia i zainteresowania.

Ponieważ Torilla kochała Beryl bardzo głęboko i szczerze, czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa podczas pierwszego tygodnia ich pobytu w Londynie.

Doskonale wiedziała, że Beryl spotyka się z lordem Newallem na każdym przyjęciu; zawsze znikali w ogrodzie lub jakiejś części domu, gdzie mogli być sami.

Beryl przedstawiła go Torilli. Lord Newall okazał się przystojnym mężczyzną o ciemnych, namiętnych oczach, które rzadko spuszczał z twarzy Beryl. Była w nim siła, która, jak uważała, mogła pociągać Beryl. Ponieważ jednak znała swoją kuzynkę, dobrze wiedziała, że chociaż lord Newall bawił Beryl, ona nie była w nim naprawdę zakochana.

— Chciałabyś wyjść za Jego Lordowską Mość? — zapytała ją pewnego wieczora, gdy wróciły do domu po tym, jak Beryl zniknęła w ogrodzie Bedford House na dłużej niż zwykle.

— Jestem pewna, że Charles byłby bardzo żarliwym kochankiem — odparła Beryl — ale nie ma pieniędzy, a jest stare przysłowie, które mówi, że „gdy bieda staje u drzwi, miłość wyfruwa przez okno”.

— Czy pieniądze tak bardzo się liczą, gdy ktoś jest zakochany? — zapytała cicho Torilla.

— Oczywiście, że tak.

Potem, po chwili przerwy, powiedziała innym tonem:

— Gdyby ktoś był naprawdę, całkowicie, bez reszty zakochany, myślę, że zapomniałby o wszystkim innym.

— Zwykliśmy mówić, że tego pragniemy — powiedziała łagodnie Torilla.

— Gdy byłyśmy młode i nic nie wiedziałyśmy o mężczyznach, byłyśmy absurdalnie romantyczne — zareplikowała Beryl.

Z tymi słowami usiadła przy swojej toalecie i, jakby celowo zmieniając temat, powiedziała:

— Myślę, że poproszę Gallena, żeby dał mi szafiry jako ślubny prezent. Szafiry bardzo nadają się dla jasnowłosych kobiet.

— Mówiłyśmy o lordzie Newallu — rzekła Torilla.

— Wiem — odparła Beryl — ale wyczerpałyśmy doprawdy wszystko, co można na jego temat powiedzieć. Jego pocałunki są zachwycające, ale przemawia za nim niewiele więcej.

Torilla krzyknęła lekko.

— Nie mów tak, Beryl — błagała. — To złe i okropne, i tak bardzo do ciebie niepodobne.

— Czasami czuję się źle i okropnie — odparła Beryl — i mam uczucie, że los potraktował mnie podle.

Torilla była zaskoczona.

— Jak... o czym ty mówisz?

— Mówię głupstwa — powiedziała szybko Beryl. — Jestem zmęczona. Idź do łóżka, Torillo. Jutro wieczorem jest kolejne przyjęcie i pojutrze też, a ja chcę, żebyś wyglądała jak najlepiej.

Torilla wiedziała, że ich rozmowa była skończona, ale wróciwszy do swojego pokoju długo leżała myśląc o Beryl i modląc się za nią.

Na balu u lady Melchester Beryl wyglądała, jakby życie nie przyniosło jej niczego innego niż radość i piękno, co sprawiło, że przyćmiewała inne kobiety. W sukni haftowanej sztucznymi diamentami i z prawdziwymi diamentami na szyi i we włosach Beryl lśniła jak wróżka, która przycupnęła na czubku bożonarodzeniowej choinki. Była dosłownie obleżona przez pragnących zatańczyć z nią mężczyzn. Dlatego też lord Newall, wyglądający posępnie i bajronicznie, rzucał groźne spojrzenia.

Było zupełnie oczywiste, że Beryl dobrze się bawi. Co więcej, okazało się, że również Torilla odnosi sukces. W kolejnej pięknej sukni, którą dostała od Beryl, nie czuła się jak osoba nic nie znacząca pośród eleganckich dam, lśniących klejnotami i przyglądających się jedna drugiej z kobiecą zawiścią.

Od czasu do czasu Torilla łapała się na myśli, że zaledwie kilka z tych diamentów, jakie otaczały ich długie szyje albo zwieszały się z uszu jak małe kandelabry, zapewniłoby tuzinowi górniczych rodzin dobrobyt przynajmniej na rok.

Potem przypominała sobie przestrogi Abby i zmuszała się, aby zapomnieć o Barrowfield i słuchać czarujących słów, jakie mówili jej wszyscy mężczyźni, z którymi tańczyła.

W sali balowej było bardzo gorąco i Torilla dała się namówić, aby poszukać chłodu w dużym ogrodzie, otaczającym dom. Książę uczynił z ogrodów Carlton House romantyczną altanę, lecz lady Melchester usiłowała go prześcignąć.

Znajdowały się tam nie tylko sztuczne strumienie, podświetlane tak, by woda przybierała różne barwy, ale również fontanna, tryskająca nie wodą, lecz perfumami, tak oświetlona, by wyglądała, jakby rozsiewała mgiełkę płynnego złota. Z niektórych drzew zwisały sztuczne owoce, które po zerwaniu okazywały się paczuszkami cukierków bądź zabawnymi świecidełkami.

— Wszystko to jest bardzo pomysłowe — powiedziała do swojego partnera Torilla.

— I bardzo kosztowne — roześmiał się. — Miejmy nadzieję, że Jego Wysokość, pokonany, nie będzie usiłował prześcignąć czegoś tak oryginalnego. Mógłby zdecydować, że rozda wszystkim swoim gościom kosztowne obrazy albo klasyczne rzeźby.

— To byłby uroczy pomysł — roześmiała się Torilla.

— Dopóki nie przysłyby rachunki... których oczywiście nigdy by nie zapłacono.

Znów oboje się roześmiali, a gdy doszli do ławeczki, która nie była zajęta, dżentelmen, z którym tańczyła, zapytał:

— Czy przynieść pani kieliszek szampana? Muszę przyznać, że czuję ogromne pragnienie.

— Z chęcią wypiłabym szklankę lemoniady — odparła Torilla. — Poczekam tu na pana powrót.

— To obietnica — powiedział jej partner. — Proszę nie dać się nikomu ukraść, albo będę zmuszony zagrozić mu pistoletami o świcie!

Torilla roześmiała się, gdy on pospiesznie odchodził.

Był to zabawny człowiek, z którym tańczyła na różnych przyjęciach i który, chociaż prawił jej mnóstwo komplementów, nie wyznał jej faktycznie miłości, co było dla niej ulgą.

Zaskoczyło ją, że całkiem sporo mężczyzn oświadczyło, że są w niej zakochani, a jeden czy dwóch mówiło to, jak sądziła, zupełnie szczerze. Z jakiegoś powodu jednak w momencie, gdy ich komplementy zaczynały być czymś więcej niż tylko gładką i konwencjonalną wymianą zdań, Torilla czuła, że to ją razi i potem za wszelką cenę usiłowała ich unikać.

Przypuszczała, że to nieśmiałość. Jednocześnie była jednak świadoma, że to, przed czym się wzdraga, to miłość, choć wiedziała, że Beryl wyśmiałaby jej naiwność.

Kilku mężczyzn, którzy się oświadczyli, było jak sądziła, ogromnie pożądanymi kandydatami na męża

i powinna być w zasadzie wdzięczna, że brali ją pod uwagę jako żonę. Ale ona wiedziała niemal natychmiast, gdy w ich oczach pojawiało się pewnego rodzaju spojrzenie, że nigdy i pod żadnym względem nie mogłaby brać ich pod uwagę jako kandydatów na męża.

Trudno powiedzieć, skąd brała się ta pewność, ale tkwiło w niej takie przekonanie i nic na to nie mogła poradzić.

— Wydaje mi się, że lord Arkley był dziś wieczorem dla ciebie uprzedzająco grzeczny — powiedziała poprzedniego wieczoru hrabina, gdy jechały do domu.

Torilla wyglądała na zmieszaną, ale hrabina ciągnęła dalej:

— Może jest dla ciebie troszkę za stary, ale to byłoby dobre małżeństwo. Był żonaty w młodości, ale jego żona zmarła dwa lata po ślubie i nie mieli dzieci.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym dodała:

— Tak, myślę, że Arkley byłby dla ciebie dobry. Zaproszę go na kolację przed balem u Dorchesterów i spróbuję się dowiedzieć, czy ma poważne zamiary.

— Nie... proszę, ciociu Luizo, proszę... proszę nie robić niczego w tym rodzaju — błagała Torilla. — Nawet gdyby... lord Arkley poprosił... żebym za niego wyszła... nie przyjąłabym go.

— Nie przyjąłabyś go? — powtórzyła hrabina podniesionym głosem. — Co, na Boga, chcesz przez to powiedzieć, Torillo?

— Jest bardzo... miły — powiedziała z wahaniem Torilla. — Ale... wiem, że nigdy nie mogłabym... go pokochać.

— Pokochać! — powiedziała ostro hrabina. — Im wcześniej wybijesz sobie z głowy takie śmieszne, romantyczne pomysły, tym lepiej!

— Torilla jest idealistką, mamó — wtrąciła się Beryl. — Zawsze się zaklinała, że nigdy nie poślubi mężczyzny, jeśli nie będzie go kochała. Myślę, że marnujesz czas, próbując ją przekonać, aby wzięła pod uwagę lorda Arkleya.

— Torilla powinna zdać sobie sprawę — powiedziała surowo hrabina — że obowiązkiem każdej młodej dziewczyny jest dobrze wyjść za mąż, zanim ukończy dziewiętnaście lat, a Torilla tyle już prawie ma.

— Nie chciałabym... — zaczęła Torilla.

— W twojej sytuacji — przerwała ciotka — bez pieniędzy i gdy nie przemawia za tobą nic więcej niż twój wygląd, musisz być wdzięczna znajdując męża, który się tobą zaopiekuje i zapewni ci wygodę.

Beryl roześmiała się.

— Wydaje mi się, mamó, że i ja słyszałam podobny wykład, gdy po raz pierwszy zaczęłam bywać w towarzystwie.

— Na szczęście byłaś wystarczająco inteligentna, by zdać sobie sprawę, że przemawiał przeze mnie zdrowy rozsądek. Czasami w ciągu tego ostatniego roku myślałam, że odrzucasz swoją szansę, ale przyznaję, że byłam w błędzie. Czekalaś, potem pojawił się Gallen, a która matka mogłaby chcieć lepszego małżeństwa dla swojej córki?

W głosie hrabiny brzmiała nuta niemal ekstazy. Potem powiedziała innym już tonem:

— Jeśli chodzi o ciebie, Torillo, jest zupełnie inaczej. Nie możesz sobie pozwolić na czekanie i im wcześniej omotasz lorda Arkleya, tym lepiej!

— Ciociu Luizoz... — zaczęła Torilla, ale Beryl kopnęła ją solidnie pod pleciem i słowa zamarły jej na ustach.

— Nie ma sensu kłócić się z mamą — powiedziała Beryl, gdy dojechały na ulicę Curzona i razem udały się na spoczynek. — Cokolwiek powiesz sprzeciwiając się, pomyśli tylko, że jesteś półgłówkiem.

— Nie chcę, żeby rozmawiała z lordem Arkleyem. A jestem pewna, że zamierza to uczynić — odpowiedziała przestraszonym głosem Torilla.

— Posłuchaj, kochanie — powiedziała Beryl. — To nie musi być lord Arkley, jeśli on ci się nie podoba. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że to dla ciebie duża okazja, żeby znaleźć męża.

Dodała niemal surowo:

— Czy naprawdę chcesz wrócić na północ i nie spotykać się z nikim ani nie widywać nikogo znaczącego? Nie może być szczególnie zabawnie w Barrowfield czy jak to tam się nazywa.

Zobaczyła wyraz twarzy Torilli i objęła ją.

— Kocham cię, Torillo. Chcę, żebyś wyszła za męża i żebyśmy mogły razem się zabawiać. Naprawdę brakowało mi ciebie przez dwa ostatnie lata.

— A mnie brakowało ciebie — powiedziała Torilla.

— To wyjdź szybko za kogoś — nakazała Beryl — żebyśmy bywały w tym samym towarzystwie. Arkley

to nieźła zdobycz, a inni mężczyźni lubią go, co jest ważne.

Uśmiechała się i oczy jej błyszczały, gdy dodała:

— I znacznie bezpieczniejsze, niż gdyby lubiły go kobiety, co jest moim problemem!

Torilla nie mogła się powstrzymać i roześmiała się. Beryl pocałowała ją w policzek.

— Pomyśl o tym, Torillo, i bądź rozsądna. Wiem, że gdyby ciocia Elżbieta żyła, to chciałaby, żebyś miała swój własny dom.

Słowa Beryl odbijały się echem w głowie Torilli, gdy poszła do łóżka i zaczęła rozmawiać w myślach ze swoją matką, jak to często robiła.

— Wiem, iż chciałabyś, żebym wyszła za mąż, mamó — ~~powiedziała w ciemności~~ — ale nie za kogoś, kogo bym nie kochała... ale może nigdy nikogo nie pokocham tak, jak ty kochałaś tatę?

Naszła ją niemal zdradziecka myśl, że tym, czego szuka, jest w rzeczywistości to uczucie, jakie ją ogarnęło podczas pocałunku markiza. To dlatego, że wiedziała, iż nigdy nie poczułaby tego uniesienia z lordem Arkleyem, nie mogła za niego wyjść.

Uciekała od innych mężczyzn, którzy zaczęli natarczywie zapewniać ją o swoich uczuciach, bo wiedziała, że nie mogliby jej wprowadzić w tę boską ekstazę, której doznała z markizem. Jakby bojąc się tego, gdzie prowadzą ją jej myśli, wtuliła twarz w poduszkę i spróbowała zasnąć.

Siedząc w ogrodzie domu lady Melchester i słuchając dobiegających z dala łagodnych dźwięków muzyki

oraz dzwoneczków wody spadającej małym, sztucznym wodospadem, Torilla pomyślała, że jest to nastrój sprzyjający romansowi.

Była zupełnie pewna, że gdzieś w ogrodzie wyznano miłość Beryl; jeżeli nie zrobił tego lord Newall, to któryś z jej licznych wielbicieli.

Pomyślała, że, być może, coś z nią nie jest w porządku, gdyż była zadowolona, patrząc jedynie na piękno roztaczające się wokół niej i poczułaby tylko przestraszona, gdyby jej towarzysz wyraził swoją miłość.

Jej rozmyślanie przerwał mężczyzna, który przeszedł przez strumień i zbliżał się teraz do niej.

— Bardzo się pan pospieszył... — zaczęła myśleć, że jej towarzysz wrócił z napojami.

Potem drgnęła z przerażenia, gdy zdała sobie sprawę, że idącym ku niej mężczyzną jest sir Joscelyn Threnton.

— Wydawało mi się, że nie pomyliłem się, poznając panią w sali balowej, panno Clifford — powiedział z uśmiechem na ustach.

Usiadł obok Torilli obracając się bokiem tak, by móc ją widzieć. Odwróciła się od niego, czując wielkie zmieszanie i jednocześnie oburzenie na wspomnienie jego zachowania.

— Z pewnością jest pani o wiele wytworniej ubrana, niż gdy ją ostatnio widziałem — powiedział i widząc, że na policzki napływają jej rumieńce, roześmiał się cicho.

— Proszę... zostawić mnie samą — powiedziała Torilla, dobywając głos z pewną trudnością.

— Nie mam najmniejszego zamiaru tego robić — odparł sir Joscelyn. — Ogromnie niefortunnie przerwano nam podczas naszego ostatniego spotkania, ale mam stanowczy zamiar odnowienia naszej znajomości.

— Na to, sir, nie pozwolę. Czy zechce mnie pan opuścić?

Torilla mówiła zdecydowanie i teraz już się tak bardzo nie bała. Wstrząs spowodowany widokiem sir Joscelyna sprawił, że była przez moment zbyt zmieszana, by jasno myśleć, ale teraz powiedziała sobie, że nie mógł jej w żaden sposób skrzywdzić. W zasięgu głosu znajdowało się wielu ludzi i w każdej chwili miał wrócić jej towarzysz.

— Mam znaczną awersję do przegrywania na ostatnich metrach — powiedział sir Joscelyn — chociaż, gdy przyszedłem do pani pokoju w gospodzie „Pod Pelikanem”, nie miałem pojęcia, że była pani pod opieką markiza Havingham.

Torilla odwróciła się i spojrzała nań ze zdumieniem.

— O czym... pan... mówi?

Sir Joscelyn uśmiechnął się i było w tym uśmiechu coś bardzo nieprzyjemnego.

— Czy lady Beryl wie, że jej kuzynka towarzyszyła bez żadnej opieki markizowi w jego podróży na południe?

— Jak pan śmie sugerować coś takiego! — powiedziała oburzona Torilla. — Markiz usłyszał, w jak haniebnym sposobie pan się wobec mnie zachowywał, i przybył mi na ratunek jako zupełny nieznajomy.

Nigdy przedtem go nie spotkałam i nie miałam pojęcia, kim był.

— To pani wersja — powiedział sir Joscelyn. — Mam tylko nadzieję, że lady Beryl w nią wierzy.

— Lady Beryl nie...

Torilla przerwała gwałtownie.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że dokładnie tego, co miała powiedzieć, chciał się dowiedzieć sir Joscelyn.

— Więc nie powiedziała pani swojej kuzynce — rzekł po chwili milczenia. — Tak podejrzewałem. Cóż, sądzę, że ta informacja ją zainteresuje. Muszę ją poprosić o następny taniec.

Torilla krzyknęła z cicha.

— Nie... proszę — powiedziała. — Proszę nie... mówić... o tym... Beryl.

Już mówiąc te słowa poznała po wyrazie twarzy sir Joscelyna, jak bardzo rozkoszuje się, mając ją w swojej mocy. Widziała jego poniżenie, gdy markiz wyrzucił go z jej pokoju i wiedziała, że to była jego zemsta: zranić Beryl, ponieważ ona nie potrafiła znieść myśli o zranieniu kuzynki.

Pomyślała w popłochu, że gdyby tylko powiedziała Beryl prawdę zaraz po przyjeździe do Fernleigh Hall, wszystko byłoby dobrze. Ponieważ jednak zachowanie sir Joscelyna było nierozzerwalnie związane z pocałunkiem markiza, nie potrafiła zdobyć się na mówienie o tym. Teraz miała uczucie, jakby ziemia rozstąpiła się przed nią, a u jej stóp ziała bezdenna przepaść.

— Jestem gotów potargować się z panią — powiedział sir Joscelyn.

— Potargować? — zapytała ostro Torilla.

— Prosi pani, żebym nie mówił o sprawie, jak mi się wydaje, wielce interesującej dla stron, których dotyczy, ale moje milczenie ma swoją cenę.

— Wydaje mi się, że to się nazywa „szantaż”.

— Zgadza się — potwierdził sir Joscelyn. — Zamierzam szantażować panią, śliczna panno Clifford, ponieważ, jak powiedziałem, nie lubię przegrywać wyścigu na ostatnich metrach.

— Pana zachowanie było... nikiżemne, jak pan... dobrze wie — powiedziała cicho Torilla.

— To całkowicie pani wina, że jest pani tak ponęt-
na — powiedział lekceważąco sir Joscelyn. —
Więc czy chce pani poznać moje warunki?

Torilla nie odpowiedziała, a on po chwili rzekł:

— Są zupełnie proste. Albo jutro wieczorem zje
pani ze mną sam na sam kolację, albo zapłaci mi sumę
pięciu tysięcy funtów. Wybór należy do pani!

Torilla odwróciła się, by spojrzeć na niego.

— Z... zjeść z panem... sam na sam? — zawahała się.

— Jest takie małe miejsce w bok od ulicy Jermyn,
gdzie mają pokoje do wynajęcia. Nikt tam pani nie
zobaczy i będziemy mogli odnowić naszą znajomość
w tym samym momencie, w którym została niefortun-
nie przerwana.

Wyraz jego oczu dokładnie mówił, co zamierzał,
i Torilla wydała cichy okrzyk całkowitego przeraże-
nia, ponownie odwracając od niego twarz.

— Z drugiej strony moją urażoną dumę ułagodzi
nieco suma pięciu tysięcy funtów.

— Jakżeż mogę... znaleźć... taką sumę?

— Nie wydawałaby się bardzo duża dżentelmenowi, który przybył pani na ratunek.

— M... markizowi?

— Właśnie markizowi! Jest on zawsze gotów opłacać swoje rozrywki. Myślę, iż przyzna, że jestem doprawdy całkiem rozsądny w tym względzie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jego zaręczyny z niezrównaną lady Beryl zostały ogłoszone następnego dnia.

W sposobie jego mówienia było coś bardzo groźnego. Jednocześnie jakby delektował się faktem, że miał tak doskonale karty.

Torilla siedziała zdumiona. Nie była w stanie nawet pomyśleć o tym, co powiedzieć czy zrobić. Wszystko jakby wirowało jej w głowie w beznadziejnym pomieszaniu.

— Należę do Klubu Boodlesów — powiedział sir Joscelyn. — Jeśli nie otrzymam tam mojego czeku na pięć tysięcy funtów do jutrzejszego południa, będę pani oczekiwał, panno Clifford, w Hotelu Książęcym o godzinie siódmej.

Z tymi słowami wyciągnął rękę, by ująć spoczywającą na kolanach dłoń Torilli.

— Mogę szczerze powiedzieć — rzekł cicho — że mam nadzieję, iż zabraknie pani odwagi, by poprosić markiza o pieniądze.

Torilla wyrwała mu dłoń, zanim zdążył ją pocałować. Potem, nie czekając aż ją opuści, pobiegła przez ogród w kierunku domu. Miała uczucie, że sir Joscelyn ściga ją, osacza i że nie może od niego uciec.

Sala balowa znajdowała się na pierwszym piętrze, a z ogrodu prowadziły schody, wiodące na balkon, biegnący wzdłuż całego domu. Torilla pospiesznie wspięła się po nich. Pragnęła bezpieczeństwa i ochrony tłumy; chciała uciec od sir Joscelyna i jego przerażającej propozycji.

Gdy dosięgnęła ostatniego stopnia prowadzącego na balkon, zobaczyła mężczyznę stojącego samotnie i patrzącego na ogród. Serce skoczyło jej w piersi. To było jak nagle znalezienie bezpiecznego portu w samym środku wzburzonego morza.

Zapomniawszy o wszystkich uczuciach, jakie do niego żywiła, z wyjątkiem tego, że uratował ją przed sir Joscelynem, Torilla podbiegła do markiza. Stała przed nim i wyciągnęła doń drżące ręce.

— Jest pan... tutaj! Wrócił... pan! — zawołała chaotycznie. — Potrzebuję pana... Potrzebuję pańskiej... pomocy!

Jej głos drżał z rozpacz. Zobaczyła, że gdy markiz odwrócił się, by na nią spojrzeć, uniósł brwi.

— Co się stało? — zapytał.

Pomyślała, że jego spokojny, przeciągły głos był jak lina ratunkowa dla tonącego.

— Muszę... z panem porozmawiać... Muszę... pomówić z panem... sam na sam.

— Ależ oczywiście — odparł. — Wyjdziemy do ogrodu?

— Nie... nie! — powiedziała szybko Torilla myśląc, że mogą się natknąć na sir Joscelyna.

— No to znajdziemy inne miejsce.

Podał jej ramię, a ona położyła na nim rękę czując, że musi go trzymać, aby jej nie uciekł.

Ponownie doświadczała tych wszystkich emocji, które odczuwała, gdy sir Joscelyn po raz pierwszy ją napastował w sypialni gospody „Pod Pelikanem”. Serce waliło jej w piersi, usta miała suche a gardło tak ściśnięte, że z trudem mogła mówić.

Markiz ominął drzwi do zatłoczonej tancerzami sali balowej i poprowadził Torillę na drugi koniec domu. Była tam mała bawialnia z rozstawionymi sofami i przysłoniętymi lampami. Zajmowało ją jednak kilka par. Markiz minął ją i otworzył drzwi, na których widniał napis: „Wstęp wzbroniony”.

Wydawało się, że zna drogę. Znaleźli się w części domu, która nie była tak wspaniale oświetlona i wydawała się opuszczona. Markiz prowadził. Weszli do pokoju ozdobionego, jak zobaczyła Torilla, według bardzo kobiecego smaku i wypełnionego aromatem kwiatów.

Później uświadomiła sobie, że był to prywatny buduar gospodyni, ale wtedy nie mogła myśleć o niczym oprócz tego, że była sama z markizem i mogła mu opowiedzieć, co się stało.

Wskazał na sofę i Torilla zapadła w nią. Jej oczy w bladej twarzy były bardzo ciemne i wystraszone. Patrząc na nią, markiz zdał sobie sprawę, że już raz widział u niej ten wyraz twarzy.

— Proszę mi o tym opowiedzieć — zaproponował.

Torilla złożyła ręce, ale otwierając usta zdała sobie sprawę, jak żenującym będzie wyjaśnienie markizowi, co na ich temat insynuował sir Joscelyn.

Zaraz jednak powiedziała sobie, że przede wszystkim musi mieć na względzie zapobieżenie temu, aby takie kłamstwa opowiedziano Beryl. Ponieważ nigdy nie wspomniała o tym, co się zdarzyło podczas podróży, Beryl mogła pomyśleć, że było w nich coś z prawdy.

Podniosła oczy na twarz markiza i powiedziała bardzo cicho:

— To... sir Joscelyn!

Markiz zmarszczył brwi.

— Co ta świnia zrobiła teraz? — zapytał ostro.

— Właśnie... ze mną rozmawiał... w... ogrodzie.

Mówił... okropne rzeczy... i nie wiem... co robić.

— Co powiedział?

Torilla poczuła, że z zakłopotania niemal nie może mówić. Markiz czekał i chociaż odwróciła twarz, a jej głosu prawie nie było słychać, te słowa musiały paść.

— Groził, że... powie Beryl... iż byliśmy... razem „Pod Pelikanem”!

Markiz zaklął po cichu.

— Mogłem się domyślić, że on tak to odczyta — powiedział ostro.

— P... powiedział, że jest... gotów... się potargować.

— Jak?

Znowu trudno było odpowiedzieć na to pytanie.

— Powiedział — Torilla zawahała się na moment — że mogę albo... zjeść z nim... sam na sam... jutro wieczorem... w... wynajętym pokoju, albo... muszę mu zapłacić... pięć tysięcy funtów... do południa.

— Więc o to mu chodzi! — powiedział cicho markiz.

Pochylił się do przodu i położył rękę na nerwowo splatających się palcach Torilli.

— Wszystko w porządku, Torillo — powiedział. — Zajmę się tym. Znam tego rodzaju łobuzów i obiecuję pani, że nigdy więcej nie będzie pani już niepokojona.

— Nie martwię się o... siebie — powiedziała Torilla — a... ale... o Beryl.

Palce markiza na jej dłoni przyprawiły ją o to samo uczucie, którego doznała wcześniej, gdy dotykał ją w parku. Poczowała przeszywający ją promień światła. Ogarnął ją nieopanowany impuls, by przytulić się do jego ręki, przylgnąć blisko do niego i błagać, by zaopiekował się nią.

Chodzi nie tylko o sir Joscelyna, pomyślała szaleńczo, ale i o lorda Arklaya, ciotkę oraz o to, co czuje wobec otaczających mnie mężczyzn.

Potem powiedziała sobie surowo, że markiz należy do Beryl, a sytuacja jest wystarczająco skomplikowana bez jej powierzania się opiece markiza, jak to pragnęła uczynić. Markiz wyczuł jej niepokój i powiedział cicho:

— Wszystko w porządku. Obiecuję, że nic się pani nie stanie.

— Gdybym tylko... zaraz po przyjeździe... powiedziała Beryl, że się spotkaliśmy.

— Dlaczego pani tego nie zrobiła? — zapytał głębokim głosem markiz.

Odpowiedź okazała się niemożliwa. Jak mogła mu powiedzieć, że chociaż wiedziała, iż powinna się wstydić swego zachowania wobec nieznajomego, była to

najcudowniejsza rzecz, jaka przydarzyła się jej w całym życiu?

Jak gdyby wiedział o szarpiącej jej duszę rozterce i wszystko rozumiał, markiz wstał ze słowami:

— Proszę wrócić na salę balową i bawić się, Torillo. Sam się wszystkim zajmę.

— A jeśli... sir Joscelyn...?

— Nie zrobi niczego, by zranić panią albo Beryl — odparł markiz. — Prosiłem, żeby zaufała mi pani nawet mimo to, że wydaje się to pani niemożliwe.

— Ufam... panu.

— Mimo tego, co pani o mnie myśli?

Podniosła oczy na jego twarz i nie mogła ich już odwrócić. Czowała, że chociaż jej nie dotykał, jest uwięziona w jego ramionach, trzymana czarem sprawiającym wrażenie, jakby wyciągali ku sobie ręce poprzez wieczność.

Nagle markiz gwałtownie, jakby zmuszając się do tego, odwrócił od niej spojrzenie i powiedział innym tonem:

— Pani ojciec pozdrawia panią i ma nadzieję, że dobrze się pani bawi.

— Mój... ojciec?

Torilla myślała, że się przesłyszała.

— Byłem w Barrowfield — wyjaśnił markiz. — Spędziłem z pani ojcem trochę czasu i sądzę, że będzie pani zadowolona słysząc, że wszystko, co pani zaproponowała, natychmiast zostanie wdrożone.

— Ma pan... na myśli? — zapytała Torilla, tracąc oddech.

— ...pompe powietrzną Buddle'a, lampy górnicze, nowe pompy wodne, lepsze środki bezpieczeństwa. Jest tego cała lista!

— Nie... rozumiem — powiedziała Torilla, ale oczy jej się rozświeciły.

— Miała pani rację, całkowitą i zupełną rację, mówiąc mi to wszystko. Kopalnia jest rzeczywiście piekłem, któremu nigdy nie powinno się pozwolić istnieć.

Oniemiała Torilla mogła mu się tylko przyglądać, gdy ciągnął dalej:

— Wyrzuciłem nadzorcę, a pani ojciec pomógł mi zatrudnić nowego człowieka. Zabroniłem zatrudniania w kopalni dzieci poniżej szesnastu lat, a tam, gdzie będzie to możliwe, w ogóle wykluczy się kobiety.

Torilla złożyła ręce.

— Wydaje mi się, że... śnię.

— Pani ojciec powiedział mi dokładnie to samo — uśmiechnął się markiz. — Będą upominki pieniężne i kawałki wołowiny dla starszych i na święta, a także, jak w kopalniach Fitzwilliam, płace motywacyjne: cztery szylingi „ekstra” dla mężczyzn pracujących przez pełne sześć dni w tygodniu, oprócz wzrostu ich zwykłej płacy.

Torilla krzyknęła:

— Jak mógł pan uczynić... coś tak cudownego... tak wspaniałego!

— To tylko to, co pani kazała mi zrobić.

— Ale nigdy nie myślałam... nigdy nie marzyłam... Nagle podniosła dłonie do twarzy.

— Dopiero potem zrozumiałam, że powinnam była poprosić pana o pomoc, zamiast atakować pana, tak jak... to zrobiłam.

— Zasluga wałam na to. Jestem ostatnim człowiekiem, który broniłby ignorancji, gdy wynika ona z zaniedbania. Zasluga wałam na wszystko, co mi pani powiedziała, Torillo, i dużo więcej.

— A teraz to... wszystko... się zmieni — powiedziała mając łzy w oczach.

— Kopalnia to zawsze kopalnia. To miejsce nieprzyjemne, szczególnie dla kogoś takiego, jak pani — odparł markiz. — Ale pani ojciec jest usatysfakcjonowany.

— Jakże mogę panu podziękować?

Gdy wypowiadała te słowa, na policzki wypłynął jej rumieniec. Przypomniała sobie, że raz już zadała to samo pytanie. Wiedziała, że markiz pomyślał o tym samym i raz jeszcze zatrzymał jej spojrzenie.

— Skoro to jest załatwione — powiedział bardzo cicho markiz — co zamierza pani zrobić z nami?

Torilla siedziała nieruchomo.

— Z nami? — wyszeptała.

— Tak, z nami! — powtórzył markiz. — Oboje wiemy, co się stało, gdy panią pocałowałem, a jednak pozwoliłem pani odejść, bo wierzyłem, że nigdy więcej pani nie zobaczę i, być może, z czasem potrafię zapomnieć.

Zaczerpnął tchu.

— Ale spotkaliśmy się znowu, Torillo, i teraz wiem, że nie mogę bez pani żyć.

Torilla pomyślała szaleńczo, że ona czuje dokładnie to samo wobec niego i wreszcie zrozumiała, że to była odpowiedź na wszystko, co ją wprawiało w zakłopotanie i zmieszanie. Wszystko, co czuła, czego poszukiwała i o co się martwiła, spowodowane było tym, że zakochała się w nim, gdy dotknął jej ust. Usiłowała z tym walczyć, usiłowała się temu oprzeć, ale to była miłość. Miłość, jaką jej matka czuła do ojca, a on do niej. Miłość boska, a jednak bardzo ludzka; miłość sprawiająca, że nie mogła myśleć o sobie należącej kiedykolwiek do innego mężczyzny.

— Kocham cię, Torillo!

Te słowa markiz wymówił bardzo powoli; niemal wydawały się one wibrować w jej ciele.

— Beryl!

Chociaż Torilla wymówiła szeptem imię kuzynki, zdawało się jej, że rozległo się ono w pokoju głośno i odbijało wielokrotnym echem.

— Tak, Beryl — odparł markiz.

Podszedł do kominka i stanął, patrząc na wypełnione kwiatami palenisko, jakby myślał, że znajdzie między nimi jakieś rozwiązanie.

Torilla stała patrząc na niego, jego szerokie ramiona, atletyczne ciało, ciemną głowę. Teraz, gdy zniknęły przeszkody, wiedziała, że kocha go całą swoją istotą: umysłem, ciałem i duszą. Należała do niego bez reszty.

— Pójdę do Beryl i powiem jej prawdę — rzekł markiz.

— Nie... nie możesz tego...zrobić.

— Poproszę, aby zwolniła mnie od małżeństwa, które mogłoby nam obojgu przynieść tylko nieszczęście.

— Beryl chce... cię poślubić i wiesz równie dobrze jak ja, że... wyrządziłbyś jej towarzyską krzywdę... w sposób... niewybaczalnie okrutny... gdybyś ją porzucił.

— Może potrafiłbym ją przekonać, by mi odmówiła?

Torilla uczyniła swymi drobnymi rękoma gest bezradności.

— Nigdy by tego nie zrobiła. I wiesz, że także my nie moglibyśmy być szczęśliwi, gdybyśmy... zranili Beryl i wywołali skandal.

Markiz zwrócił ku niej twarz.

— Mówisz to, co spodziewałem się, że powiesz. Ale jak możemy dalej żyć bez siebie?

Jego twarz ściągnęła się nagle, a w oczach pojawił się wyraz bólu, który sprawił, że Torilla zapragnęła objąć go i pocieszyć.

Wiedziała, że to, co proponuje, jest niesłuszne, zupełnie niesłuszne. Jednocześnie ze zdziwieniem myślała, że przyjęła za coś zupełnie oczywistego, że on ją prosi, by za niego wyszła, choć właściwie nie wypowiedział tego słowami.

Znów, czytając jej myśli, powiedział cicho:

— Wiesz, że bardziej niż nadziei na dostanie się do nieba, pragnę cię uczynić swoją żoną, Torillo. Śmiałem się z miłości. Powiedziałem mojej matce, że miłość to coś, co nigdy mi się nie przydarzy. Ale moje własne słowa obróciły się przeciwko mnie.

Przerwał, po czym mówił dalej:

— Kocham cię tak, jak nie sądziłem, że można pokochać kobietę. Wciąż mam przed oczami twoją twarz. Nocą trzymam cię w ramionach, jak już raz cię trzymałem, po czym, będąc głupcem, pozwoliłem ci odejść.

— Bardzo... źle, że pozwoliłam ci... się pocałować — wyszeptała Torilla.

— To nie było złe, ale nieuniknione; coś, co musiało się zdarzyć, bowiem, nie wiedząc o tym, zawsze cię szukałem i myślę, że ty, moja kochana, szukałaś może mnie.

To prawda, pomyślała Torilla, ale nigdy nie zda wałam sobie z tego sprawy. Dopiero teraz zrozumiałam, że to o tobie zawsze marzyłam... wyobrażałam sobie...

Był jej ideałem.

— Czy starczyłoby ci odwagi, aby ze mną wyjechać? Wyjechać za granicę, gdzie moglibyśmy się pobrać i żyć cicho przez kilka lat, aż ucichnie skandal i plotki. Ludzie bardzo szybko zapominają.

— Jak moglibyśmy... zrobić to... Beryl? — zapytała Torilla.

Jednocześnie myślała, że nic nie mogłoby być bardziej cudowne i doskonałe, niż być z nim razem; by nic ich nie rozpraszało i nie odrywało od siebie.

Potem powiedziała sobie, że byłoby źle i niegodziwie budować swoje szczęście kosztem kogoś, kogo kochała tak, jak Beryl.

— Kocham cię — powiedziała łagodnie. — Zawsze

będę... cię kochać i nie będzie... innego mężczyzny, którego mogłabym... poślubić.

Przy tych słowach markiz postąpił krok ku niej z rozświetlonymi oczami.

— Ale nie mogę wyjechać... z tobą — dokończyła Torilla. — Musimy... zapomnieć, że powiedzieliśmy kiedyś sobie... coś takiego. Należysz do Beryl. Obiecała zostać twoją żoną i nie pozwolę ci zrobić... niczego... haniebnego.

Głos jej zadrżał na ostatnim słowie. Markiz z niewypowiedzianym bólem rzekł:

— Mogłem się domyślać, że to będzie kara za wszystkie moje grzechy, iż zakocham się w kimś tak dobrym i czystym, jak ty.

— Nie jestem ani dobra, ani czysta, ale nie możemy... budować... naszego szczęścia... na okrucieństwie.

Markiz westchnął i Torilla wydało się to niemal okrzykiem bólu.

— Może znajdziemy rozwiązanie — powiedział, ale jego głos brzmiał głucho.

— Nie będzie żadnego rozwiązania — powiedziała z rozpaczą Torilla — ale będę się za ciebie modliła, gdziekolwiek pójdiesz... cokolwiek zrobisz... będę się modlić, by moja miłość chroniła cię i... może jakoś... troszkę... inspirowała.

— Tak, jak już mnie zainspirowałaś. Odkąd cię spotkałem, Torillo, okazuje się, że myślę w sposób, w jaki nigdy przedtem nie myślałem, chcąc dawać zamiast brać.

Zakrył oczy dłonią, mówiąc:

— Gdy ujrzałem warunki w kopalni noszącej moje imię, byłem przerażony, ponizony i zawstydzony. Nie wiedziałbym tego, gdybym cię nie poznał.

— Sam dojrzałyś to, co złe, i zrobiłyś coś, by to ulepszyć — powiedziała Torilla.

Markiz popatrzył na nią, po czym zapytał:

— Ty we mnie wierzysz?

— Wierzę w ciebie, ufam ci i myślę, że jesteś nie tylko wspaniały — odparła Torilla — ale bardzo... bardzo... cudowny.

Jej głos załamał się nieco, a oczy wypełniły łzami, gdy patrzyła na markiza.

— Wobec tego spróbuję cię nie zawieść — powiedział.

Miało to charakter przysięgi.

Jakby oboje rozumieli, że ich rozmowa dobiegała końca i nie było już nic do powiedzenia, poszli w kierunku wyjścia. Markiz otworzył jej drzwi i wyszli. Torilla miała wrażenie jakby swoje serca zostawili za sobą w tym cichym, pachnącym pokoju.

ROZDZIAŁ 6

Gdy Torilla pisała list do ojca, do pokoju wpadła Beryl.

— Czy wiesz, Torillo? — zapytała podniecona. — Gallen miał dziś o świcie pojedynek!

Z tymi słowami podeszła do lustra i nie zauważyła, że Torilla zerwała się od stołu ze śmiertelnie pobladłą twarzą. Chociaż poruszała wargami, nie dobył się z nich żaden dźwięk.

— Musisz przyznać, że to naprawdę romantyczne — ciągnęła Beryl, oceniając swe odbicie — ponieważ walczył, oczywiście, o mnie!

— Nie jest... ranny?

Torilla zdołała wymówić te słowa, ale były one ledwo słyszalne.

— Charles mówi, że Gallen jest tylko lekko drażniony, ale jego przeciwnik jest na progu śmierci.

— Kto... to był?

Torilla nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

— Człowiek nazwiskiem Joscelyn Threnton — odparła Beryl, zdejmując czepek i przyglądając wło-

sy. — Wydaje mi się, że go spotkałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak wygląda.

— I markiz... naprawdę nie jest... ranny?

— Tak naprawdę nie powinien być nawet draśnięty, jak mówi Charles, ale sir Joscelyn wypalił, zanim sekundant doliczył do dziesięciu.

Roześmiała się lekko.

— To takie podobne do Gallena, do jego szczęścia, że wyczuł, co się zdarzy, i odsunął się, gdy sir Joscelyn wypalił. Zamiast go zabić, kula tylko zadrasnęła mu ramię.

Beryl z zadowoleniem ciągnęła dalej:

— Charles twierdzi, że wszystkie kluby przy St. James o tym mówią. Sir Joscelyn jest zupełnie zhańbiony i jeśli wyzdrowieje, będzie musiał wyjechać za granicę.

Torilla zacisnęła dłonie, ale nie odezwała się.

— Jeśli zostanie — powiedziała z satysfakcją Beryl — nikt się do niego nie odezwie i zostanie wykluczony z towarzystwa.

Torilla czuła, że nie może już dłużej utrzymać się na nogach i usiadła na krześle.

Jak mogła pomyśleć... jak mogła zgadnąć, że markiz rozwiąże ich problem w taki sposób?

— Jesteś zupełnie... pewna — powiedziała, chcąc koniecznie to wiedzieć — że markiz nie jest... ciężko ranny?

Beryl rzuciła się na sofę.

— Jakie ty robisz zamieszanie, Torillo! Oczywiście, że Gallenowi nic nie jest. Musiałas już zdać sobie sprawę, że on jest niezniszczalny.

Oparła się o satynowe poduszki, dodając:

— Zastanawiam się, co sir Joscelyn powiedział o mnie. Charles jest przekonany, że musiał mi ubliżyć w najbardziej haniebnym sposobie, skoro Gallen go wyzwał.

Westchnęła.

— Sądzę, że nigdy się nie dowiem, bo Gallen mi oczywiście nie powie.

— Widziałaś się z nim? — zapytała Torilla.

— Z kim? Z Gallenem? Sądzę, że jest w domu i byłoby w najwyższym stopniu niewłaściwe, gdybym udała się tam bez przyzwoitki!

Nie mówiła serio, ale dodała:

— Ani słowa o tym mamie! Wiesz, jak martwi się wszystkim, co dotyczy mojej reputacji, a przecież kobiecie „nie przystoi”, by się o nią pojedynkowano.

— Nic nie powiem — wyszeptwała Torilla.

Jednocześnie poczucie ulgi, że markiz nie jest ciężko ranny, spowodowało, że łzy napłynęły jej do oczu. A gdyby sir Joscelynowi udało się śmiertelnie go zranić? Gdyby umarł?

Odepchnęła tę myśl. Markiz był zdrowy, a jej nie wolno pokazać, że jest tchórzem; ale wiedziała, że gdy chodzi o niego, takim tchórzem była.

— Wydaje mi się, że teraz już wszystko mi się przydarzyło — powiedziała Beryl. — Mężczyźni grozili wcześniej, że będą o mnie walczyć, ale nigdy do tego nie doszło naprawdę. Z całą pewnością będę mogła opowiadać o tym wnukom, jeśli je kiedykolwiek będę miała.

Mówiła swoim łobuzerskim tonem, który sprawił, że Torilla zadrzała. Wiedziała, że gdyby to ona w tym momencie była na miejscu Beryl, rozpaczliwie by się niepokoiła. Czy było to zgodne z konwenansami, czy nie, nie byłoby w stanie powstrzymać się przed pójściem do markiza.

Beryl wstała z sofy.

— Mam tylko nadzieję, że nie oznacza to, iż Gallen wycofa się z pójścia z nami dziś wieczorem do opery.

Ma to być bardzo eleganckie wydarzenie, a my mamy siedzieć w łoży księcia regenta.

— My? — zapytała Torilla.

— Ależ oczywiście, zaproszenie dotyczy także ciebie, kochanie. Książę mówił mamie bardzo pochlebne rzeczy o tobie. Po operze idziemy na kolację do Carlton House.

Torilla odwróciła głowę, by spojrzeć na list, który pisała do swojego ojca.

— Wydaje mi się... — powiedziała cicho Torilla. — Beryl, czy naprawdę... chcesz, żebym została z tobą do ślubu? Czuję, że powinnam... wrócić... aby zaopiekować się tatą.

Beryl krzyknęła.

— Oszalałaś? Oczywiście, że musisz zostać na moim ślubie! Jesteś moją druhną i chcę cię mieć tutaj. Wiesz bardzo dobrze, że nie będę się wcale bawiła, jeżeli nie będzie tu ciebie — chociażby po to, aby się ze wszystkich śmiać i widzieć zabawną stronę tego wszystkiego.

Torilla powiedziała z wysiłkiem:

— Zostanę... jeśli... naprawdę chcesz, kochana. Tylko tak... pomyślałam.

— I to bardzo niemądrze — powiedziała Beryl. — Teraz, gdy znów jesteś w moim życiu, nie mam zamiaru ponownie cię tracić, a jeśli jeszcze bedziesz się sprzeciwiać, sama napiszę do twojego ojca.

Uśmiechnęła się, dodając:

— Zwróć wujowi Augustusowi uwagę, że pasttorowie nie powinni być samolubni, a jeśli on zabierze mi ciebie, będzie to doprawdy bardzo, bardzo samolubne!

Był to pożegnalny strzał Beryl, po którym opuściła pokój. Torilla podniosła dłonie do twarzy. Nadal czuła się bardzo słaba po szoku wywołanym myślą, że markiz został ranny. Uprzytomniło jej to z całą mocą, jak bardzo go kocha.

Zeszłej nocy, po powrocie z balu, leżała bezsennie czując w jednej chwili dziwną, nieziemską radość, gdyż powiedział, że ją kocha, a w drugiej — pogrążając się w piekielnych ciemnościach, bowiem wiedziała, że nigdy nie będą mogli być razem, gdyż Beryl stoi pomiędzy nimi jak płomienny miecz.

Nie mogła uwierzyć, że to, co czuła do markiza a on do niej, jest złe czy niegodziwe. Miłość nigdy nie mogła być taka.

To, co czuli, było święte, ale Torilla wiedziała, że gdyby zranili Beryl i byli szczęśliwi jej kosztem, splamiłoby to ich cudowne uczucie. Miała rację, gdy powiedziała markizowi, że nie pozwoli mu zrobić niczego haniebnego.

Znała życie na tyle, by mieć świadomość, że choćby nie wiadomo jak godzien potępienia był markiz, gdy chodziło o jego przygody miłosne, nigdy nie zrobił niczego wykraczającego poza napisany kodeks, jakiego powinien przestrzegać dżentelmen.

Tak jak nigdy nie ściągnąłby koni na torze wyścigowym, oszukał przy kartach czy, jak sir Joscelyn, wypalił w pojedynku, zanim doliczono do dziesięciu, tak nie mógł odmówić poślubienia Beryl, raz poprosiwszy, aby została jego żoną.

Kocham go za to, jaki jest, i nigdy nie mogę zrobić niczego, co zniszczyłoby mężczyznę podziwianego za elegancję i postępującego zgodnie z zasadami, pomyślała.

Gdy myślała o wszystkim, co zrobił w Barrowfield, bo go o to poprosiła, wydawało się jej, że żaden mężczyzna nie mógłby być hojniejszy czy bardziej nowoczesny. Nie usprawiedliwiał swoich zaniedbań w kopalni, potępił swoją własną ignorancję i zadośćuczynił, jak potrafił.

Powiedział, że jej ojciec był zadowolony, i Torilla wiedziała, że skoro tak, to zmienione warunki w kopalni prześcigną wszystkie inne na południu Yorkshire.

Markiz nie poszedł tego wieczoru do opery, zgodnie z zaleceniami lekarza, jak to powiedziano Beryl, ale Torilli wydawało się, że był po temu, być może, jeszcze inny, bardziej osobisty powód.

Oboje musieli się oswoić z tym, co zostało wypowiedziane na balu w zaciszu buduaru. Trudno będzie spotkać się w miejscu publicznym bez okazywania uczuć.

W ciągu następnych dni Torilla widywała markiza jedynie w obecności wielu osób; nie czynił prób, by z nią porozmawiać na osobności. Ponieważ byli sobie tak bliscy, patrząc na niego z dala poprzez zatłoczony pokój wiedziała, że cierpiał.

Wydawało się, że zeszczupłał; ostro odcinały się na jego twarzy cyniczne rysy, ale dla Torilli były to rysy bólu. Mimochodem dowiedziała się od jednego z chłopców stajennych, że markiz zajeżdżał swoje konie do niemal pełnego wyczerpania.

Ona sama nie mogła jadać bogatych posiłków, które tak smakowały jej po przyjeździe na południe. W miarę jak zbliżał się dzień ślubu, Beryl pytała ją niecierpliwie:

— Co ty ze sobą wyrabiasz, Torillo? Jesteś tak szczupła, że moje suknie zaczynają wisieć na tobie jak worki! Jeśli dalej będziesz się tak prowadziła, będziemy musiały oddać twoją suknię drużny do przerobienia.

— Świetnie pasuje — zaprotestowała Torilla nie dodając, że zmniejszyła już talię o dwa cale.

Była to bardzo piękna suknia i Torilla wiedziała, że powinna być za nią wdzięczna ciotce. Ale miała wrażenie, że jest to niemal kir okrywający jej ostatnie marzenie o szczęściu.

Zdecydowała już, że gdy po ślubie pojedzie na północ, już nigdy więcej tu nie powróci. Niemożliwością byłoby widywać markiza, nie odczuwając niepohamowanego ukłucia zazdrości czy żalu, że jego żoną jest Beryl.

Każdej nocy Torilla modliła się, żeby nie żywić żadnego z tych uczuć.

Kocham ich oboje, myślała, i chcę, żeby byli szczęśliwi. Pomóż mi, Boże, żeby moja miłość przewyciężyła wszystkie inne uczucia. Pomóż mi! Pomóż mi!

Był to krzyk przestraszonego dziecka, a bała się, ponieważ nie mogła nie czuć, że całe jej ciało i umysł pragnę markiza. Tęskniła do niego tak rozpaczliwie, że czasami groziło to utratą kontroli nad sobą.

Beryl sama zaprojektowała dla Torilli suknię druheny: była z białej satyny ozdobionej na dole białymi różami, lśniącymi od sztucznych diamentów jak od kropli rosy. Róże były także w wianku, bardzo pasującym do jasnych włosów Torilli. Z tych samych kwiatów miała mieć bukiet.

Beryl przyszła na ostatnią przymiarę.

— Wyglądasz prześlicznie, najdroższa! — wykrzyknęła. — Niemal jakbyś sama była panną młodą.

— To prawda, milady — powiedziała krawcowa. — Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości będę szyła suknię ślubną dla panny Clifford.

— Wydaje mi się, że to bardzo prawdopodobne — powiedziała z uśmiechem Beryl i Torilla wiedziała, że myśli o lordzie Arkleyu.

Chciała odrzucić ten pomysł, ale stwierdziła, że nie ma sensu protestować i mówić, że nie ma zamiaru poślubić lorda Arkleya ani żadnego innego mężczyzny. Wiedziała, że Beryl nie zrozumie, i była zupełnie pewna, że jej ciotka wciąż w wolnych chwilach spiskuje na rzecz jej zamążpójścia.

Na szczęście hrabina była teraz tak pogrążona w niezliczonych zajęciach związanych ze ślubem Beryl, że prawie nie miała czasu martwić się swoją siostrzenicą. Ale Torilla wiedziała, że sprawa ta tkwi gdzieś w jej umyśle i była zdecydowana zaraz, gdy skończy się ceremonia, wrócić do Barrowfield, gdzie ciotka nie będzie mogła się nią zająć.

— Nie wydaje mi się, żeby można jeszcze coś zrobić przy sukni — powiedziała Beryl.

— Nie, jasnie pani. Jest skończona i jutro odeślę ją na ulicę Curzona.

— Dziękuję — rzekła Beryl. — Moją suknię również.

— Bardzo dobrze, jasnie pani.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że jeszcze nie widziałam twojej sukni ślubnej? — powiedziała Torilla. Pokaż mi ją!

Beryl pokręciła głową.

— Trzymam ją jako niespodziankę. Nawet mamie nie pozwoliłam jej zobaczyć.

— Myślałam, że ciotka Luiza musiała ją widzieć — powiedziała zaskoczona Torilla.

— Nikt jej nie widział — odpowiedziała Beryl. — Nieprawdaż, madam?

Krawcowa pokręciła głową.

— To będzie wielka niespodzianka, milady, nie tylko dla pani rodziny, ale dla wszystkich pań, które były niesłychanie ciekawe, co też pani włoży.

Torilla popatrzyła na kuzynkę raczej z obawą. Znała Beryl wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że coś

planuje, i nie mogła powstrzymać ciekawości, co też to może być takiego.

Ślub miał być ostatnim wielkim wydarzeniem sezonu, ponieważ książę regent ogłosił, że po nim wyjeżdża do Brighton.

Już się okazało, że nie będzie ani jednego wolnego miejsca w kościele św. Jerzego i hrabina szalała coraz bardziej w miarę, jak na ulicę Curzona i do domu markiza przy Park Lane napływały prezenty ślubne. Trzeba je było wszystkie spisać, aby później odpowiednio potwierdzić ich odbiór.

— Jeśli komuś się wydaje, że zamierzam spędzić mój miesiąc miodowy na pisaniu listów z podziękowaniami za tę kolekcję, to się myli! — zawołała Beryl.

Wraz z Torillą rozpakowywały tuzin paczek, doręczonych tego ranka.

— Niektóre z tych rzeczy są ładne — zauważyła Torilla.

— Jeśli chodzi o mnie, to jest to kupa śmiecia! — odparła zjadliwie Beryl. — Popatrz na tę broszkę z granatów! Czy wyobrażasz sobie mnie noszącą granaty, gdy Gallen ma kolekcję rubinów, za którą można by wykupić długi króla?

— Przysłała ci ją starsza pani, która знаła nas, gdy byliśmy dziećmi — powiedziała Torilla. — Pisz w swoim liście, że należała do jej prababki i to, że ci ją dała, to duże poświęcenie.

— Nie chcę, żeby ludzie coś dla mnie poświęcali — odparła ostro Beryl.

Wstała z podłogi, na której siedziały, otwierając paczki.

— Zostaw to wszystko do posprzątania służbie — powiedziała. — Jestem zmęczona prezentami.

Torilla spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Od dwóch dni Beryl była poirytowana i rozstrojona. Przygotowania do ślubu zupełnie przestały ją interesować. Torilla miała uczucie, że Beryl nie jest szczęśliwa.

— Co się stało, kochanie? — zapytała.

— Stało? Dlaczegoż miałoby się coś stać? — zareplikowała Beryl.

Torilla powiedziała sobie, że Beryl denerwuje się przed ślubem albo może się zaziębiła.

— Włóżmy czepki i przejdźmy się trochę — zaproponowała Beryl.

Torilla popatrzyła na zegar.

— Jest po czwartej. Ciotka Luiza będzie wkrótce w domu.

— To tym lepszy powód, żeby wyjść — powiedziała Beryl. — Niedobrze mi się robi od słuchania o wielkości zgromadzenia i zastanawiania się, czy w Carlton House powinno być więcej bezów, czy mniej ptysiów.

Torilla nie odezwała się i w milczeniu poszły na górę. Gdy weszły na podest obok pokoju Beryl, pojawiła się jej pokojówka i powiedziała:

— Właśnie dostarczono suknię ślubną, milady. Suknię panienci Torilli schowałam do jej szafy.

— Dziękuję — powiedziała Torilla.

Beryl podeszła do drzwi swojej sypialni i stanawszy przed nimi, popatrzyła na Torillę.

— Chodź zobaczyć moją suknię — powiedziała. — Mam nadzieję, że będziesz ją podziwiać.

Otworzyła drzwi i Torilla weszła za nią.

Z tego, co już zostało powiedziane, Torilla spodziewała się, że Beryl włoży coś oryginalnego, ale leżąca na łóżku suknia była z całą pewnością całkiem inna od tego, czego się spodziewała. Była to blad różowa, doprawdy niesłychanie piękna kreacja.

Ale któż, zadawała sobie pytanie zdumiona Torilla, kiedykolwiek słyszał o pannie młodej ubranej na różowo?

Suknia uszyta była z tiuli i tak jak suknia Torilli obrębiona na dole różami. W bardzo długi tren wczeszone były róże, lśniące diamentowymi kroplami rosy.

Było to oryginalne i nieco teatralne. Torilla wiedziała jednak, że Beryl będzie wyglądać wyjątkowo pięknie. Jedyłą kwestią było to, czy markiz nie będzie miał nic przeciwko temu, by jego panna młoda brała ślub w sukni o tak niekonwencjonalnym kolorze?

— Na głowie będę miała różowy wianek — powiedziała Beryl — i jak widzisz, jest też różowy welon sięgający aż do ziemi.

Mówiąc to patrzyła na kuzynkę niemal wyzywająco. Po chwili Torilla powiedziała:

— Jest śliczna, najdroższa, i będziesz wyglądała bardzo pięknie, ale równie ślicznie wyglądałabyś w bieli.

Na moment zapadła cisza. Potem Beryl powiedziała twardym, napiętym, ale cichym głosem:

— Tego koloru nie mam prawa włożyć!

Torilla spojrzała na nią zaskoczona, potem oczy się jej rozszerzyły.

— Beryl! — krzyknęła. — Co... ty... mówisz?

— Mówię ci prawdę.

Torilla zaczerpnęła tchu.

— Chcesz powiedzieć... Czy naprawdę... mówisz, Beryl... że ty...?

— ...że nie jestem czystą, dziewiczą panną młodą? — skończyła Beryl. — Właśnie to ci mówię, Torillo. Możesz znać prawdę.

— A... ale... najdroższa — zająknęła się Torilla. — Czy to... lorda Newalla kochasz?... Więc dlaczego...?

— Charles Newall nie ma z tym nic wspólnego — odparła Beryl. — Mężczyzną, któremu się oddałam, był mój mąż!

Torilla patrzyła na nią, jakby sądziła, że postradała zmysły. Następnie, z lekkim szlochom, Beryl usiadła na taborecie stojącym przed jej toaletką i podniosła rękę do oczu.

— Och... Torillo... Chciałam powiedzieć ci wcześniej... ale po co? Byłam tak... rozpaczliwie nieszczęśliwa... ale mówienie o tym... nie pomaga.

Torilla podbiegła do Beryl i, klękawszy u jej stóp, objęła ją.

— Powiedz mi teraz — poprosiła. — Powiedz mi, kochana.

Po twarzy Beryl płynęły łzy.

— Kochałam go, Torillo. Kochałam go... całym sercem... i miłość była dokładnie taka, jak mówiłaś... tylko o wiele, wiele... cudowniejsza!

— Kim on był? Powiedz mi — błagała Torilla.

— Nie domyślasz się? — zapytała Beryl, na wpół uśmiechając się poprzez łzy.

Torilla spojrzała na nią i nagle odkryła odpowiedź.

— To Rodney!

Beryl skinęła głową.

— Tak, Rodney. Wydaje mi się, że byłam... w nim zakochana od dziecka... ale nie rozumiałam... że to była miłość... aż do momentu... kiedy miał wyjechać... aby wstąpić do regimentu.

— Pamiętam to — powiedziała cicho Torilla — ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy...

— Właśnie umarła ciocia Elżbieta i byłaś... zbyt nieszczęśliwa... aby zwracać na mnie uwagę. Zamierzałam ci... powiedzieć, ale zarówno Rodney, jak i ja tak bardzo się obawialiśmy, że jeśli ktoś się domyśli, iż jesteśmy w sobie... zakochani, wymówi mu się dom.

Popatrzyła przez łzy na Torillę, mówiąc dalej:

— Wiesz, że ani tato, ani mama nie uważaliby go za dość... dobrego dla mnie.

Zaszlochała lekko i jej ręce znów podniosły się do twarzy.

— Dość dobry! — powiedziała zduszonym głosem. — Był... wszystkim, czego zawsze pragnęłam, i powiedział mi, że... kocha mnie bardziej... niż samo życie.

Głos się jej załamał i teraz szlochała już zupełnie niepohamowanie. Torilla mogła jedynie przytulić ją bardziej; jej samej łzy spływały po twarzy.

— Nie będziesz tego pamiętać — ciągnęła po małej chwili Beryl — ale pojechałam na kilka dni do

Londynu, powiedziawszy tacie, że zatrzymam się u mamy... Ale ona nie wiedziała, że wyjechałam z dworu. Rodney i ja... pobraliśmy się... za specjalnym zezwoleniem na ślub. Pojechaliśmy razem do hotelu i... Torillo... to wtedy zrozumiałam, co to jest naprawdę... niebo.

— Rozumiem — wyszeptła Torilla.

— Było tak... cudownie, tak wspaniale — powiedziała Beryl. — Potem Rodney musiał się pożegnać, ponieważ jego regiment odpływał do Hiszpanii.

Torilla pamiętała, że Rodney należał do oddziału wysłanego na początku 1814 roku w celu wzmocnienia armii księcia Wellingtonu w marszu przez Hiszpanię do Francji.

— Rodney był zupełnie pewien — ciągnęła Beryl — że wojna nie potrwa długo. Zamierzaliśmy po jego powrocie powiedzieć rodzicom, że się pobraliśmy. Nic... nie mogliby na to poradzić... ale on nigdy... nie wrócił.

Beryl znowu płakała, a Torilla również płacząc szeptała czułe słowa. Beryl z wysiłkiem mówiła dalej:

— Ja... nigdy... nikomu nie powiedziałam... tego, co... tobie teraz... Nie miało sensu, żeby ktoś się dowiedział... gdy Rodney... został zabity.

— Nawet... markiz?

— A jakież miałyby to sens? — zapytała ocierając łzy Beryl.

— Nie wydaje ci się, że ma... prawo wiedzieć?

— Ja nie pytam o przeszłość Gallena i nie spodziewam się, by on zadawał mi pytania o moją.

Beryl spojrziała w lustro i zobaczyła obok siebie Torillę i łzy na jej policzkach.

— Nie martw się o mnie, najdroższa — powiedziała. — Po raz ostatni płacę z powodu Rodneya... po raz ostatni mówię o nim. Wszystko to skończone jest raz na zawsze.

— Ale nie potrafisz zapomnieć — powiedziała miękko Torilla.

— Spróbuję — odparła zdecydowanym głosem Beryl. — Spróbuję nigdy więcej o nim nie myśleć.

Torilla podniosła się z kolan i stała, patrząc na leżącą na łóżku różową suknię ślubną. To tak w stylu Beryl, pomyślała, że w jakiś niezwykły sposób nawet wobec siebie jest na tyle uczciwa, by nie włożyć białej sukni.

Myślała teraz, jaka musiała być ślepa, żeby nigdy nie zdać sobie sprawy, że Rodney i Beryl zawsze darzyli się nawzajem szczególnym uczuciem. Patrząc wstecz przypominała sobie tysiące zdarzeń, które mogły jej dać wskazówkę, że tych dwoje kochało się inaczej, niż kochali ją. Była młodsza o dwa lata od Beryl i pięć od Rodneya, patrzyła więc na nich oczami dziecka.

Dopiero teraz, kochając markiza, potrafiła zrozumieć, dlaczego, gdy tamtych dwoje było razem, powietrze w nieunikniony sposób przesycone było magnetyzmem, a im trudno było oderwać od siebie oczy. Teraz wyjaśniło się tyle rzeczy, których nie rozumiała w zachowaniu Beryl.

Ponieważ straciła jedyną rzecz, jaka liczyła się w jej życiu, pogрузzyła się w świecie zabaw towarzyskich,

usiłując znaleźć zapomnienie. Szukała podziwu, szukała miłości, którą utraciła, chociaż wiedziała, że nigdy już jej nie znajdzie. Nie mogąc więc znaleźć ukojenia w miłości, próbowała zastąpić ją ambicją i osiągnęła to, gdy markiz poprosił o jej rękę.

Wszystko to było zupełnie jasne, myślała Torilla, wiedząc, że był to kolejny powód, dla którego nie mogła odebrać Beryl markiza. Beryl utraciła Rodneya, miłość swojego życia, i świetna pozycja społeczna była jedynym substytutem tej straty.

— Przynajmniej mój różowy strój da im coś, o czym będą mogli mówić — stwierdziła Beryl głosem, który powiedział Torilli, że znowu przybrała maskę, kryjącą jej prawdziwe uczucia.

Może spowodować, że zaczną... zastanawiać się, dlaczego... jesteś tak ubrana — powiedziała z wahaniem Torilla.

— Będą się zastanawiać, cokolwiek bym włożyła — odparła Beryl. — Nie sądzisz chyba, że te rozplotkowane stare gaduły nie połączyły mnie dotąd z niezliczonymi kochankami? Lord Newall jest zaledwie ostatnim.

Roześmiała się żałośnie, a śmiech ten był bliski płaczu, po czym mówiła dalej:

— W zeszłym roku szeptali po kątach o kilku mężczyznach; nie mniej było ich rok wcześniej.

— I nie masz nic... przeciwko temu? — zapytała Torilla.

— A dlaczegóż by? — odparła wzruszając ramionami Beryl. — Lepiej, żeby o tobie mówili, niż cię

ignorowali. Nie zniosłabym, naprawdę nie zniosłabym, gdyby mnie nie zauważano.

Widząc wyraz twarzy Torilli, wstała z taboretu i podeszła do niej.

— Cieszę się, że zdradziłam ci swój sekret — powiedziała. — Jesteś jedyną osobą, która zrozumie; jedyną osobą, która będzie wiedziała, dlaczego czasami robię rzeczy skandaliczne: po prostu, aby... zapomnieć.

— Rozumiem — powiedziała Torilla. — Ale pamiętaj, Beryl — kochałaś Rodneya, on zawsze będzie przy tobie tak, jak czuję, że mama jest przy mnie.

Beryl zeszywniała.

— Próbowałam w to uwierzyć — powiedziała. — Z początku, gdy dowiedziałam się, że nie żyje, wołałam go w ciemności, by przyszedł do mnie, by wziął mnie w ramiona jak wtedy, gdy żył, ale... on nigdy nie przyszedł.

Jej głos stwardniał, gdy ciągnęła:

— Powiedziałam sobie wtedy, że wszystkie historie o życiu pośmiertnym, które tak pięknie opowiadał twój ojciec, były stekiem bzdur. Gdy ktoś umiera, istnieje tylko piekło dla tych, którzy pozostali.

— Nie, nie! Nie wolno ci tak myśleć! Często, gdy byłam w największej rozpacz, czułam, że mama jest przy mnie. Wiem, że śmierć nie istnieje.

— To dlaczego Rodney do mnie nie przychodzi? — zapytała Beryl. — Kochał mnie, Torillo, tak jak nikt nigdy mnie już nie pokocha. Należeliśmy do siebie, a jednak jest najwidoczniej zadowolony pozostawiając mnie... samą.

— Nie wierzę w to.

— A ja tak!

W oczach Beryl ponownie pojawiły się łzy, które szybko jednak otarła.

— Nie możemy teraz wyjść, gdy zrobiłam z siebie takiego potwora. Zamierzam się położyć, Torillo, i proponuję, żebyś zrobiła to samo. Dziś wieczorem jest przyjęcie, ale niewielkie.

— Lepiej nie kładź się dziś późno, skoro jutro wychodzisz za mąż — odparła Torilla, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie.

— Sądzę, że masz rację — zgodziła się Beryl. — Gallen nie przyjdzie na przyjęcie; zupełnie nie wiem, dlaczego. Przysłał dzisiaj rano przeprosiny i powiedział, że ma inne plany.

Uśmiechnęła się szyderczo, dodając:

— Spodziewam się, że planuje pożegnanie z jedną ze swoich miłostek. Zastanawiam się, czy to ta wdowa, w której był kiedyś rozkochany, czy bardzo rozkoszna rudowłosa, z którą widziałam go któregoś wieczoru w teatrze?

Torilla była zupełnie pewna, że nie chodziło o żadną z tych kobiet i tak naprawdę markiz unikał małego, intymnego przyjęcia, na którym ona byłaby obecna.

Powinna była pojechać na północ przed ślubem, pomyślała. Ale nie mogła zostawić Beryl samej i teraz właściwie cieszyła się, że tego nie uczyniła.

Czuła, że w pewien sposób Beryl doznała ulgi, mówiąc jej prawdę. Zlikwidowało to w dużej mierze niepokój Torilli co do zmiany, jaka zaszła w charak-

terze Beryl, odkąd odniosła w Londynie tak wielki sukces towarzyski.

Bolało ją, gdy myślała o nieszczęściu Beryl, ukrytym pod pustotą i towarzyskim rozbawieniem. Ale przynajmniej Beryl była żoną Rodneya; poznała niewypowiedzianą rozkosz płynącą z małżeństwa z nim. Przeżyli, jak powiedziała sama Beryl, trzy dni w niebie.

Torilli natomiast, gdy powróci do Barrowfield, pozostanie tylko wspomnienie jednego cudownego pocałunku i dotyku palców markiza na jej nadgarstku. To musi jej wystarczyć na resztę życia.

Ponieważ kochała go tak głęboko, wiedziała, że w jej myślach będzie on obecny zawsze.

Cokolwiek mógł on dla Beryl czy jakiejś innej kobiety znaczyć fizycznie, duchowo pozostanie jej na całą wieczność.

Rano, przed ślubem, było tyle bieganiny i zamieszania, iż Torilla miała wrażenie, że nigdy nie dotrą do kościoła.

Hrabina miotła się po całym domu, wydając służbie rozkazy, by za chwilę zmieniać swoje wcześniejsze polecenia. Zamęt jeszcze bardziej powiększyło późne przybycie hrabiego. Jego powóz został zatrzymany po drodze i w pewnym momencie wszyscy myśleli, że zapomniął, co to był za dzień, i nie przybędzie, aby odwieźć pannę młodą.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze nieprzerwany strumień umyślnych, przynoszących listy, depesze i spóźnione prezenty. Kwiaciarze przysyłali bukiety,

a krawcy części odzieży, które w ostatniej chwili potrzebowały przeróbek.

Ponadto trzeba było spakować dwanaście kufrów dla Beryl na miodowy miesiąc. Do tego to hrabina, to Beryl ciągle zmieniały decyzje, co należało zabrać ze sobą, a co wysłać do zamku markiza w Huntingdonshire.

Jedyną niezbyt zajętą osobą była sama Torilla. Usiłowała być w pobliżu kuzynki na wypadek, gdyby ta jej potrzebowała. Beryl była jednak w nastroju, w którym wszystko wydawało się jej zabawne, i niczego nie traktowało poważnie.

Doprowadziła hrabiego do szafu mówiąc mu, że jego elegancki londyński powóz jest dla niego za mały, a kiedy usiłowała zmienić matce kapelusz, hrabina krzyknęła na nią z rozdrażnieniem.

— Nie wtrącaj się, Beryl — zagrzmiała. — Zostaw mnie w spokoju i zajmij się własnymi sprawami. Jestem całkowicie przekonana, że razem z pokojówką zapomnieliście połowy sukienek, które trzeba zapakować.

— Jeżeli nawet tak, to kupię sobie parę — odparła opryskliwie Beryl.

Wreszcie ubrała się w różową suknię, która wywołała burzę sprzeciwów zarówno ze strony jej ojca, jak i matki.

— Różowa? Kto słyszał kiedykolwiek o pannie młodej, ubranej na różowo? — zapytali, chociaż raz zgadzając się ze sobą.

— Jest w najwyższym stopniu niekonwencjonalna — powiedział pompatycznie hrabia.

— Nie pragnę być konwencjonalną panną młodą — odparła Beryl — i wiesz, tato, równie dobrze jak ja, że wyglądam bardzo pięknie i każdy ci to powie.

— Dlaczego się mnie nie poradziłaś i nie poprosiłaś o pomoc? — pytała raz za razem hrabina. — Panna młoda popełnia ogromną pomyłkę nie przestrzegając tradycji.

— Cóż, teraz jest już za późno — powiedziała Beryl. — Albo pojedę do kościoła w różowej sukni, albo możecie odwołać ślub. Może Gallenowi ulży.

Ponieważ hrabia i hrabina nie chcieli stracić tak znacznego zięcia, propozycja Beryl zamknęła im usta. W końcu, za ledwie z kilkuminutowym opóźnieniem, hrabina i Torilla wyruszyły do kościoła, pozostawiając Beryl i jej ojca, którzy mieli podążyć za nimi następną kareta.

— Mam tylko nadzieję, że Gallen będzie wiedział, jak postępować z Beryl — powiedziała hrabina, gdy ruszyły. — Mnie ona niekiedy straszliwie denerwuje.

— Wygląda bardzo pięknie, ciociu Luizo — powiedziała Torilla łagodząco.

Ale nic nie było w stanie zjednać ciotki, która przez całą drogę do kościoła gderала i utyskiwała. Starania, by wprowadzić ciotkę w dobry humor, uchroniły Torillę przed uświadomieniem sobie jej własnych uczuć.

Nie spała ubiegłej nocy, ale leżała, walcząc z własnym sumieniem i pokusami, na które, jak jej się wydawało, wystawiały ją wszystkie moce piekielne.

Raz wstała z łóżka, zapaliła świecę i zaczęła pisać list do markiza.

„Kocham cię” — pisała. — „Nie potrafię stawić czoła przyszłości bez ciebie. Zrobię to, o co prosiłeś, i...”

Przerwała, popatrzyła na to, co napisała, i stwierdziła, że jest to podłe i z pewnością podpowiedział jej to szatan. Podarła więc ten list na maleńkie kawałeczki, po czym rzuciła się na łóżko płacząc i rozpaczając, aż zabrakło jej łez.

Gdy w kościele zobaczyła markiza wychodzącego z zakrystii i stojącego u stóp prezbiterium w oczekiwaniu na pannę młodą, poczuła się tak, jakby otoczyła ją czarna chmura.

Jak bez niego będzie potrafiła znieść czekające ją lata? Jak podporządkowanie się obowiązkowi czy honor mogły im obojgu wynagrodzić pustą, jałową egzystencję bez miłości?

Postępując ze spuszczonej oczami za Beryl, kilka kroków za jej migoczącym, pokrytym różami trenem, czuła w całym ciele tępy ból, a ucisk w piersi był nie do zniesienia.

Kocham go! Kocham go! — powtarzała w myślach.

Tak jak poprzedniej nocy ogarnęło ją to samo przytłaczające pragnienie, aby pobiec do niego i powiedzieć mu, że jest gotowa pojechać z nim wszystko jedno gdzie, byle tylko mogli być razem.

Ubrany w mitrę i ornat biskup rozpoczął mszę. Uniósłszy oczy, Torilla ujrzała stojącego przy Beryl markiza. Patrzyła na jego szerokie ramiona, kształt jego ciemnowłosej głowy i wiedziała, że ma twarz zaciętą i ponurą, o ostrych rysach.

Dobiegł ją głos biskupa:

— Jeśli ktoś zna jakiś słuszny powód, dla którego tych dwoje ludzi nie może zgodnie z prawem zostać połączonych, niech mówi teraz albo zamilknie na zawsze.

— Jakiś słuszny powód! — powtórzyła niemal bezgłośnie Torilla.

Cóż było słusniejszego od miłości? Co było w małżeństwie ważniejszego niż to, aby dwoje ludzi, mających zostać mężem i żoną, kochało się wzajemnie sercem i duszą tak, jak ona kochała markiza?

Chciała krzyknąć i przerwać ślub. Po słowach biskupa nastąpiła chwila ciszy, a potem ciągnął dalej:

— Żądam i wymagam, abyście tak, jak oboje odpowiecie w strasliwym dniu sądu, gdy wszystkie sekrety serc zostaną ujawnione, wyjawili teraz, jeżeli znana wam jest jakaś słuszna przeszkoda, dla której nie możecie zgodnie z prawem połączyć się w małżeństwie.

Torilla czuła, jakby markiz wyciągał do niej ramiona mówiąc jej, że zna już sekret jego serca. Nie spuszczała oczu z jego głowy i niemal spodziewała się, że odwróci się i spojrzy na nią.

— Gallenie Aleksandrze, czy pragniesz pojąć tę tu kobietę za żonę i żyć z nią w świętym sakramencie małżeńskim...

Całe zgromadzone towarzystwo, ubrane w jedwabie i satyny, zdawało się wirować wokół Torilli; pomyślała, że zemdleje.

Nagle z tyłu kościoła rozległ się głos:

— Przerwać ślub! Nie może się odbyć!

Wszystkie głowy odwróciły się; odwróciła się również zdumiona Torilla.

W przejściu między ławkami, tuż przy zachodnim wejściu do kościoła, stał mężczyzna. Ponieważ był odwrócony tyłem do światła, nie widziała jego twarzy.

Był wysoki, ale gdy szedł przejściem, dojrzała, że kulał, a jego buty do konnej jazdy pokryte były kurzem. Gdy zbliżył się jeszcze kilka kroków, zobaczyła na czole mężczyzny głęboką bliznę i w tym momencie rozpoznała go!

Kiedy w tyle kościoła rozległo się wołanie, biskup przerwał ceremonię, a Beryl i markiz odwrócili się z wolna.

Teraz rozległ się krzyk, który odbił się echem pod wysokim dachem; krzyk, po którym nastąpiło pełne niedowierzania wołanie:

— Rodney!?

Przejściem biegła Beryl, potykając się o tren. Jej upadkowi zapobiegło jedynie to, że Rodney pochwycił ją w ramiona.

— Rodney... Rodney! Ty... żyjesz! Ty... żyjesz!

Słowa były tak niewyraźne, a jednocześnie tak wzruszające niewymowną radością, że do oczu wszystkich zebranych kobiet napłynęły łzy.

— Umarłeś! Ale... żyjesz... żyjesz! Och, Rodney! Rodney!

— Żyję, moja najdroższa żono — powiedział Rodney — i nie mogę pozwolić, abyś wyszła za kogokolwiek innego.

— Tak, jakbym... chciała! — odparła Beryl. — Och, kochanie, byłam taka... nieszczęśliwa... taka zrozpaczona. Myślałam, że nigdy... już... cię nie zobaczę!

Jej głos załamał się na ostatnim słowie. Zresztą i tak nie mogłaby już nic powiedzieć, bo Rodney całował ją, całował namiętnie, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że wszyscy dookoła im się przyglądają.

Nigdy potem Torilla nie mogła sobie przypomnieć, jak wrócili z kościoła św. Jerzego do Carlton House.

Jechała tym samym powozem, co hrabia i hrabina, którzy byli tak oszołomieni, że szeptali jedynie raz za razem imię Rodneya.

Zanim wyszli, Rodney wyjaśnił biskupowi, kim jest. Opowiedział pokrótce Jego Eminencji, że właśnie przyjechał z Francji i całą noc pędził konno, by zapobiec bigamii, jaką mogła popełnić Beryl.

W Carlton House przeprosił księcia regenta za swoje nagłe pojawienie, ale zaintrygowany opowieścią księżę machnął tylko ręką na tak nieistotne kwestie.

— Musisz mi opowiedzieć, drogi chłopcze, co się dokładnie stało — powiedział swoim ochryplym, charakterystycznym dla wyższych sfer głosem. — Jak to możliwe, że przeoczono cię, gdy nasze armie opuszczały Francję?

Tego, czego nie dosłyszała na przyjęciu, Torilla dowiedziała się później, gdy wszyscy wrócili do Curzon House.

Po bitwie o Tuluzę, gdzie Rodney został poważnie ranny, pozostawiono go na polu bitwy jako zabitego. Będące postrachem wszystkich pól bitewnych cmentarne hieny odarły go z munduru i zabrały wszystko, co posiadał, nawet buty.

Rana na głowie sprawiła, że był zupełnie nieprzytomny; miał także kulę w nodze.

Brytyjczycy przeoczyli go, gdy zbierali swoich rannych, i dopiero dwaj duchowni katolickcy, odprawiając mszę pogrzebową, zauważyli, że żyje. Zabrali go do klasztoru, w którym siostry opiekowały się wieloma rannymi, którzy byli zbyt chorzy, by przewieźć ich do szpitali w Tuluzie czy Bordeaux.

Najpierw, opowiadał Rodney, myśleli, że uratowanie mu życia będzie niemożliwe, ale gdy stopniowo, po kilku miesiącach, potrafił myśleć i mówić, okazało się, że postradał pamięć.

— Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak się nazywam, ani nawet, że jestem Anglikiem — powiedział.

— I nie pamiętałeś mnie? — zapytała Beryl.

Opowiadając im swoją historię, trzymał ją w ramionach. Teraz spojrzął na nią z wyrazem miłości w oczach, który powiedział Torilli, że szczęście jej kuzynki jest zapewnione na zawsze.

— Byłaś, kochanie, pierwszą osobą, którą sobie przypomniałem, i gdy wróciłem do zdrowych zmysłów powiedział — bardzo wyraźnie ujrzałem twoją śliczną twarzą, ale umknęło mi, jak się nazywaś.

— Tak samo... jak... ty — odparła Beryl z lekkim szlochem.

— Tego dowiedziałem się dopiero później — rzekł Rodney i pocałował ją w czoło.

— Mów dalej! — poprosiła hrabina. — Muszę usłyszeć koniec opowieści.

— Dopiero trzy tygodnie temu to, co musiało zamieć mój umysł, zniknęło i wszystko sobie przypomniałem! Obudziłem się któregoś ranka wiedząc, jak się nazywam, w jakim byłem regimencie i kto jest moją żoną!

Obejmując ciasniej Beryl, ciągnął dalej:

— Wiedziałem wtedy, że jedyną rzeczą, jaka się liczy, jest powrót do ciebie, moja najdroższa.

— Dlaczego zabrało ci to tak wiele czasu?

— Na początek, ponieważ nie miałem pieniędzy, musiałem się dostać do Paryża — odparł Rodney. — Wiedziałem, że ambasada brytyjska mi pomoże i nie pomyliłem się. Nasz ambasador uwierzył w moją historię i zapłacił za mój powrót do Anglii.

— I bardzo słusznie — zauważył markiz.

— Gdy dopłynąłem do Dover, kupiłem gazetę brytyjską, by się dowiedzieć, co się tu dzieje — kontynuował Rodney — i niemalże pierwszą rzeczą, jaką wyczytałem, była informacja, że moja żona wychodzi nazajutrz za mąż.

— Och, kochanie, czy byłeś... przerażony? — zapytała Beryl.

— Byłem zdecydowany przerwać ślub — powiedział twardo Rodney — i udało mi się.

— Nie jesteś... zły — zapytała bardzo cichutko — że zgodziłam się... wyjść za kogoś... innego?

Torilla uświadomiła sobie, że jej kuzynka zupełnie zapomniała, iż oprócz nich byli obecni inni, i rozmawiała z Rodneyem tak, jakby byli sami na zamczarowanej wyspie.

I tam się właściwie znajdowali, pomyślała, sami i razem, a to, co było poza kręgiem ich szczęścia, nie miało żadnego znaczenia.

Pozostało jeszcze tak wiele do opowiedzenia, ale Rodney był zupełnie zdecydowany co do tego, co pragnął uczynić.

— Chcę się wykąpać, moja kochana — powiedział do Beryl — a potem chciałbym odpocząć. Jutro wczesnym rankiem pojedziemy do domu.

Zauważył pytający wyraz oczu Beryl i dodał:

— Nie chciałbym, aby moja matka dłużej cierpiała.

— Nie, oczywiście, że nie — zgodziła się Beryl. — I ja chcę ujrzeć szczęście twojej matki i ojca, gdy wejdiesz do domu po tym, jak oni opłakiwali cię tak długo.

Wszystko zorganizowano dokładnie tak, jak chciał Rodney, i Torilla wiedziała, że tak samo będzie w przyszłości biegło życie Beryl. Ponieważ kochała Rodneya, będzie on zawsze jej panem.

Towarzystwo po raz ostatni widziało „Niezrównaną”, dziewczynę o ambicjach towarzyskich, która chciała być znaczącą panią domu, obsypaną diamentami.

Wszystkim, czego Beryl pragnąć będzie w przyszłości, jest Rodney, a razem mają jedną jedyną, naprawdę liczącą się rzecz — swoją miłość.

ROZDZIAŁ 7

Dylichans toczył się drogą Great North, zatrzymując się w każdej wiosce i na każdym skrzyżowaniu.

Wyjechał z Londynu o siódmej spod „Jagnięcia” w Islington i Torilla wiedziała, że wkrótce zatrzymają się w Baldock, by pasażerowie mogli spożyć posiłek.

Niemal niepomna na niewygodę, ściśnięta między dwiema wiejskimi kobietami, prawie nie zauważyła, że małemu chłopcu spadały na jej muslinową sukienkę kawałki czekolady.

Pogrążona głęboko w myślach ocknęła się dopiero, gdy dylichans dojechał do Hatfield. Pomyślała o Beryl i Rodneyu, wiedząc, jak muszą być szczęśliwi razem.

Nie wyjechała z Londynu natychmiast po przerwaniu ślubie, tak jak zamierzała, ponieważ hrabia pospieszył z powrotem do Hertfordshire, a jej ciotka raczej bezradnie spoglądała na olbrzymi zbiór prezentów.

— Wszystkie muszą zostać odesłane z powrotem — stwierdziła — i chociaż służące mogą je zapakować, sama będę musiała znaleźć adresy ofiarodawców.

— Pomogę ci, ciociu Luizo — powiedziała Torilla i wydawało się, że hrabina chociaż raz była wdzięczna za jej pomoc.

Przez następne trzy dni ciężko pracowały, a gdy pozostało już tylko kilka anonimowych paczek bez adresów, hrabina powiedziała:

— Mam tylko nadzieję, że niektórzy z naszych tak zwanych przyjaciół będą na tyle łaskawi, by zwrócić te prezenty Beryl i... Rodneyowi.

W jej głosie brzmiała nuta, która aż zbyt wyraźnie powiedziała Torilli, jak głęboko jej ciotka żałowała, że Beryl nie zawarła świetnego towarzysko małżeństwa, na które ona, jako matka, miała taką nadzieję.

— Beryl jest bardzo szczęśliwa, ciociu Luizo — po raz już nie wiadomo który zapewniła ciotkę Torilla.

— Miała tyle możliwości — powtórzyła hrabina — ale Rodney Marsden...!

Nie musiała mówić nic więcej. Potem, jakby uderzona nagłą myślą, hrabina powiedziała z werwą:

— Teraz mam czas, by pomyśleć o tobie, Torillo, i jestem pewna, że lord Arkley o tobie nie zapomniał. Musimy zaprosić go na kolację.

Torilla podniosła się.

— Muszę wracać do taty, ciociu Luizo. On... mnie oczekuje.

Hrabina zastanowiła się przez moment.

— Być może lord Arkley, tak jak wszyscy, opuścił Londyn, skoro książe pojechał do Brighton.

Popatrzyła na Torillę, jakby oceniając jej wygląd, po czym dodała:

— Jedź teraz do ojca, skoro chcesz, ale napiszę do niego i zaproszę cię we wrześniu. Wtedy, Torillo, zajmę się tobą.

Torilla zdała sobie sprawę, że ciotka przenosi swoje ambicje z Beryl na nią, ale wiedziała, że nie ma sensu mówić, iż nie zamierza wychodzić za nikogo oprócz pewnej osoby — a ta zniknęła!

Trochę się spodziewała, chociaż myślała, iż może się to okazać niemożliwe, że markiz przyśle jej list bądź też ustną wiadomość po tym, jak Rodney przerwał ślub. Ale markiz stał się niewidzialny.

Pojechał do Carlton House, co było zrozumiałe, ale nikt nie słyszał o nim od tego czasu. Siedząc teraz w dylizansie, Torilla zastanawiała się, czy nie czuł się czasem poniżony tym, co zaszło. Dało to oczywiście plotkarzom powód do podśmiewania się i Torilla była przekonana, że był to główny przedmiot rozmów od ulicy St. James do Chelsea.

Aż do ostatniej chwili przed wyjazdem z Londynu rozmyślała i miała nadzieję, ale w poczcie nie było dla niej nic z wyjątkiem dwóch listów z Barrowfield, z których jeden był od jej ojca. Był on wyrazem jego nieopisanego szczęścia, jakiego nie widziała u niego od czasu śmierci matki.

W kopalni instalowano pompy powietrzne Buddle'a, wprowadzano nowe maszyny do usuwania wody, wszystkie stemple zostały wzmocnione lub wymienione, dostarczono lampy górnicze Davy'ego. Sami górnicy nie mogli uwierzyć w to, jaką zmianę w ich życiu wprowadziły zwiększone płace.

Ale to Abby miała powiedzieć Torilli, że jej ojciec był znacznie zdrowszy, niż gdy wyjeżdżała z Barrowfield. Abby pisała:

Pan przybiera na wadze, co wynika z faktu, że nie martwi się już tak bardzo chorymi i potrzebującymi. Fundusz zapomogowy, jaki ustanowił Jego Lordowska Mość, zdjął z niego opiekę nad dziećmi, kalekami i starcami. Ale ci Coxwoldowie nadal oczywiście dostają więcej, niż im się należy!

Torilla roześmiała się wiedząc, jak bardzo Abby miała za złe Coxwoldom to, w jaki sposób wyciągali pieniądze od jej ojca, po czym czytała dalej:

Spodziewam się, że panienka wie, iż Jego Lordowska Mość podwoił pensję pana i teraz mamy dwie dziewczyny do pomocy w domu; również jedzenie jest takie, jakie zwykła zamawiać droga matka panienki, gdy mieszkaliśmy w Hertfordshire.

Torilla westchnęła z satysfakcją. Po chwili, tak jak wielokrotnie przedtem, zadała sobie pytanie, czy jakkolwiek człowiek mógł być tak cudowny, tak dobry czy tak hojny, jak markiz.

Chcę mu podziękować, pomyślała i jednocześnie niemal z rozpaczą zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie miała okazję.

Dyliżans zatrzymał się przed gospodą „Pod Królewskim Jerzym” i pasażerowie pospiesznie opuścili pojazd.

— Dwadzieścia minut, panie i panowie! — powiedział konwojent i każdy popędził do gospody, chcąc zostać obsłużonym przed innymi.

Dopiero gdy wysiadła, niosąc swoją małą walizkę, Torilla zdała sobie sprawę z tego, w jakim nieładzie podróżujące dziecko pozostawiło jej sukienkę. Uświadomiła sobie, jak gorąco i niewygodnie było jej podczas tej długiej podróży.

W gospodzie zapytała pokojówkę, czy jest gdzieś pokój, w którym mogłaby się przebrać. Zabrano ją na górę, do wolnej sypialni. Torilla nie spieszyła się. Wiedziała, że jedzenie będzie nie bardzo smaczne; nie była zresztą głodna.

Umyła się w zimnej wodzie i wyjąwszy z walizki świeżą suknię, którą zamierzała włożyć tego wieczoru na kolację, zdjęła tę, którą miała na sobie i która nosiła zbyt wyraźne ślady pokrytych czekoladą palców.

Uporządkowała przed lustrem włosy i zobaczyła odbicie swoich oczu, szeroko otwartych i zmartwionych, w których głębi czaił się ukryty smutek.

— Może on mnie... już nie chce? — zapytała i odwróciła wzrok, bo nawet myśl o tym sprawiała nieznośny ból.

Było tak gorąco, że nie włożyła swojego czepka, ale niosąc go w ręku razem z walizką zeszła z powrotem na dół. Teraz będzie już tylko tyle czasu, pomyślała, by poprosić o filiżankę herbaty.

Gdy zeszła na dół, czekał tam na nią właściciel.

— Tędy, madam — powiedział.

Postawiła walizkę myśląc, że zabierze ją wychodząc z baru. Właściciel otworzył drzwi i Torilla weszła do środka. Dopiero gdy już była wewnątrz, zdała sobie sprawę, że w pustym pokoju jest poza nią ktoś, stojący w dalekim jego końcu.

Odwrócił ku niej twarz i przez chwilę żadne z nich nie mogło wykonać ruchu.

Nic nie mówiąc markiz wyciągnął ramiona, a ona pobiegła ku niemu, jak gołąb wracający z dalekiej drogi do domu. Przytulił ją tak mocno, że trudno było oddychać.

Gdy Torilla uniosła oczy, popatrzył w nie głęboko. Miała wrażenie, jakby cały pokój rozświetlił się nagle tysiącem świec.

Potem zaczął ją całować dziko, szaleńczo, namiętnie, jakby stali na krawędzi katastrofy, a jednak jakimś cudem zostali uratowani.

Było to tak cudowne i boskie, jak jego poprzedni pocałunek, ale teraz bardziej intensywne i porywające. Wiedziała, że jej miłość była potęgą, która nasilała się tak, iż była jak burzliwe morze albo płonący ogień.

Kocham cię! Kocham cię! — chciała zawołać.

Ale usta markiza wydarły z jej ciała serce, które stało się jego sercem i nie było na świecie nic poza nim, a on był samą miłością.

Dopiero po bardzo długim czasie uniół głowę i powiedział głębokim, drżącym głosem:

— Moja najdroższa, maleństwo moje kochane, myślałem, że cię straciłem.

— Och, Gallenie!

Przy tych słowach ukryła twarz na jego ramieniu, a po policzkach płynęły jej łzy pełnego szczęścia.

— Wszystko w porządku, moja kochana — powiedział markiz. — Już po wszystkim.

Ucałował jej włosy, dodając:

— Jestem tak wdzięczny losowi, tak niewypowiedzianie wdzięczny, że ból minął i możemy być razem.

Torilla powtórzyła poprzez łzy:

— Ra... zem...

Pocałował ją ponownie: długim, powolnym, zaborczym pocałunkiem, sprawiającym, że czuła, jakby całe jej ciało wtapiało się w niego...

Jakiś czas później siedzieli przy małym stoliku, spożywając posiłek, chociaż Torilla nie miała pojęcia, co jedli i pili. Mogła jedynie wpatrywać się w markiza i czuć, że wyrazem swoich oczu brał ją w niewolę.

Nie przypuszczała, że mógł wyglądać tak młodo, tak szczęśliwie, tak beztrosko. Cyniczne rysy zniknęły i jego twarz promieniała blaskiem odbijającym się, jak wiedziała, w jej twarzy.

Nawet rozmawiać było im trudno. Mogli tylko patrzeć na siebie i czuli się tak, jakby umarli, po czym narodzili się ponownie.

W pewnej chwili Torilla wyciągnęła rękę, by dotknąć markiza.

— Naprawdę... tu jesteś? — zapytała.

— O to samo chciałem zapytać ciebie, moje cudowne, piękne, maleńkie kochanie.

Gdy posiłek dobiegał końca, markiz wziął Torillę za rękę i wyszli z ustronnego pokoju na dziedziniec.

Ujrzała, że czeka tam jego powóz zaprzężony w świetne kasztany, które, jak się dowiedziała w gospodzie „Pod Pelikanem”, należały do niego. Teraz nie było woźnicy, tylko stajenni z gospody przytrzymywali konie.

Torilla zawiązała pod brodą wstążki czepka i dopiero wtedy zawołała:

— Mój bagaż! Był w dylizansie.

Markiz uśmiechnął się.

— Moja służba już go zabrała i jedzie przodem.

Pomógł Torilli wsiąść do powozu, po czym wsiadł sam. Rzucił stajennem dwie złote gwinee i ruszyli, tocząc się z ogromną szybkością drogą prowadzącą na północ.

Dopiero gdy pozostawili za sobą domy i znaleźli się w pięknej zielonej okolicy, Torilla zapytała:

— Dokąd jedziemy?

— Najpierw odwiedzić moją matkę — odparł markiz. — Muszę ci powiedzieć, że jest całkowicie przekonana, iż to jej modlitwy wskrzesiły Rodneya Marsdena z grobu i ocaliły mnie od zawarcia małżeństwa bez miłości.

Torilla odwróciła głowę i patrzyła na niego, gdy kontynuował:

— Sądzę, że domyśliłaś się, iż ocalony przez przeznaczenie czy modlitwy natychmiast opuściłem Londyn, by zabrać matkę do domu.

— Nie pomyślałam... o tym — powiedziała cicho Torilla.

Markiz wyglądał na zaskoczonego.

— W takim razie myślałaś, że co się ze mną stało, moja kochana?

Po chwili przerwy Torilla powiedziała z wahaniem:

— Myślałam... że może... nie pragniesz mnie już.

— Powiem ci, jak bardzo cię pragnę i potrzebuję — odparł markiz — dziś wieczorem, gdy się pobierzemy!

Popatrzyła na niego zaskoczona, a on rzekł:

— Zdajesz sobie z pewnością sprawę, najdroższa, że musimy być bardzo ostrożni i zachować nasze małżeństwo w sekrecie. Nie pozwolę, żeby o tobie plotkowano.

— I naprawdę możemy... pobrać się dziś wieczorem?

Oczy Torilli lśniły teraz jak gwiazdy, a w jej głosie była nuta, która sprawiła, że markiz powiedział:

— Jeśli będziesz na mnie patrzyła w ten sposób, nie będę w stanie ostrożnie prowadzić i spowodujemy wypadek!

Torilla roześmiała się ze szczęścia, przysunęła się bliżej do niego i przytuliła policzek do jego ramienia.

— Czy naprawdę mogę... wyjść za ciebie... tak szybko?

— Wszystko jest przygotowane — odparł markiz. — Pobierzemy się w mojej własnej kaplicy w zamku. Ślub da nam mój kapelan, a jedynym świadkiem będzie moja matka. Przez kilka miesięcy nikt nie będzie o niczym wiedział.

— Brzmi to aż zbyt cudownie! — zawołała Torilla i wiedziała, że markiz czuł to samo.

Jechali jakiś czas w milczeniu, aż markiz zatrzymał zaprzęg i Torilla zobaczyła na lewo od nich, za wijącą się rzeką, zamek usadowiony wśród zielonego listowia otaczających go drzew.

Spodziewała się, że wywrze na niej wrażenie. Zamek był ogromny. Szary kamień lśnił w słońcu srebrem, a na najwyższej wieży powiewała flaga markiza.

Nic nie mówił, ale jego oczy spoczywały na twarzy Torilli, która po chwili powiedziała cicho:

— Nie będę... doskonałą towarzysko panią domu.

— Nie? — zapytał markiz.

— Nie będę... obyta... ani dowcipna.

— Nie? — zapytał ponownie.

Spojrzała na niego nagle zatroskanymi oczyma.

— Nie mogę ci dać... nic... prócz miłości.

Przełożył lejce do jednej ręki i objął ją ramieniem.

— Myślisz, że chcę czegoś innego? — zapytał głębokim, namiętym głosem.

Dotknął ustami jej ust i Torilla poczuła ich ogniste pożądanie. Potem zaciął konie i ruszyli z szybkością, która powiedziała jej, że niecierpliwie oczekiwał tego, co było jeszcze przed nimi.

Najpierw pojechali do Dower House, leżącego w dalekiej części otaczającego zamek parku. Pojawili się stajenni, którzy przybiegli przytrzymać konie, a markiz pomógł Torilli wysiąść i wprowadził ją do domu.

Po raz pierwszy poczuła lekki strach przed spotkaniem z matką markiza. A jeśli uzna ją za nie dość dobrą dla swojego syna? A jeśli teraz, gdy znowu był wolny, miała co do niego inne plany?

Markiz otworzył drzwi i Torilla zobaczyła siedzącą w padającym przez wykuszowe okno słońcu siwowłosą kobietę, której twarz w jakiś sposób przypominała jej własną matkę. Była w niej ta sama słodycz, ta sama dobroć w oczach, ten sam uśmiech radosnego powitania.

Markiza patrzyła na swojego syna, który powiedział głosem skrywającym niewątpliwą dumę:

— Przywiozłem Torillę, by ci ją przedstawić, mamo.

— Tak bardzo oczekiwałam tego momentu, najdroższa — odparła markiza wdowa, po czym wyciągnęła obie ręce do Torilli.

Torilla z mężem, trzymając się za ręce, weszli do ogrodu pełnego najwspanialszych kwiatów. Napęniały one powietrze aromatem i tworzyły nieopisanie piękny kalejdoskop barw.

Słońce grzało ich głowy i Torilla odczuła ulgę, gdy markiz wprowadził ją w cień drzew otaczających trawniki. Ścieżka wiła się między brzożami, w których wyglądzie było coś nierzeczywistego. Potem las zagęścił się i słońce przeświecało poprzez gałęzie nad ich głowami maleńkimi, złotymi plamkami.

— Dokąd mnie zabierasz, kochany? — zapytała Torilla.

W jej głosie słychać było pieśczośliwą nutę, nadającą każdemu słowu czule brzmienie.

— W bardzo wyjątkowe miejsce — odparł markiz. — Mama powiedziała mi, że to tam zwykli odpoczywać z ojcem popołudniami podczas ich miodowego miesiąca.

Dom, w którym zatrzymali się markiz i Torilla, dała im w ślubnym prezencie markiza.

Wyjaśniła Torilli, dlaczego to uczyniła.

— Mój mąż i ja spędziliśmy tam nasz miesiąc miodowy — powiedziała swoim słodkim, łagodnym głosem — i byliśmy tam tak szczęśliwi, że mój mąż kupił go potem od przyjaciół, którzy go nam wypożyczyli. Zatrzymaliśmy go jako szczególne miejsce, w którym mogliśmy być sami.

Mówiła dalej, a jej spojrzenie jakby sięgało w przeszłość:

— Zawsze, gdy ojciec Gallena był zmęczony albo miał do zrobienia tak wiele ważnych rzeczy, że kolidowałyby to z czasem, który mieliśmy spędzać razem, zwykliśmy tam jechać we dwoje.

Uśmiechnęła się, zanim dodała:

— W tym miejscu rozmawialiśmy tylko o miłości i o nas i dlatego dla mnie będzie to zawsze najcudowniejsze miejsce, jakie znam.

Od chwili, w której dotarli do domu, Torilla wiedziała, że będzie on w ich życiu znaczył tyle samo, ile znaczył w życiu jego rodziców.

Był to bardzo stary dom zbudowany z ciepłej, czerwonej cegły, stojący w rajsko pięknym ogrodzie: atmosfera domu i otoczenia wydawała się promieniować miłością.

Pierwszej nocy po ślubie zatrzymali się w zamku. Potem wyruszyli na miesiąc miodowy. Markiz powoził swymi świetnymi kasztanami.

Wszystkie chwile spędzane razem były tak cudowne,

że u schyłku każdego dnia Torilla myślała, iż niemożliwie jest kochać markiza bardziej, niż już kochała, każdego ranka przekonując się jednak, że była w błędzie.

Idąc z nim teraz przez las wiedziała, że nie ma potrzeby pytać go, czy jest szczęśliwy. Nie sądziła, aby ktoś mógł tak się zmienić w stosunku do swego poprzedniego wyglądu, stając się jeszcze bardziej przystojnym i atrakcyjnym, tak że nie można mu było się oprzeć.

Nagle pojawił się przed nimi głęboki, leśny staw o wodzie tak zielonej, jak odbijające się w nim drzewa. Wokół niego rosły złote kwiaty i lilie wodne, których jakby woskowe płatki spoczywały na płaskich, zielonych liściach.

Nad brzegiem stawu stała obrośnięta różami i pnączem kapryfolium mała altanka, w której Torilla znalazła dużą, wygodną kanapę z wieloma poduszkami.

— Jest śliczna i taka chłodna, z dala od żaru słonecznego! — zawołała.

Z tymi słowami usiadła na kanapie, która była tak głęboka, że Torilla mogła oderwać stopy od podłogi i oprzeć się swobodnie o poduszki.

Markiz zdjął swój dopasowany surdut i rzucił go na ziemię. Potem stanął na brzegu stawu, szukając ryb pływających pod liśćmi lilii wodnych.

Miał na sobie tylko cienką, białą, batystową koszulę i Torilla z przyjemnością patrzyła na jego barczyste ramiona i ciało zwięzające się ku szczupłym biodrom, odzianym w obcisłe żółte pantalone.

Nikt nie mógłby być atrakcyjniejszy, pomyślała, i jest mój... cały mój... tak, jak ja jestem jego.

Jak gdyby wiedząc, jak zwykle, o czym ona myśli, markiz rzucił się na kanapę u jej boku.

— Do jakich doszłaś wniosków?

Torilla roześmiała się lekko.

— Nie chciałabym, byś popadł w zarozumiałość.

— Jestem najbardziej zarozumiałym i najbardziej dumnym człowiekiem na świecie, ponieważ ty mówisz, że mnie kochasz.

— Ja tego nie mówię... ja to... czuję. Kocham cię całym moim sercem... moim umysłem... moją duszą... Cała jestem twoja.

— Moja kochana, najdroższa żono.

Markiz miał wzruszony głos. Ujął rękę Torilli i całował ją, zatrzymując usta na każdym palcu i wreszcie na miękkiej dłoni.

Było bardzo cicho i spokojnie. Słyszeć było jedynie brzęczenie pszczoł, zbierających pyłek z róż i pnączy kapryfolium.

— Nigdzie nie mogłoby być doskonalej — wyszepiała Torilla.

— To ty taka jesteś, moja słodka — powiedział markiz. — Doskonała pod każdym względem. Och, moja ukochana, uwielbiam cię! Myślę, że jesteś jedyną dobrą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem.

— Nie wolno ci tak mówić — zaprotestowała Torilla — a ja nie jestem dobra. Nigdy nie będziesz wiedział, jak trudno mi było nie zgodzić się na to, o co prosisz, nie wyjechać z tobą, bo bez ciebie istniała tylko ciemność i całkowita samotność.

— Ale odmówiłaś mi — powiedział markiz.

Torilla przypomniała sobie list, który podarła w środku nocy.

— Bardzo... bardzo mnie kusiło... by zmienić zdanie — wyszeptała.

— A jednak nie zrobiłaś tego, bo wiedziałaś, że byłoby to złe.

— Ale... pragnęłam cię tak... rozpaczliwie.

— Tak, jak ja ciebie — odparł markiz. — Głęboko w sercu byłem przekonany, że to, co zrobisz, będzie słuszne, ponieważ nie potrafiłabyś postąpić inaczej.

— Mieliśmy takie szczęście, takie ogromne, ogromne szczęście — powiedziała Torilla — i dlatego, mój cudowny mężu, musimy spróbować pomóc innym ludziom znaleźć szczęście, tak jak my znaleźliśmy nasze.

Przerwała i zapytała:

— Jesteś szczęśliwy?

— Czy muszę odpowiadać na tak niemądre pytania? — odparł markiz.

Podnosząc się i wspierając na łokciu, popatrzył na nią. Jego oczy badały jej twarz. Po chwili zapytała:

— Dlaczego... tak... na mnie patrzysz?

— Usiłuję odnaleźć to, co czyni cię tak odmienną od wszystkich innych kobiet, jakie znałem — odparł. — Twoja uroda zapiera dech w piersiach, moja kochana, ale tych cech jest znacznie więcej.

Mówiąc to, wyciągnął rękę i obwiodł palcem gładki owal jej czoła.

— Taka mądra główka — powiedział jakby do siebie.

Dotknął najpierw jednej brwi, potem drugiej.

— Jak skrzydła ptaka — wyszeptał — niosącego przesłanie tym, którzy chcą je usłyszeć.

— Jakie przesłanie? — zapytała Torilla.

— Natchnienia, jakie mi dajesz, wzajemnego zrozumienia i, oczywiście, nadziei.

— Tę, wydawało mi się, straciłam, gdy szłam w kościele za Beryl.

— Cierpiałem męczarnie potępionych — powiedział markiz. — Wiem, że nie mogę winić nikogo oprócz siebie, a kara należała mi się za liczne zbrodnie, jakie popełniłem.

— Jakie... zbrodnie?

— Nigdy się nie dowiesz. Wszystkie należą do przeszłości. W przyszłości będę wzorem cnoty i nie będzie to trudne, bo pragnę być tym, czym ty pragniesz, żebym był.

— Uwielbiam cię... po prostu takim, jakim... jesteś.

— Jak mogłem się domyślać — mówił dalej — skąd mogłem wiedzieć tego ranka, gdy czułem się jak człowiek opuszczający celę skazańców, że ten Rodney Marsden i, oczywiście, modlitwy mojej matki przyjdą nam na ratunek?

— Nie wolno nam o tym myśleć — powiedziała. — Czasem, gdy budzę się nocą w twoich ramionach, obawiam się, że to wszystko jest cudownym snem i znajduję się z powrotem w Barrowfield w zapachu pyłu węglowego i ciemności kopalni.

— Już po tym wszystkim! — powiedział zdecydowanie markiz. — Mam mnóstwo do zrobienia, moja

najdroższa, objeżdżając moje posiadłości, a jest ich niemało, aby sprawdzić, czy nikt niepotrzebnie nie cierpi i nie dzieją się straszne rzeczy, o których nie wiem.

— Zrobimy to — zgodziła się Torilla. — Potem wrócimy tutaj i będziemy razem sami?

Było to pytanie bardziej niż stwierdzenie i markiz uśmiechnął się bardzo czule, mówiąc:

— Zawsze będzie na nas czekał ten dom miłości, w którym każdego dnia, moja kochana, dowiaduję się o miłości tego, czego nie wiedziałem przedtem.

— I nauczysz... tego... mnie? — wyszeptała Torilla.

— Możesz być tego zupełnie pewna — odparł.

— Nie... przeszkadza ci, że jestem bardzo... nieświadoma... takich rzeczy?

— Myślisz, że chciałbym, aby było inaczej? — zapytał niemal gwałtownie markiz. — Twoja niewinność i czystość nie tylko są tym, czego zawsze szukałem, ale są także niesłychanie podniecające.

— Jesteś taki wspaniały... dokonałeś... tak wiele... Załóżmy, że po jakimś czasie... znużysz się... mną?

— Jesteśmy jedną osobą, moją śliczną kochanie. Łatwiej by mi było stracić ramię czy nogę, niż wydrzeć cię z mojego serca.

— Och, Gallenie!

Było to westchnienie całkowitego szczęścia. Markiz wciąż spoglądał na nią. Jego oczy miały wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziała żadna kobieta.

Powiodł palcem po jej małym, prostym nosie, potem obrysował najpierw górną, potem dolną wargę. Czując, że przeszedł ją lekki dreszcz, zapytał:

— Czy to cię podnieca, moja kochana?

— Zawsze... mnie podnieca... gdy mnie dotykasz.

— A czy myślisz, że na mnie to działa inaczej? —
zapytał głębokim głosem markiz.

Jego palcem objęły jej miękką szyję, potem zsunęły się niżej, na piersi.

Poczuł, że całe ciało Torilli poruszyło się jakby do ukrytej muzyki; z jej ust dobywał się nieregularny oddech.

Potem jego usta opadły na jej usta, wymazując wszystkie myśli.